NRLF-1
MAIN

III, 1, 13, 21

DO PODSTAW WYCHOWANIA NARODOWEGO

POPRZEDNIO WYDANE:

O „Księgach narodu i pielgrzymstwa polskiego“ A. Mickiewicza. — Kraków 1911. (Prace historyczno-literackie Nr. 1).

„Biesiada“ A. Towiańskiego i jej komentarz w 4 kursie „Prelekcyj paryskich“ A. Mickiewicza. — Warszawa 1914. (Odbitka z „Bibljoteki Warsz.“).

Symbol Pani Słonecznej w „Królu Duchu“ Słowackiego.— Lwów 1916. (Odbitka z „Pamiętnika liter.“).

Do podstaw wychowania narodowego. — Wydanie pierwsze, Kraków 1917.

* * *

A. Mickiewicz: **„Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego“.** Wydanie krytyczne, ze wstępem i objaśnieniami. — Kraków 1911. Wydanie drugie, nowo opracowane, w serji krak. „Bibl. Nar.“, w druku.

A. Towiański: **„Wybór pism i nauk“.** Kraków 1920. („Bibljoteka Narodowa“ Nr. 8.).

STANISŁAW PIGOŃ

DO PODSTAW WYCHOWANIA NARODOWEGO

ZE SŁOWEM WSTĘPNEM

IGN. CHRZANOWSKIEGO

Odrodzonej, wolnej
Szkole Polskiej.

WYDANIE DRUGIE, ROZSZERZONE

LWÓW — 1920.
NAKŁADEM ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH.

Printed in Poland

BERKELEY
LIBRARY
UNIVERSITY OF
CALIFORNIA

Z DRUKARNI ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH.

SŁOWO WSTĘPNE

DO WYDANIA PIERWSZEGO.

Jakkolwiek się skończy ta burza straszliwa, która już trzeci rok na ziemiach i wodach szaleje, jedno, zdaje się, nie ulega żadnej wątpliwości: Polska będzie. W jakich granicach, to na razie nie od nas zależy, ale od nas samych zależy, jaką będzie moralnie i umysłowo. A musi być inną, jak — w znacznej mierze nie z własnej winy, ale w znacznej mierze także i z własnej — była dotychczas. Będzie musiała, pielęgnując wszystkie dodatnie pierwiastki swego charakteru narodowego, wypowiedzieć walkę na śmierć i życie tym wszystkim starym wadom i grzechom, z których w końcu XVIII wieku zaczęła się leczyć, ale z których uleczyć się doszczętnie nie pozwolili jej sąsiedzi, i tym wszystkim nowym wadom i grzechom, któremi zachwaściła nasze dusze niewola.

Wstępujemy w nową epokę bytu narodowego, w której nawoływania do reformy dusz

polskich, od czasu Ksiąg pielgrzymstwa nie milknące ani na chwilę w naszej literaturze wychowawczej, będą nakoniec mogły znaleźć sobie posłuch nie tylko w sercach wyjątkowych, luźnych jednostek, ale w zbiorowej woli wolnego, samorządnego społeczeństwa, które zrozumie i, da Bóg, urzeczywistni nakoniec tę prawdę, że główną podwaliną bytu państwa i społeczeństwa jest wartość moralna charakteru narodowego.

W tym właśnie duchu napisana jest niniejsza książka — i dlatego wychodzi na świat. Jej autor jest jeszcze młody: przed kilku laty dopiero ukończył Uniwersytet Jagielloński. Pomimo to naukę historji literatury polskiej wzbogacił już i rzetelnie pogłębił całym szeregiem większych i mniejszych studjów, z których dwa nadewszystko („O Księgach narodu i pielgrzymstwa polskiego Mickiewicza", oraz „Biesiada Towiańskiego i jej komentarz w czwartym kursie Prelekcyj paryskich Mickiewicza") mają wartość bardzo niepospolitą i pozwalają rokować ich autorowi dobrą przyszłość naukową. Obyż tylko mógł jak najprędzej powrócić do systematycznej pracy naukowej — dzisiaj trzeci już rok upływa, jak jest w ogniu!

Lecz powie kto: łatwo młodemu, jeśli tylko jest tak zdolny i pracowity, pisać dobre i piękne studja historyczno-literackie, ale sięgać „do

podstaw wychowania narodowego", czy to nie zawcześnie w tak młodym wieku? Takby się zdawało, a jednak...

A jednak, jeżeli kto od wczesnej młodości rozmyślał o zagadnieniach wychowania narodowego i całą swoją duszą ukochał ideały moralne i wychowawcze wielkich nauczycieli narodu polskiego, od Modrzewskiego i Staszyca przez trzech wielkich poetów do Witkiewicza i Szczepanowskiego; jeżeli kto był uczniem Wincentego Lutosławskiego i przez lat kilka brał niezmiernie żywy udział w pracach „Eleusis" i innych stowarzyszeń, które, nie zrażając się różnemi przymówkami ludzkiemi, obrały sobie za główny cel swej działalności: odrodzić Polskę, przysparzając jej jak najwięcej silnych i czystych charakterów; a nadewszystko, jeżeli kto, pomimo młodego wieku, bardzo już wiele i usilnie pracował nad wyrobieniem własnego charakteru; jeżeli dla kogo zasada, że fundamentem gmachu kultury jest moralność, jest nie tylko zasadą, własnem ideowem przekonaniem, ale nadto własnem uczuciowem przeżyciem i własnym rzeczywistym czynem; i wreszcie, jeżeli kto, prócz oryginalnej i śmiałej myśli, ma gorącą wiarę młodzieńczą w istnienie, pomimo wszystko, postępu moralnego na świecie i niemniej gorącą wiarę w przyszłość Polski: to czy nie ma prawa, czy nie ma nawet

obowiązku, podzielić się z innymi temi swojemi własnemi przeżyciami, uczuciami i myślami o „podstawach wychowania narodowego“?

Więc niech idzie w świat ta książka! Zrodziła ją serdeczna troska o przyszłość Polski i jej odrodzonej, wolnej szkoły: niechże się przyczynia do jej budowy!

Kraków, w kwietniu 1917 r.

Ign. Chrzanowski.

PRZEDMOWA.

Artykuły, tu zebrane, powstały w ciągu ostatnich ośmiu lat i ogłoszone były w różnych czasopismach i dziennikach, bez myśli, że się kiedyś znajdą pod wspólną okładką. Wywoływała je przeważnie doraźna potrzeba chwili, co im i w punkcie ujęcia i w sposobie podania nadało charakter publicystyczny.

Że się odważyłem zebrać je i powtórzyć tutaj razem, na to dwie się złożyły przyczyny. Pierwsza ta, że oto już piąty rok wyrwany z toku normalnej, powołanej pracy, nie wiem — Bóg wielki jeden to wiedzieć może — czy dane mi będzie jeszcze wrócić do tych najdroższych myśli, do ich realizacji w codziennym zachodzie, pogłębić je, uwierzytelnić w wychowawczej praktyce, podać kiedyś w wykończonej, rzetelnej całości.

Ludzka to rzecz, że taka perspektywa osierocenia swych umiłowań rodzi pewien osobli-

wy wobec nich sentyment. Chciałoby się nie dać im zmarnieć, zatestować je słowem, jak mówił Norwid.

Powtóre — sądziłem, że nawet tak, jak są, mimo całej niedoskonałości wyrazu, może się przecie komu mogą przydać, że wywołają gdzieś zastanowienie i do określonych wysiłków może pobudzą.

Wiadomo oczywiście, że w tym względzie każdy rad się łudzi, ale w mojem złudzeniu utrzymało mnie najpierw życzliwe zdanie paru kolegów i jednego z moich nauczycieli, a powtóre myśl, że właśnie dziś, kiedy na wielkim obszarze ziemi polskiej radośnie, z żywiołową siłą powstaje, kształtuje się i pogłębia narodowe szkolnictwo, że dziś żadna w tej dziedzinie troskliwa myśl nie powinna być zaniedbana, ni zlekceważona.

Dokonywujący się w Rzeczypospolitej Polskiej wspaniały renesans polskiej energji edukacyjnej żywić się winien zbiorowym pilnym zamysłem, współpracą całego narodu. Nie rozporządzając sobą, własnej siły roboczej oddać nie mogłem zbożnej współpracy, niech więc wolno będzie choć tę garść myśli wychowawczych złożyć w dani. Odrodzonej, wolnej szkole polskiej poświęcam zbiorek niniejszy; czem chata bogata, tem rada.

Szybkie i samorzutne, bo nie wywołane re-

klamą księgarską, ani rozgłosem ocen, wyczerpanie pierwszego nakładu świadczyćby mogło, że nadzieje takie nie są złudne, że myśli poniższe potrącają istotnie o jakieś napięte struny w narodzie, odpowiadają jakiejś żywej, pilnej potrzebie.

Potrzeba ta nie ustała, ani nie zmalała w chwili obecnej, owszem wzrosła nagle i wyraźnie. Wznosząc na nowym, przez długą niewolę zniechlujonym, gruncie wielką budowlę samorządnego Państwa Polskiego, widzimy dziś, oczywiściej niż kiedykolwiek, że aby gmach nie runął, trzeba tęgo wypalonych cegieł, charakterów jednostkowych czystych, bezinteresownych jak najwięcej, trzeba wysokiej kultury etycznej wśród zbiorowości narodu na niezawodną zaprawę.

Zgroza zdejmuje na wieści, że tych czystych charakterów, że prawości obywatelskiej w Polsce ma być mniej, niżeśmy nawet w chwili zwątpienia przypuszczać mogli, że nas, ciężej niż oświatowy, gnębi w potrzebie publicznej wysokoprocentowy analfabetyzm moralny.

Właśnie dzisiaj, w tym ciężkim i bolesnym momencie, ukazuje się w sposób jaskrawy i nieodparty prawda słów Mickiewicza, prawda straszniejsza, niżeśmy myśleli, o ulepszeniu i rozszerzeniu dusz, potrzebnem do ulepszenia praw i rozszerzenia granic. A właśnie żywa wiedza

tej prawdy była zarodzią zebranych tu artykułów.

Aczkolwiek w różnym czasie pisane i koło różnych zagadnień owijały się te myśli, mimo to sądzę, że tworzą razem pewną jednolitą całość. Nie myślową — zapewne, ale ideową. Spaja je mianowicie wspólna idea macierzysta, dążność do oparcia wychowania narodowego, jako na najgłębszym fundamencie, na obudzonem życiu duchowem człowieka.

Myśl to w dziejach polskiego wychowania ani moja, ani nowa. Przed trzema z górą wiekami jasno już ją ujął mądry Górnicki w te słowa: „Człowiek dwoje przyrodzenie ma w sobie, to jest boskie i bydlęce;... przeto szukać trzeba tych dróg, jakoby to rządziło ludzi, co nie ma nic bydlęcego w sobie i co się pochociam cielesnym zwalczyć i zniewolić nie dopuszcza“.

Iluż ludzi i po wielekroć ją powtarzało w ciągu stuleci, a jakżeż nie odpowiedziała rzeczywistość tym dążeniom! W huczących jeszcze wypadkach pokazała owszem swój wierzytelny, nieobłudny w tym względzie wizerunek.

Właśnie jestem jednym z tych wielu, co mogą, co muszą ustawicznie wizerunkowi temu patrzeć wprost w oczy. Masę ludzką widziałem w bitwach, pościgach i odwrotach, na ciepłych jeszcze gruzach Dinant, na równinach Woły-

nia i w rowach Krasu, wśród weneckich *paludi* i teraz znowu na piaskach wołyńskich, i wszędzie, gdzie tylko sposobność się pojawiła — jako owoc wojennej psychicznej kultury — napotykałem człowieka rozpętanego, więcej: — przewalające się w całej ohydzie chełpliwego bezwstydu, oślepłe na krzywdę, kierowane jedynie grabieżniczą chucią i rozuzdaniem zmysłowem — zdjablone człowieczeństwo.

Błahy byłby spór: czy go jest więcej po tej, czy po tamtej stronie zasieków; dość, że jest wśród ludzkości XX w. — to wystarczy.

Dyscyplina wojenna bierze w twarde kluby te wybuchy moralnego rozpętania, ale rozporządza ono taką jeszcze siłą żywiołowości, że, skoro raz przełamie i zalewem runie poza zwalone tamy, to opanować, przydusić je może jedynie znagła narzucony, przeraźliwy stadny lęk, lub... syte zmęczenie.

A niema się co łudzić, że kultura, oświata, nakłada skuteczne hamulce na te prapierwotne instynkty, że je otamowuje i wytępia. To złudzenie! Ludzi z uniwersyteckiem wykształceniem widziałem w orgji łapczywej drapieżności, zapamiętałych porówni z ostatnim analfabetą. Cóż stąd, że forma była nieco dystyngowańsza!... Nie, okłamywać się niema co. Jedna jest w istocie swej natura ludzka, mimo przeróż-

nych na niej nadbudówek, jednako podległa przemocy zła.

Zostanie niewątpliwą, smutną zasługą wojny, że odkryła, jakie to jeszcze przepaści i jakie straszliwe potwory drzemią w duszy człowieka dzisiejszego. Wyznaczyła dowodnie i niedwuznacznie, na jakim to poziomie wartości stoi ludzkość po dwu tysiącach lat władania Ewangelji, po tylu niezliczonych usiłowaniach wychowawczych. Jakżeż się łudzili dziadowie nasi, sądząc, że jesteśmy w przededniu epoki Ducha św.!

A jednak, jednak wśród całej tej ohydy, wobec najpotworniejszych jej przejawów, nie opuszczała mnie nigdy, owszem utwierdzała się na setnych przykładach, radosna p e w n o ś ć, że straszliwe to zło, to rozpętanie występku w człowieku nie jest nieprzezwyciężalne, że nie ma bezwzględnej, nieodpartej władzy nad duszą ludzką; owszem, można je w sobie zdusić, piętą zetrzeć mu zjuszony łeb.

Stwierdzając to, nie mam na myśli świętych, o słonecznej czystości duszy, jednostek, które poza swoją *impeccabilitas* niedostępne są krwawym oparom rozpasania. Myślę o ludziach ziemskich, zwyczajnych, o nas wszystkich, nieszczęsnych synach pokolenia Adamowego, co gorzki chleb upadków i nieudałych podniesień spożywamy codzień.

W nas wszystkich żyje, w dzień i noc czuwa niedostrzegalny, czai się taki głód rozpętanego występku, w każdym z pośród nas istnieje — przysypany może — lecz nie zasypany chodnik łącznikowy do jaskini dzikości moralnej. Ale równocześnie, obok czy ponad tem, jest w nas zalążek żywej mocy władczej, co zdolna założyć wędzidło podźwigającemu się złu, jest zaródź wyższego, jasnego człowieczeństwa. W jednym głębiej, w drugim płycej pod nawałą ułomności, ale jest w każdym ta Boża iskra.

Raz rozdmuchana w płomień, już nie zagaśnie, ale pali się i przeczyszcza pokłady duszy, nadaje jej siłę i kierunek wzrostu, nigdy nie ukojony pęd tęsknoty za wyżyną i szczytem,— czy ją nazwiemy życiem duchowem, czynną religijnością, czy wzrostem prawości moralnej.

Niejeden potem przyjdzie niewątpliwie upadek, osłabienie, czy nawet sprzeniewierzenie się jasnemu trudowi. Ludzkie to są, odwiecznie gnębiące dzieje. „A którzy jedli chleb anielski, widziałem, że się w błocie wieprzów zakochali“ — stwierdził już Tomasz à Kempis. Zapewne. Ale całkowicie unicestwić praca, ognisko zadusić — już się nie da. Przypadnie perzyną, zniechlui wszelakim żużlem, ale twarde uderzenie losu, ciężka jakaś — jak dzisiejsza — nawała niedoli, wielkie cierpienie, wydobędą zawsze snop iskier i żywy żar z pod skorupy;

obudzą życie ducha, zaprzęgną do nawrotnego mozołu uprawy wewnętrznej.

Także i tę władzę nieraz widziałem w trwaniu i w czynie wśród najzacieklejszego zgiełku wojny.

Trudnoż tu jeszcze wskazywać, że taki rwący nurt życia wewnętrznego działa nie tylko czasu burzy i karania, kiedy po budzących się złych popędach zwierzęcości uczy „jak po padalcach deptać niecierpliwych“, ale że, podając wiedzę karnego władania sobą i rzeczami, rozwiązuje wogóle tajemnicę owocnego życia.

Tu chodzi mi o moment i wiedzę rozdmuchania tej „iskry“. Otóż jest faktem, że i ona najochotniej „w młodocianym zapala się wieku“, a czynnikiem, pobudzającym jej rozbłysk— podkreślić to trzeba najwyraźniej — stać się może wychowanie. Że się, owszem, stać musi rychło — sądzę — po tej strasznej zawiei, to łatwo uświadomią sobie czujący w narodzie wychowawcy.

Wychowanie polskie musi posiąść trudną wiedzę, jak przez grubość ludzkiej natury odszukać we wnętrzu ów zalążek, jak rozchylić kompleks łupin i oskorupień, co go wiążą, i jak wypielęgnować z niego rześki, wiosenny pęd życia duchowego.

Obudzenie więc „ruchu ducha“, głodu moralnej doskonałości, niewygasającej woli prze-

tworzenia się na wyższy typ człowieka, słowem odrodzenie, wzięte być musi za naczelną dążność i najwyższy cel wychowania. „Zaprawdę, kto się nie odrodzi z Ducha św., — nie wnijdzie do Królestwa Bożego“ (Joan. 3. 5.).

Że zadanie to możliwe do podjęcia i że wykonalne, w tem właśnie tkwi radosny sens i cała wartość wychowania, w tem zakład dostojeństwa i odpowiedzialności powołania nauczycielskiego.

Świadomość tego zadania tkwi, zdaje mi się, u podstaw wszystkich zawartych w tym tomiku artykułów. To niech je usprawiedliwi, że zaprzątają sobą uwagę ogółu.

Jeszcze nad jednym punktem, sądzę, godzi się tu zatrzymać. Uderzyćby mogło kogoś, że sprawę moralnego odrodzenia, więc zagadnienie wszechczłowiecze, ponadnarodowe, czynimy tu zasadniczą podstawą polskiego wychowania narodowego. Otóż absurd jest tu tylko pozorny.

Zaciężyła nad Polską na długie wieki przyszłe, — jasnowidzeniem najlepszych jej synów z głębin ducha narodowego wyrwana, — dola wielkich przeznaczeń. Doli tej fatalnej małodusznie się nie zaprzemy, nie sprzeniewierzymy.

Bo przecie tak, bo przecie wbrew całej orgji, z jaką u nas po wojnie rozhulał się teraz nihilizm moralny, wbrew zalewającym nas, jak

lawa lepkiego błota, falom drobnej, powszedniej podłości, rdzeń polskości jest nienadgryziony, przeczysty. Z iścizny tej odrodzi się naród mój, powstanie kiedyś i wzniesie się na wyżyny niebywałe, by — jak głosiła głucha wiara ojców, — czynić wysokość między narodowościami. A powstanie — przez trud odnowy moralnej!

Bo jedna jest tylko droga do wielkości — przez prawość, jedna jest wogóle wielkość, dla jednostki jak i narodu, — wcielony w życie cud prawa moralnego, żywego w nas odwiecznie. Do tej wielkości podniesie się naród polski przez wychowanie nadchodzących pokoleń.

Zasada naczelna tego wychowania jest istotnie wieczyście ludzka, więc wspólna nam z resztą narodów. Ale szczególnie polską jest, tak w gruncie wartka w narodzie, niecierpliwość jej podjęcia i polską jest tego podjęcia silniejsza niż gdzieindziej — konieczność.

Oczywiście — sposób postawienia i przeprowadzenia tej zasady, metoda duchowej regeneracji i jej drogi rozwoju w zabiegach wychowawczych, będą, być muszą nasze własne, narodowe, właściwe tej konstrukcji psychicznej, która przeważa jako typ w społeczeństwie polskiem, uważanem w czasie i przestrzeni.

Że polską, w przeciągu dziejów nie narzuconą była ta poprzez szczeble żarliwości mo-

ralnej wiodąca droga rozwoju, dowieśćby mogła choćby historja narodu, wykazująca bądź co bądź — obok największych może błędów — także najwyższe bodaj w ludzkości momenty przejawienia się zbiorowej egzaltacji moralnej w życiu państwowem. Na to samo wreszcie wskazuje fakt, że najwyższe, narodowo uświadomione duchy polskie: żołnierze, ekonomiści, poeci, z jednomyślnością i głębią przeświadczenia, niesłyszaną wśród innych ludów, życiem i nauką powiązały nierozdzielnie moralną prawość Polaka z jego narodową przydatnością.

Na pozycji, nad Stochodem, w kwietniu, 1919.

O KULTURĘ WSI POLSKIEJ.

Myśmy się już oduczyli ujmować myśl i życie polskie w kategorje narodowej samodzielności. Niechby wszystkie, wszystkie konsekwencje niewoli ustąpiły, ta jedna zostanie. Obluzowały się dusze z twardych społeczeńskich wiązadeł, nauczyły się poza siebie oglądać, zamiast w sobie się budować, odwykły od czynienia wszystkiego na poziomie własnej, polskiej państwowej przynależności.

Samowola w myśleniu, luzactwo w działaniu — zawisły przekleństwem nad pokoleniami.

Gdyby mogli ludzie polscy ustanawiać poczynania swe wszystkie — nie w jakiejś ponadczasowej, bezpłciowej próżni, ale w twardych obramieniach narodowej przydatności, gdybyśmy się nauczyli — jak to ongiś Andrzej Frycz określił — wszystko, cokolwiek czynimy, czynić dla pożytku miłej Rzeczypospolitej, Rzeczypospolitej nie jako ma-

jaka, gdzieś na horyzoncie czasów, ale jako rzeczywistości rychłej, jutrzejszej czy pojutrzejszej — wtedy wiele spraw i faktów, leżących do dziś pod progiem polskiego baczenia, w odmęcie beztroski, lub co gorsza — przegadania, — wychyliłoby ku nam twarz inną, własną, niespodzianą, a surową, surową... Wezbrałyby sprawy polskie czarną grozą, ale i sprężyłyby się trzeźwem poczuciem społecznej za nie odpowiedzialności.

Grozą wezbrałaby przedewszystkiem sprawa ludowa.

Przecie w tej dziedzinie panuje do dziś dnia jakieś straszne, bezwyjątkowe, prawie nagminne niedowidztwo. Przecie prawie wszystko, co się tu buduje, buduje się na płyciźnie, naniesionej falą wypadków, nie gruntowanej świadomem, konsekwentnem, spoistem ustanowieniem. Przecież prawie wszystko, co się tu czyni, czyni się po linji łatwej złudy: jakoś to będzie, jakoś to ta całość: — świadomy, polski lud, jako twórczy organ narodowej woli — jakoś tam sama się złoży.

Ale niedowidztwem nikt jeszcze nigdy niczego nie zbudował.

* * *

Pierwsze, co przy głębszem wejrzeniu w pokłady tych zagadnień narzucić się musi, to prze-

świadczenie o oczywistości rozpołowienia w organizmie społeczno-narodowym. Istnieją w dzisiejszej Polsce dwa światy, dwie dusze, dwie — co najwyżej powierzchniami stykające się zbiorowości: chłopska i pańska.

Co my mamy ze sobą wspólnego? Co nas łączy? Jaka jest w Polsce najgłębsza wszechobowiązująca więźba narodowa?

Pomijam już różnice w umysłowościach, bo te, choć się nie przyczyniają do ujednolicenia organizmu narodowego — najmożliwsze są do usunięcia na wyż, i nad tem usunięciem najwięcej się jeszcze pracuje. Ale różni jesteśmy uczuciem. Chłop co innego kocha i zgoła, zgoła inaczej, niż „inteligent". Różni nas nawet religja, czynnik najbardziej jednoczący. Co wspólnego między chłopem, wierzącym twardo, z dużą przymieszką zabobonu i kultu dla tajemniczych sił przyrody, wierzącym w Boga, jako potęgę, pod której już bezpośrednią opiekę uciekać się padnie w częstych chwilach, gdy własne zawiodą siły, — a inteligentem, fundującym swe życie na ufności w rozsądzający, wszechpotężny genjusz człowieczy? Inteligentem religijnie opornym, obojętnym, lub w najlepszym razie przesubtelnionym?

Różnimy się pożywieniem, ubraniem, mową, zainteresowaniami, tradycją całą!... Co mamy wspólnego, co nas może jednoczyć, ale jedno-

czyć tak zupełnie, bez cienia nieporozumień, rozdźwięków?

Polaryzacja ta narodowa wlecze się już wiek przeszło przez wewnętrzne życie Polski. Już od wieku istnieje w Polsce sprawa ludowa. I oto po tyloletniej mitrędze, po tylokrotnych, najprzerozmaitszych wysiłkach powiązania jej ze sprawą narodową, stwierdzić musimy, że cała praca w. XIX skazana być musiała z góry na bezpłodność, na zmarnienie. Na fałszywym była zbudowana gruncie.

* * *

W ulotnym, publicystycznym szkicu chodzić nie może o możliwie pełne wyczerpanie historycznych i psychologicznych przesłanek, na których ten grunt się umocnił. Sięgają one daleko w przeszłość; wyrabiał go społeczny romantyzm, wyrabiała ideologja wielkiej emigracji i genetycznie z nią związane zamierzenia zbrojne w kraju, wyrabia dziś żywo się wzmagający ruch polityczno-społecznego uświadomienia wsi.

Sięgają one w głąb dusz ludzkich; złożyły się na nie obustronne konsekwencje krzywdy wieków zeszłych, a wydźwignęła je na jaw konieczność przymnożenia siły żywotnej dla twórczości ducha polskiego i wreszcie ów ludzki, arcyludzki pęd sfer wyższych do oparcia wła-

snej inercji na kimś niby niepożytym, niby niezawodnym, byle tylko nie na sobie samym.

Trudno narzekać, że tak się stało. W ustosunkowaniu społecznem, jakie naniósł nam w. XIX, może tak być i musiało, w logice dziejów może to i konieczność nieunikniona — to rozdwojenie w narodzie.

Chodzić może jedynie o to, żeby, poznawszy stan rzeczy w głębi i szerokości, — zdobyć się na moc zapanowania nad nim, pokierowania jego rozwojem przez wszechrozsądzającą zbiorową wolę. Żeby zdobyć się na siłę wolnego stanowienia o sobie, a nie płynąć z pierwszą lepszą, mocą przypadkowych lub najłatwiejszych skojarzeń wytworzoną falą; by pchnąć sprawy polskie w świadomym kierunku, a nie czekać, aż one własnym bezwładem potoczą się po najdogodniejszej pochylni. Chodzi o to, by sprawą ludową w dzisiejszem jej stadjum — zajęła się celowo narodowa wola polska, a do rzetelnego poznania jej istoty, by nawiązała roztropny trud formowania struktury niepodległości dla jednolitego już narodu.

* * *

Wieś polska stanowi więc dziś osobną, w swej osobności świadomą, a w napięciu wysoce wartościową siłę składową życia polskiego. W obrachunku sił narodowych —

z niej, jak z podstawy, zawsze się wychodzić musi. Wieś nie jest już, jak stary Rej mawiał, „gołą tabliczką“, już się tam na niej wypisało samodzielne, rześkie życie.

Tak zwana „praca wśród ludu“ rozwijać się chce w dwóch przedewszystkiem kierunkach, dwoma łożyskami wysiłków pragnie zatrzeć, znieść ową zabójczą polaryzację narodową. Podźwignąć się usiłuje lud ekonomicznie i oświatowo.

Dobrze to jest, że chłop, przez czasów tyle społecznie ukrzywdzony i zgoła nijaki, właśnie społecznego dobił się dziś znaczenia, że już nie można o nim bez niego stanowić. Dobrze, że na podłożu ekonomicznej niedoli zbudowano jej przeciwważnik: ekonomiczne organizacje. Chłopskie miljony, procentujące w kasach Reiffeisena, tysiące i tysiące zorganizowanych w Kółkach rolniczych — mówią już same przez się.

Dobrze to, bo dziś człowiekowi, wzywającemu do pracy nie w imię zysku, tylko w imię powinności, trudnoby już było spotkać się z twardem słowem: „idea — uważacie, panie — dobra rzecz, ale żeby to nie trza przy niej głodnego brzucha paskiem przyciągać“.

Mocna już jest podbudowa społeczno-gospodarcza na wsi i w dalszem rozrastaniu i umacnianiu nie da się powstrzymać.

Ale oto rodzi się pytanie: — co się wzniesie na tej podbudowie?

Wieś polska przedstawia się dziś jako całość w sobie zwarta, żywa, potencjalnie olbrzymia, tylko że wobec zagadnienia narodowej przydatności — jest dotychczas tajemniczem, niezbadanem tworzywem, masą. Jest jak zwarty, potężny blok rezerwy w walce. Linja bojowej awangardy słabnie, raz poraz tęsknie się poza siebie ogląda za ukrzepieniem, ale oblicze rezerwy jeszcze do rozeznania trudne; pomocą-li się stanie, czy tępą nieruchomą bryłą gapiów? Kamieniem, który narodowi ułatwi dolę spłynięcia na dno zagłady?

Z obozowiska rezerwy wyrwali się tam i sam harcownicy nowego typu, ale pierwsze ich poczynania nie znamionują sprawnych, sfornych rycerzy narodowej potrzeby. Nie nowina to już na wsi: człowiek światowy, rozgarnięty, daleki od bezwładnej chłopskiej nieporadności, człowiek o szerszym rozmachu myśli i głębszem zagarnięciu uczucia, chłop mądrala-bywalec, ale te właśnie awangardy postępu i nowego życia nierzadko zbyt mocne dają powody do głębokiego zatroskania się: czy aby sprawa chłopska ze wszystkiem po dobrej idzie drodze?

Sporadycznie się wyrabiający nowy typ światłego chłopa — nie zawsze odpowiada wymaganiom rzetelnej kultury. Wraz z cywiliza-

cyjnem okrzesaniem — zachowuje on, a nawet parokrotnie w sobie wzmaga zapamiętałą, nienasyconą łapczywość na zysk materjalny, zatrzymuje krytą żądzę człowieka pierwotnego, chęć pognębienia i owładnięcia słabszym, a powzięta niby-kultura nie wnosi w jego duszę swych rzetelnych wartości: ani wzmożonego, wydelikaconego zmysłu estetycznego, ani dążności do otamowania brutalnych odruchów instynktu, ani pędu do władczego powściągnięcia w folgowaniu własnym, samolubnym zachciankom, ani nadewszystko — zmysłu odpowiedzialności za naród.

Niema się co łudzić. Chłop, dźwigając się społecznie — nie tworzy swojej, nowej polskiej kultury, wchodzi w starą, „pańską“, przeważnie wzmaga i kondensuje jej strony ujemne, wytrwale odrzucając wartości dodatnie. Przykłady zbyt są świeże i zbyt bolesne, żeby je tu przytaczać i komentować.

Czasby już przeto dojść do świadomości, że dotychczasowa praca nad gospodarczem odrodzeniem wsi polskiej, aczkolwiek pod wieloma względami dodatnia i konieczna, wobec potrzeby narodowej — nie wystarcza. Wzmożone apetyty jednostkowe znamionują zawsze nie odrodzenie społeczeństwa, ale niechybnie nadchodzący upadek. To pewnik.

Naród odradza się nie przez narastanie kieszeni, tylko przez narastanie dusz.

Tak więc — widzimy — wypadkowa ekonomicznej pracy na wsi najwyższego swego celu: zjednolicenia narodu w głowie i członkach — właśnie że chybia. I tu i tam, i na „wyższym“ i na „niższym zagonie ludzkości“, znalazł się jeden tylko klucz porozumienia, dziwnego uroku, jednoczące słowo: zysk. Pod tem zawołaniem schodzą się klasy, poznają się w jedności obie dusze w narodzie. Złowroga jest ta spotworzona „zgoda“.

Na jedzenie nas jak wróble wyłapie kiedyś postronny nieprzyjaciel...

Bo takie zjednoczenie na poziomie najniższego motoru życia — nie usuwa, raczej pogłębia, zaprzepaszcza owo spolaryzowanie narodu, o którem na początku się wspominało.

* * *

Powszechne jest rozumienie, że ten fakt rozdwojenia w narodzie to sprawa wyłącznie z dziedziny intellektualizmu, że różnimy się wyłącznie pojęciami, ich zakresem, głębią, subtelnością, a nawet gatunkiem. Usunąć więc przyczynę, a rzecz się sama naprawi; rozlać na kraj cały wartki strumień oświaty, a wzmocni się i ujednolici spoistość narodowa. Wyrosła

stąd druga — obok ekonomicznej — dziedzina pracy społecznej na wsi.

I znowu przesądzać nie godzi się o całokształcie jej zamierzeń i owoców; rozważam ją jednostronnie, li tylko pod kątem tej narodowej przydatności, jej przystosowalności do najwyższego naszego celu: zyskania niepodległości własną, świadomą, zbiorową wolą.

Jedna jest, jedyna do tego droga: Wzmocnić aż do *maximum* w powszechności narodu zdolność do bezinteresownego, dobrowolnie ochotnego poświęcenia osobistych przyjemności i zadowoleń na rzecz zbiorowych, wyższych celów.

Wszystko, co tę zbiorową bezinteresowność wzmaga, jest czynnikiem w ekonomice narodowej wartościowym, dodatnim, wszystko, co ją osłabia, złem i przestępstwem — o ile nie świadomą zbrodnią. Daleko nam do tego zrozumienia!...

Nie oparła się na niem dotychczasowa praca oświatowa. Ludzie, idący na wieś, by nieść oświatę, nie rozumieją najkardynalniejszej różnicy między sobą a chłopem. Są to zwyczajnie inteligenci, którzy już przejedli się nauką, nie biorą jej z instynktowego pędu do opanowywania nowych dziedzin wiedzy dla wyłącznej satysfakcji opanowywania, dla radości wiedze-

nia. Traktują zaś wiedzę jako groszodawczynię, jako źródło utrzymania, jako zawód, dający im „chleb do ręki".

Otóż to — oczywiście bardzo mało, a może wogóle nie uświadomione — stanowisko wobec nauki różni zasadniczo i istotnie inteligenta od chłopa, człowieka wyższego od człowieka prostego.

Ten ostatni bowiem pragnie wiedzy, jak pierś ściśniona — powietrza, jak posuchą spalona ziemia — wilgoci, to znaczy instynktownie. Istnieje w człowieku jakiś przyrodzony głód wiedzy, jakieś ustawiczne dziecięce zaciekawienie: dlaczego? Zaspokaja go dopiero pewna doza pozyskanych wiadomości. A i to źle, jeśli go zaspokaja na zawsze.

Otóż człowiek prosty w dzisiejszem stadjum kultury — jest głodny, wiele mu brakuje do inteligenckiej sytości. Dlatego on wiedzy szuka. Prowadzi go w tem — analogiczny do uczuwania głodu — zmysł ciekawości. Ciekawość zaspokajające opowieści — dawniej rycerskie, dziś brukowo sensacyjne, — największy mają pokup między ludźmi prostymi, tworzą literaturę ludową. Kiedy się swobodnie chciano odemnie na wsi coś ciekawego dowiedzieć, pytano zawsze o rzeczy z dziedziny astronomji, geografji, mineralogji, zoologji egzotycznej, fizyki etc., a nigdy o wiadomości, z którychby

bezpośredni zysk mieć można. Od żądzy zysku silniejsza jest żądza wiedzy, żądza zaspokojenia duchowego głodu. Tak jest i będzie przynajmniej do czasu.

Tymczasem z tą wiedzą przychodzi do chłopa inteligent o wręcz pod tym względem przeciwnej, zjełczałej już psychice. Chcąc uczyć, wydobywa z siebie dla powiązania się ze słuchaczami jako najwyższy argument to, co jego samego zawsze przekonywa: widoki możliwego wyeksploatowania wiedzy, u wstępu podkreśla jej rentowność.

I oczywiście chybia. A jeżeli nie chybia, to degeneruje swoje słuchające ofiary, do siebie je zawcześnie upodobnia, znieprawia im dusze tak, jak znieprawiłby ktoś głodnego, gdyby go zachęcał do jedzenia, malując mu smakowitość korzenistych przypraw. Kto chleba potrzebuje, ile że głodny, ten normalnie nie będzie jeść w tym jedynie celu, by odczuwać przyjemne drażnienie brodawek smakowych.

Procent znieprawiających się przez tak fałszywie podaną wiedzę jest duży, boć tajemnicą nie jest, że motorem postępowania ogromnie żywotnym, najłatwiej dającym się poruszyć, jest na wsi zawsze jeszcze łapczywość na bogactwo. A i nie na wsi tylko.

Otóż tak prowadzona oświata — a mówię tu o narodowej oświacie, nie o tej, sankcjono-

wanej przez pieczątki z orłem dwugłowym — jest bronią strasznie obosieczną. Może utwierdzić w prostych duszach, oprzeć na wyrozumowanych przesłankach, przyrodzony pęd do „zdrowego egoizmu“, obrócić się może niechybnie przeciwko wytęsknionej przyszłości.

Warto zawsze pamiętać mądre słowa Mickiewicza: „I oświecone były królestwa westfalskie, włoskie, holenderskie, które widzieliście, że porodziły się i poumierały, a nie zmartwychwstają“. I ten drugi pewnik, że wartość pracy tem jest większa, im po linji większego oporu była wykonana.

Więc i oświata niekoniecznie być musi niezawodnem ogniwem spojenia rozszczepionego narodu. Ludzi łączą nie pojęcia, ale ukochania, nie rozumy, ale serca. Beznarodową może być w najgłębszej swej istocie oświatowa, zarówno jak i gospodarcza więźba; jedna i druga łączy dotąd ludzi w instynktach niższych, egoistycznych, nie wiąże zaś, a może nawet i rozłącza w celach najwyższych, wymagających i bezinteresowności i ofiary.

Na tych zaś podstawach, na instynkcie poświęcenia się za sprawę wyższą, wyróść musi kultura klas wyższych i kultura wsi polskiej. Na tym dopiero poziomie mogą się one zejść i zjednoczyć. Przy takiej temperaturze uczuć stopią się nierozdzielnie dusze w narodzie.

W narodach żywotnych, a losem politycznym naszemu podobnych, dawnoby już niechybnie popowstawały Towarzystwa kultury ludowej z celem jednoczenia i potęgowania istotnych wartości duszy chłopskiej, budowania od środka niezłomnych rusztowań pod rychłe, własnowolne odzyskanie niepodległości.

U nas daleko jeszcze do tego. Szczytem naszego marzenia jest, żeby duszy ludowej przynajmniej nie znieprawiano, nie zbezkształcano, nie sankcjonowano wytrwałą metodą tego zła, które i tak się w każdej ludzkiej duszy szeroko rozkrzewia, by kulturą nie wzmagano zachłannej łapczywości na zysk.

* * *

Ale wzmożenie bezinteresowności i ofiarności w polskim chłopie — nie wyczerpuje jeszcze całego zakresu społecznej powinności odrodzicieli wsi. Te cechy duszy stanowić mogą dopiero — żeby tak określić — kapitał niezawodny, siłę potencjalną narodu. A jako taka — musi być co rychlej przemieniana w energję kinetyczną, w pracę. Na tych podstawach ma się bowiem tworzyć bezustannie, z dnia na dzień, zbiorowe życie polskie. A do tego trzeba świadomości celu, trzeba wytycznej. By się ofiarować, trzeba też mieć

wpojoną wiedzę, dla kogo, po co mam się ofiarować.

Polska taką wytyczną, najwyższą i nieodwołalną, ma, ale chłop polski jej nie ma. Miejmy odwagę sobie to powiedzieć. Uświadomienie narodowe na wsi — przynajmniej galicyjskiej — jest zdumiewająco małe, a co najmniej w 50% — nijakie. Miejmy tę odwagę!...

Słońcem, koło którego się obraca cały system publicznego życia chłopa w „Galicji“ — jest Wiedeń. Tam mieszka nasz dobry cesarz, na którego cześć już w elementarzu hymn wydrukowano, który wszelką niesprawiedliwość usunie, ostatnia ucieczka znękanego nieporadnością swą w procesie komornika. Najwyższy przejaw życia politycznego wsi: wybory, — mają również jeden cel: obesłanie wiedeńskiego parlamentu.

Centralizacja państwowa odniosła już najwyższy tryumf, urobiła na swój wzór dusze olbrzymiej większości „Galicjan“. Polityka państwowa, przez polskie uprawiana stronnictwa — wiernie jej w tem zbożnem dziele sekunduje.

O Polsce wie się na wsi, że byli jacyś królowie, a za nich — wiadomo — pańszczyzna, z w. XIX wie się, że byli „konfederaci“, którzy, ścigani przez żołnierzy, żywność i paszę brali po wsiach siłą, że wogóle w tych „polskich czasach“ strasznie dużo było targaniny,

bijatyk, wojennych niepokojów, ale za naszego dobrego cesarza to tam, chwała Bogu, spokój...

A przyszłość, o którą się tam „panowie“ dobijają — niepodległość, — tę zesłaćby nam mógł chyba wyraźny cud, bo naszemi rękami przeciw takim strasznym siłom — nie poradzi.

I w tej niewierze leży punkt naczelny naszej nędzy. Chłop nie czuje swej osobistej za sprawę polską odpowiedzialności, czuje się poza nawiasem tych, którzy o Polsce stanowią.

Wobec przyszłości tedy powinnością jest pierwszorzędną: ułożyć koncentrycznie te dwa zgoła odmienne zakresy pożądań, utęsknień, dążeń. Poprostu: serce ludu przesunąć ku sercu Polski, nakryć je wzajemnie. Niechby chłop poczuł swój osobisty, krzyczący obowiązek dbania o to, co się z Polską dzieje. Oto zadanie.

Dla jego wypełnienia wytworzyć się musi w Polsce metodyka, jak jest metodyka gospodarczego odrodzenia wsi. Będą, nie łudzimy się, będą zawody, chybione próby, będą długie, długo niespełnione czekania na oddźwięknięcie serca, ale być muszą i owoce. Tylko niechże się o to zatroska świadoma, szeroka społeczność polska. Inaczej staną się dotychczasowe wysiłki szlachetnych woluntarjuszów — beznadziejnie czczą, dobijającą szarpaniną, wołaniem

Jaśka z „Wesela“ — w zmartwiałe uszy tancerzy.

* * *

W skarbnicę tej przyszłej metodyki odrodzenia narodowego wsi — wnieść chciałbym jeden szczegół, nie najpośledniejszy.

Czynnikiem w utrzymaniu sfornej więźby narodowego organizmu — ogromnej wagi jest wspólna tradycja. Tradycja w najczystszem rozumieniu słowa, pojęta jako wiedza rzeczy przeszłych, wytyczająca drogi w przyszłość; jako świadomość jednolitego, konsekwentnie się rozwijającego życia, pojęcie tego życia jako żywej, organicznej, przez wczoraj, dziś i jutro postępującej, a zawsze tej samej jedności; tradycja jako arka przymierza między dawnemi a nowemi laty, jako czynnik postępu i życia, a nie zatamowania i martwoty.

Chłop tradycji polskiej nie ma. Obywatelem w narodzie ongiś wolnym — nie był. Nie ma więc tego pędu, jaki idzie poprzez poczucie się w łańcuchu postępujących dziejów jednego i jednolitego narodu. Nie czuje swej przynależności do dawnej Polski.

Racławice tej tradycji nie zastąpią, to za mało. Przyszłość Polski musi być szczytem, koroną wszystkich wartości narodowych, jak się one wyrobiły przez cały przeciąg życia hi-

storycznego. Świadomość chłopska wpleść się musi w tę przeszłość jak we własne ciało, obudzić musi w sobie pamięć przeszłego życia, obudzić ducha narodowego. Wyrozumieć musi, że na całej rozciągłości dziejów polskich chłop znaczył zawsze pewną wielkość żywą, był przecież cząstką narodu.

W roku grunwaldzkim przypomniał w „Kurjerze lwowskim“ A. Zagórski z kart Długosza, że i w pogromie Krzyżaków brali udział nieznani, bezimienni, chłopscy bohaterowie. Takich momentów jest w kronikach więcej, i trzeba je sobie i chłopu przypomnieć!

Ale to jeszcze nie wszystko.

Są w dziejach Polski postaci jasne, o przenikliwem, głębokiem widzeniu społecznem, o ludzkiem sercu i wielkiej odwadze, którzy w obronie ludu powiedzieli słowa złote, zapisali się wiekopomnie jako rycerze sprawy poniechanej, sprawy chłopskiej. Jest Frycz Modrzewski, Skarga, Kołłątaj, Staszic.

Są, ale co o nich, o opiekunach swych, wie chłop dzisiejszy?

Pisał ongiś Mickiewicz „do przyjaciół galicyjskich“: „Pisma, które krzepią ducha narodowego, rozrzucać ile możności po kraju... zrobić naprzykład wybór pieśni z kantyczków, w których jest pełno wspomnień narodowych. Przedrukować w jak największej liczbie egzem-

plarzy „Śpiewy“ Niemcewicza, „Pamiętniki“ Kilińskiego, „Pamiętniki“ Różyckiego, skrócenie „Pamiętnika“ Dembińskiego“.

Myśmy i w tym zakresie — jak w tylu innych — głębokiej myśli wieszcza nie pojęli, nie wykonali.

Tem mniejszą więc żywić można nadzieję, że podejmie się i dokona w czasach dzisiejszych zamierzenie w dziedzinie troski o jednolitość duchową narodu — ogromnie doniosłe. Trzeba zaś koniecznie i jak najrychlej wydać, wstępami i objaśnieniami ludowi udostępnić i rozrzucić po wsiach szeroko — dzieła dawnych obrońców ludu. Trzeba wystawić świadectwo prawdzie, że i za najgorszych czasów, kiedy sobkostwo i zawziętość ucisku królowały nad Polską, że i wtedy byli przecież w narodzie ludzie czujący, byli jasnowidze, co chcieli lud polski z roli mierzwy społecznej — wynieść ponad poziom.

A że prawda, że słowa słuszne, sprawiedliwe, nie zawsze zwyciężają, to jeszcze sprawy dobrej nie przesądza. Utwierdzi jednak w chłopie przekonanie, że był on przecież czynnikiem życia polskiego, że o niego dbano, że nie każdy potyrał nim jak sprzętem roboczym, rzeczą oddaną tylko na wyzysk. Nadbuduje się w ten sposób na wsi tradycja polska, nawiąże osobista łączność z wysiłkiem ogółu narodowego

w przeszłości i teraźniejszości. A o to przecież głównie chodzi.

Konieczność obudzenia na wsi żywej tradycji polskiej — to tylko jedna ze ścieżyn troski o wewnętrzną jedność narodu. Dróg jest wiele, tylko musi się ich szukać, nastawić pragnącą uwagę na ich odkrycie i wyzyskanie; tylko trzeba cel widzieć i godzić z nim środki, i ramiona mieć ochotne do pracy. Celem tym zawsze: wytworzyć w Polsce świadomość faktycznego stanu,

...że taki wielki naród — z jednej bryły,
A tak hartowny, że w gromach nie pęknie.

STANISŁAW WITKIEWICZ JAKO WYCHOWAWCA NARODU.

Są wniebogłosy — bo są przemilczenia.
C. Norwid.

Ilekroć myślę o St. Witkiewiczu, zawsze nasuwa mi się pewna uporczywa, natrętna asocjacja. „Dwadzieścia kroków wszerz i wzdłuż“, chłodne, nagie mury sceny, a na niej ciemny, ruchliwy tłum. Z „Wyzwolenia“ Konrad z maskami. Scena nienapisana. Środkiem, wśród skwapliwie rozstępującej się ciżby, toruje sobie drogę Konrad: „waży myśl“. A naokoło chybotliwe, nachylające się ku jego twarzy postaci. Rodzącą się myśl, pierwszą jaskółkę czynu pochwycić, wydrzeć ją z rysów twarzy!

Śledzą ciekawie; a kiedy nurt uczucia zatarga silniej piersią, wypręży mięśnie, wywoła odruch bolesnego załamania dłoni, twarz skurczy cierpieniem — maski cofną się w pobo-

nem skupieniu, zastygną w podziwie: oto przedziwnie piękny gest, niebywała linja postawy, dostojna piękność!

Oklask! Burza oklasków!

Konrad się oburza, wybucha gniewem, wręcz rzuca obelgę, jak uderzenie pięścią między oczy: „warchoły — to wy!“. Ale i to zamienia się czemprędzej w walor estetyczny, maski uskakują, cios uderzył w próżnię.

Ale Konrad to niepoprawny polski optymista. On w maski — — wierzy! Gdy ktoś nieostrożnie wyrzekł pytanie o czyn — Konrad rzutem człowieka tonącego chwyta to: „Aa! pytasz nareszcie, co mam czynić?!“

Śmieszny Konrad! Nie dostrzegł, że to było retoryczne pytanie i z odpowiedzią się pokwapił. A to tylko kostjumu jednego zabrakło w rekwizytorni teatru! On go przyniósł, przyniósł śpiewy o czynie. Bo czynić chciał, a zapomniał, że jest na deskach, gdzie się theatrum polskie odgrywa, zapomniał i — — wyszedł z roli! A był z niego „actor“ doskonały! A tak! Bez wątpienia.

Śmieszny Konrad. Zapomniał, że wokół są ludzie, co gest jego przyszli widzieć, grę śledzą, a on czynić przyszedł.

Wypadł z roli.

No, niech się pocieszy, nie będzie sam. „Wykolejeńców“ takich mamy w historji pol-

skiej legjon. Jest tam i Mickiewicz, Słowacki i inni. Actores!

Natura zesłała tu ich na śpiewanie, a oni co? Jeden

myślał rzeczy uczynić szalone:
Wami założyć nowych narodów początek.

Drugi „tracił“ czas i talent na zdobycie w sobie godności „duchowego kapłaństwa“. A mogli byli pisać książeczki wcale piękne!

Pomyłka, drobiazg. Wypadli z roli. Przeto dziś naród zatroskał się srodze, iż to wodzowie jego tak pobłądzili! Łudzili się.

Wypadek to nie wyjątkowy, nie specyficznie polski, ani europejski nawet. Jedno z wydarzeń, dokonywujących się „w szerszym zakresie“. Czas i miejsce obojętne. Dokonywa się może zawsze i wszędzie, może codzień i w nas samych.

Wypadek — możnaby nieco patetycznie powiedzieć — ogólnoludzki. Jest to naprawdę ciekawy fenomen, w którego oblicze zajrzeć niekiedy nawet warto.

W tym akcie maski znaczyć mają
Takich, co myśl swą ukrywają.

Maski to my, przeciętność polska. Drobna tylko poprawka. Myśli my nie ukrywamy; owszem, niesiemy przed sobą, na czele, pilnie

bacząc, iżby jej przypadkowo nie przeoczono. Ale my kryjemy, skwapliwie osłaniamy duszę, ten mianowicie jej zakątek, gdzie się rodzą pobudki czynów, skąd wyrastają korzenie postępowania, życia całego. „Niech na całym świecie wojna“, bylem ja na tej grzędzie sam się rządził, bylem miał swobodę tak postępować, jak mnie lepiej — oto zasada. Ktoby gospodarzyć mi tu chciał — wyświecić intruza!

W tę to komórkę chowa się odwieczny, niepołomny egoizm ludzki, nieprzebytemi zasiekami zawala dostęp. Wyrafinowany ten typ obłudy zdobywa się na przedziwne sposoby obrony. A ze wszystkich najniezawodniej wypróbowany — to maska. Uskoczyć przed zamachem w bok. Siły Herkulesa nawet rychło się wyczerpią, gdy mu walczyć przyjdzie z próżnią. Najwyższe potęgi Prometeuszów tak się stargały.

Maska różne ma oblicza. Jednem: — przemilczenie, nibyto niedostrzeżenie przeciwnika. Niezrozumienie, śmieszność — oto dalsze przejawy tej samej kategorji. Przykłady aż się proszą pod pióro.

Ot, choćby Mickiewicz.

Dopóki pełnił zbożny trud poety, pisał dzieła artystycznie wielkie — w chwale był u narodu. Przyszedł jednak czas, kiedy zaczęło mu to nie wystarczać. Widząc ciężką niedolę

emigracji, szukając drogi ratunku, napisał i bezpłatnie rozsyłał wygnańcom broszurę: „Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego“. Ale zdarzyło mu się tam nawoływać do pracy nad sobą, „do rozszerzenia i ulepszenia dusz“, przeto wystąpił czemprędzej w swej obronie zamaskowany, leniwy egoizm, ludzka inercja walkę przyjęła. Walkę olbrzyma z żółwiem.

Książkę sercem, krwią pisaną — zignorowano. Poza kołem najbliższych cicho było o niej na emigracji, jak cicho jest jeszcze dziś w szkołach polskich. A kiedy pod koniec życia rzucił pióro i stanął do ciężkiej nad sobą roboty, żeby „dzień dobrze przeżyć“, — czołobitni wielbiciele jego artyzmu, widząc, że zamilczenie tu nie pomoże, otoczyli go zwałem oszczerstw, zarzutami; dziwactwa, niezrozumiałości, śmiesznością wreszcie. I znowu lat i trudu wiele poszło na walkę z maskami.

A po śmierci wieszcza przyszedł tej tragikomedji ludzkiej akt ostatni. Trumnę zarzucono czemprędzej wieńcami uznania, żałoby, zagłuszono okrzykami podziwu, niby-czci, rzetelnie, żeby tylko nie dosłyszeć z poza trumny, z za grobu tego głosu, który do dusz woła: bądźcie prawi, uświęćcie życie! Do dziś dnia tego w Polsce nie dosłyszano. Ale uwielbienie dla poety jest. I gra się dalej ucieszne theatrum:

bohaterska obrona zagrożonych placówek egoizmu.

Zatrzymałem się nad miarę nad tym ciekawym zresztą fenomenem, ale on pozwoli wprost przejść do wypadku Witkiewicza. Bo oto tu ta sama *incipit comoedia*.

Był czas, kiedy nazwisko to należało do najgłośniejszych w Polsce. Odmieniano je na wszystkie przypadki, pisano, gadano. Witkiewicz był u publiczności „w łasce, w łasce, w łasce". Był świetnym polemistą, prekursorem odrodzenia sztuki, twórcą w dziedzinie sztuki przedewszystkiem. Groźnym nie był nikomu.

Aliści odmieniło się to wrychle. Witkiewicz osiadł w Zakopanem, zamiast malarskich problemów — szukać począł ludzi żywych, ich doli — niedoli, a kiedy przeznał, w czem istota niedoli, *unde gignitur malum*, kiedy, w serca ludzkie uderzając, chciał arcydzieła życia dobrego tworzyć — zdumiały się rozestetyzowane pięknoduchy. Miałżeby to być nowy „nastrój", dreszczyk świeży? Znowu jeden apostoł pozujący? Czemuż nie mówi nam o sztuce, artyzmie, ale o życiu? Moralizator! Wyszedł z roli oczywiście!

Witkiewicz został w świadomości polskiej zdyskredytowany z kretesem. Spotkał go los, jaki spotyka zawsze śmiałków, którzy odważą się zażądać od serdecznych swych bliźnich

trudu jakiegoś, o f i a r y, a już Boże broń — ofiary ze smakowitego naszego egoizmu.

Dziś się nieomal zapomniało, że gdzieś tam, pod zimnemi skałami Tatr, żyje taki „dziwny człowiek“, dusza jakaś niedzisiejsza, krystalicznie czysta, a bolesna. Zatroskana twarz jego znikła nam z pamięci. Otoczył go spokój, w jakim żyli może święci samotnicy, dalecy od rozgwaru świata; spokój pustelni.

Myśmy o nim bezmała zupełnie zapomnieli; staje się dla nas zwolna jakimś człowiekiem niedzisiejszym, ponadczasowym, urabia się wokół niego atmosfera legendy. I zadziwimy się może kiedyś, gdy go nam zabraknie: — żył-że to naprawdę taki człowiek współcześnie? A ten wyraz zdumienia na twarzach przypomni nam podobny moment: kiedy to naród po śmierci Wyspiańskiego tak długo nie mógł się zorjentować w zdumieniu niebywałem: — czyż to nie zmarł był człowiek prawdziwie „odwrócony od dzisiejszości?“ Nie pomyślano tylko, że to może dzisiejszość tak diametralnie o d n i e g o odwrócona była! I dziś jest nam już jakiś odległy, daleki.

Wypadek podobny zachodzi i wobec Witkiewicza. Nieliczni są w Polsce, dla których to nazwisko jest symbolem jakichś rzeczy wielkich, u których budzi przycichłe odczucia, daleką tęsknotę odrodzenia, pozywa do twardego

czynu dla jutra, przyszłości. Czynu w sobie przedewszystkiem.

Ale może przecie niekiedy zatrzepocze się pod oknami podtatrzańskiej koleby-pustelni takie proste uczucie szczerej czyjej wdzięczności, może zalecą dziękczynne słowa czci głębokiej dla tego, który czyni światłość, miłość sieje w duszach ludzkich. Chciałbym, by i poniższe uwagi były takiem kornem przypadnięciem do kolan, takiem „cichem stóp pocałowaniem“ dla człowieka, któremu tak ogromnie wiele zawdzięczam, który mi był jednym z nielicznych moich prawdziwych nauczycieli życia.

* * *

Już tu, u wstępu, zastrzec się muszę, że nie mam zamiaru mówić o całym ogromnym splocie zagadnień, jakie się wiążą z dźwiękiem nazwiska Witkiewicza. Żeby ogarnąć całość jego dorobku dla kultury polskiej, trzebaby mieć tak rzetelną uprawę umysłu, tak szeroką skalę wrażliwości, jaką się dziś w Polsce poza nim rzadki poszczyci. Trzeba objąć i przetrawić w sobie ostatnich kilka dziesięcioleci artystycznej kultury europejskiej, z którą jego działalność w Polsce stała w związku, a przedewszystkiem trzeba mieć tak czujne, wnikliwe „baczenie“ na wszystkie przejawy życia narodowego, któreby dozwalało dojść wszędzie

w jego ślady, rozsądzić każdą sprawę, którą mu troskliwa wobec narodu odpowiedzialność każe podejmować.

Jest to nie najpośledniejszym chyba powodem tego uderzającego zamilczenia o Witkiewiczu, że mało jest ludzi, którzyby odważyli się g o d n i e o nim mówić. Ja chciałbym tutaj uwydatnić takie tylko strony, wobec których dotychczasowe przemilczanie jest zdrożne, jest społecznie szkodliwe. Więc pominę tu nawet jego uparte, heroiczne wysiłki podnoszenia dusz przez e s t e t y c z n e w y c h o w a n i e, pracę żmudną i niewdzięczną nad ogarnięciem szerokich mas z „wyższego“ i tych z „niższego zagona ludzkości“ przez wzniosły, oczyszczający powiew piękna, sztuki. Wszystko to, jego kolosalne zasługi wobec „sztuki i krytyki u nas“, wobec s t y l u z a k o p i a ń s k i e g o, wobec popularyzacji dzieł sztuki w „Wędrowcu“ i „Kłosach“, czynione niezależnie, a z tak dużą zbieżnością z pracą Williama Morrisa i Ruskina, wszystko to są dziedziny szerokie, czyny, które jeszcze wśród nas nurtują, działają, są w atmosferze czasu niejako. Stąd trudność przejrzenia ich ogromu; za mała od nich odległość.

Ta jednak dziedzina jego działalności jest znana u nas mniej więcej. Ale wobec zasady chytrego ignorowania wszystkiego, coby mogło być groźne obłudnemu egoizmowi, głucho

o drugiej, ważniejszej może, połowie czynu Witkiewicza, o jego trosce nad wychowaniem narodowi czystych dusz. Dlatego o tem trzeba mówić „głośno i z krzykiem“.

* * *

Witkiewicz jest malarzem, artystą. Zobaczymy, że w rozważaniu jego wartości, jako wychowawcy narodowego, moment to ogromnie doniosły. Sztuka jest jednem z łożysk wypowiadania się duszy ludzkiej z głębokiej, przeogromnej tęsknoty za pięknem, za wszystkiem, co leży gdzieś u kresu rozwojowej linji ludzkości, za ostateczną doskonałością. Gdy kres ten zostanie osiągnięty przez ludzkość, tęsknota ukojona, gdy doskonałe piękno ogarnie wszystkie dziedziny przyrody i życia ludzkiego, — sztuka, jako wyraz oczekiwania tego stanu, zniknie, wsączy się w całość bytu, zatraci istotę, odrębność swoją. Doskonale pięknem stanie się życie, arcydziełem w pełni cudownego piękna odczuwanem — wszechświat.

Jest rzeczą osobliwą i godną podkreślenia, że najwięksi polscy artyści widzą jasno tę doczesną rolę sztuki.

Mickiewicz rzucił poezję, bo ujrzał przed sobą szeroki łan pracy, bo stanął do tej pracy, która uczyniła życie jego najcudowniejszym „poematem dla Boga“. Powtarza on w jednym

z wykładów w Collège de France za St. Martinem, że człowiek nie powinien pisać wierszy, nie uczyniwszy wprzód cudu. Sam też podjął pracę dla spotężnienia sił duszy swej aż do godności cudotwórstwa.

Człowiekowi, który dojdzie do takiego poznania celów i kresów sztuki, staje otworem jedna tylko droga: uczynić tęsknotę swoją, wypowiadającą się dotychczas artystycznie, tęsknotą twórczą, podjąć cięższy trud, stanąć w szeregu pracowników przybliżających tę epokę doskonałości, Królestwa Bożego, urobić duszę własną na miarę tej przyszłości, zrealizować w sobie tęsknotę swoją.

Tutaj rządzi zasada Mickiewicza: „lepiej dzień dobrze przeżyć, niż napisać księgę". Na tym też poziomie zatrzymał się Słowacki:

Uczucia moje ludzkie podruzgotam,
Serce rozbiję... miecz, jak drzazgę, złamię,
Sławę rycerza od siebie pomiotam,
Koronę zrzucę — krzyż wezmę na ramię:
Tylko niech sobie tym dniem zarobotam
Wieczyste światło... i to złote znamię,
Które się w Bożem Królestwie pokaże,
Zmartwychwstającym kościom złocąc twarze.
(Król-Duch, R. IV, p. II).

Ale roztwierają się stąd horyzonty dalsze. Artysta nie zatrzymuje się na uświadomieniu i wypowiedzi swojej tęsknoty do przyszłego piękna, poprzez artyzm normuje się też stosu-

nek jego do otaczającego go światła, do współżyjących z nim ludzi. I więcej jeszcze. „Dusza artysty musi mieć w sobie cały świat, który ma się w jego dziełach objawić... Wszystko, co stanowi elementarną siłę życia zbiorowego, co stanowi ducha narodowego, co wstrząsa miljonami dusz i prowadzi je gdzieś w niezmierzone otchłanie czasu, ku ledwie przeczuwanym kresom i nadziejom — to wszystko musi drgać w duszy artysty. Musi on być obecnym na wszystkich Golgotach, na których krzyżują proroków, na wszystkich wyłomach, na których walczą nowe idee ze staremi, we wszystkich bitwach myśli i oręża, wszędzie, gdzie się przejawia życie, którego objawieniem jest jego sztuka“. (St. Witkiewicz).

A możnaż sobie wyobrazić żywego człowieka, któryby, czując wszystko w swojej duszy, mógł zadowolić się tem, że on to wszystko może namalować, wyśpiewać jedynie? Któryby nie był zmuszony wprost wewnętrznie, by osobiście wejść na te Golgoty, by stanąć na wyłomie do czynnej walki? Trzebaby na to chyba człowieka o przetwórczym jakimś mechanizmie zamiast duszy. Prawdziwy, wysoki twórca być musi równocześnie człowiekiem czynu, twórczość artystyczna wyrasta z tego samego materjału psychicznego, co i czyn. Są to może dwa łożyska, ale nurt płynie niemi

ten sam. „Lituania“ staje obok przedziwnego bohaterstwa Traugutta, „Kazanie Skargi“ obok najświetniejszych wypraw wojennych. Uświadomić to muszą sobie ci, którzy tak gwałtem rehabilitują „poetę“ Mickiewicza „legjonem“ włoskim, czy rokiem 1855, Słowackiego wyprawą do Poznania w r. 1848. Ale kwestja to za szeroka, by tu była wyczerpana.

Jest faktem, że wartości wewnętrzne, tworzące sztukę, przelewają się i w życie twórcy, że je formują.

Jeżeli tedy organizacja artystyczna zmusza kogo do ogarnięcia tak ogromnego zakresu dążeń, to taki artysta okazuje w życiu niesłychanie wielki zasób czucia społecznego, staje się sercem swego pokolenia. Prawdziwy artyzm, ogarniający całość zjawisk życia, oraz poczucie osobistej odpowiedzialności za to życie, związane są ze sobą nierozdzielnie. Odpowiedzialność to już nie za siebie jedynie, jak to było na stopniu pierwszym. Na tym poziomie stanął ten, który jaśnieje na szczycie życia polskiego — Mickiewicz, stanął na nim i Stan. Witkiewicz.

Osobista odpowiedzialność za życie współczesne — oto najwyższy stopień obywatelskości, do którego dochodzi się długo i znojnie. Odpowiedzialność taką postawiły przed oczy Witkiewiczowi może proste i ciężkie słowa za-

pytania górala: „jako ja się mam utrzymować, cobym był człekiem cywilizowanym, a przecie chłopem polskim ostał?“ — postawiło mu w każdym razie zżycie się z ludem.

„Jako się mam utrzymować“ — oto problem. Otworzył on Witkiewiczowi ogromne obszary zagadnień „w wyższym zakresie widzenia“. Uświadomił mu tę oczywistość, „że granicami Ojczyzny są ludzkie dusze, że są one jej siłą i słabością, że w nich się mieszczą pierwiastki jej bytu i jej śmierci, że tylko od tego, jacy są ludzie, zależy to, co się stanie w losach narodu“. A jestto ten sam szczebel, na którym zatrzymała się też świadomość Mickiewicza.

* * *

Od postawienia takiego problemu do jasnego, beztrwożnego zdobycia jego rozwiązania — droga daleka i żmudna. Wiedzie poprzez twarde głazy przemagania w sobie oportunizmu, przez trud wyłamania własnej duszy w kryształ czystego człowieczeństwa. Witkiewicz ten trud podjął.

Żeby dojrzeć jego koleiny, warto zestawić jego opowiadania „z Tatr“ wcześniejsze (np. „Na umarcie“, „Jędrzej Cajka“, „Zośka Galicka“), zestawić choćby to, co pisze w tomie „Na przełęczy“ „po latach“ — z tem, co

w tymże tomie jest przed laty pisane, a zobaczy się wyraźnie linję ewolucyjną, po której się wypowiadała dusza Witkiewicza, zobaczy się wzrastający kąt tej wraźliwości, poprzez którą patrzy on na świat i sprawy jego. Dusza człowiecza, jej dola-niedola, jej teraźniejszość i przyszłość, przykuwa, czaruje coraz bardziej jego oko, uwagę całą. Opanowuje go zagadnienie człowieka. Ale trzeba już tu zaznaczyć, że równocześnie nie zagasa w nim wrażliwość na zagadnienia piękna, sztuki.

Witkiewicz jest malarzem — nie jest to fakt obojętny. Sztuka jego obroniła go przed niebezpieczeństwem skostniałego doktrynerstwa, którego tak bliski jest każdy, kto podejmuje trud wychowawcy.

Widzenie malarskie, dociekanie nieubłaganem okiem w naturę „sama w sobie“, wszechczujna wrażliwość dostrzegania, która nie pozwala jemu, artyście, przejść koło zjawiska: człowieka, czy natury – obojętnie, obroniły go dobroczynnie przed zdrewnieniem wewnętrznem, przed formalizmem, który mierzy wszystko i wszystkich twardym łokciem swojej doktrynki. Stąd słowa Witkiewicza nie są suchym klekotem moralizatora, ale mają w sobie moc żywej, wszystko czującej miłości, jaką mieć musieli apostołowie i św. Franciszek z Asyżu. Czuć pod ich korą tętno krwi serdecznej. Pod każdem

zjawiskiem artystycznem, czy społecznem widzi on nie suchą ideę, ale żywego, czującego człowieka.

Nic chyba nie ilustruje lepiej powyższego sądu, jak opis nocy i świtania zimowego w Tatrach („Na przełęczy“ str. 128—9). Witkiewicz, któremu we współ-życiu, wespół-czuciu z przyrodą najwięksi jedynie mistrze dorównają, który ma jakąś dziwną radość roztapiania się wprost w ekstazie, a równoczesnego dochodzenia przenikającem widzeniem najwnętrzniejszych, tajemnych cudów przyrody — osiągnął tu szczyt artyzmu. Opis jego przykuwa, najdosłowniej przykuwa do siebie, człowiek poprzez kolumny liter błądzi zachwyconemi oczyma po niewidzianych dziwach tatrzańskiej przyrody, za nic nie oderwie się od kartek książki, by natrętny, brutalny widok bruku miejskiego nie przesłonił mu tych przepychów, w które się wtulił, wrósł spragnioną duszą. Jest się niewolnikiem doskonałości słowa, które „błyszczy jak mozajka, śpiewa jak słowiki“. Nagle opis się kończy krótkiem, urwanem, ciężkiem zdaniem: „Ale poza tym cudem są ludzie, którym zimno...“ W tej chwili doznać się musi wrażenia człowieka, który, stojąc na szczycie Giewontu, oderwał „scudowane“ oczy od widoku wschodzącego słońca i spojrzał w rozwartą u stóp przepaść strążyskiego wąwozu.

Widzenie artystyczne Witkiewicza jest źródłem i fundamentem jego „czującego widzenia“. Artyzm utrzymuje subtelne, delikatne czułki jego duszy w ciągłej żywotności, zapewnia miłowaniu jego ustawiczny dopływ z wiecznie żywego źródła. On to nadaje mu ową dobroczynną, miękką ciepłotę duszy, mającej dar: ogarnąć i uciszyć boleść wszelką, słowom zaś dać jakąś błogosławioną, kojącą dobroć czyichś ukochanych dłoni na stroskanem czole.

* * *

Witkiewicza takiego, jaki nas tu obchodzi, wychowało w przeważnej mierze Zakopane. Z placówki zwycięskiej, z wiru walki o „sztukę i krytykę“ — przyszedł był tu, gdzie miał z czasem wykować w sobie moc nowego rycerstwa — o człowieka. Spragniony wolnego, polskiego powietrza, bezpośredniego, niesfałszowanego piękna najczystszej próby, niepokalanej, królewskiej przyrody Tatr, szukając zdrowia wreszcie — znalazł tu wszystko to, a zarazem i więcej jeszcze. Na tle potężnej, w surowe piękno przebogatej przyrody nie zatracił mu się — owszem, zarysował wyraźnie — człowiek, „prosty góral“, wykwit najdoskonalszej chyba w Polsce rasy ludzkiej. Przedstawicielem jego najwyższych naówczas dla Witkiewicza wartości był „ojczyk“ Sabała „Stosunek

mój do zjawisk tatrzańskiego życia w owym czasie był, jeżeli nie wyłącznie, to przeważnie artystyczny, za malarski — jak mówił prof. Chałubiński". Ale stosunek ten począł się gwałtownie zmieniać.

„My wszyscy, którzyśmy zetknęli się ze starem pokoleniem górali, którzy jeszcze nie przeszli przez szkoły, przez wojsko, a niekiedy i przez kościół, zdumiewaliśmy się wytrwałością obyczajową, pojemnością i lotnością inteligencji, szybkością pojmowania, zdolnością wnioskowania i świetnem formułowaniem myśli — całym splotem najcenniejszych przymiotów umysłu i obyczaju. Góral w tym stanie surowej rudy, nie przetopionej i nie przekutej, sam, jako rasa, jest czemś bardzo cennem, jest istotą ludzką wyższego typu".

Zdawało się tedy, że, operując takim doskonałym materjałem ludzkim, w kraju tak cudownym, wśród niezmierzonych, olbrzymich bogactw tego, co stanowi warunki zdrowego życia, w oceanie czystego powietrza, wśród niewyczerpanych źródeł żywych wód, na ziemi czystej, nie przesiąkniętej żadnemi miazmatami, — że tu da się wytworzyć jakiś wyższy, doskonalszy typ ludzkich stosunków, środowisko wyższych dążeń i form życia, promieniujące na resztę społeczeństwa. Słowem — bliską urzeczywistnienia zdawała się jakoby zapowiedź

aureae aetatis, gdzie obce będą sercu ludzkiemu *fraudesque, dolique, insidiaeque et vis et amor sceleratus habendi.*

Wszystko to runęło. Do Zakopanego napływać zaczęła „wyższa cywilizacja“, całe „życie dólskie“, ludzie z wielkich centrów „kultury“, a w ślad za nimi „cała skomplikowana machina życia wielkich skupień i cały warchoł egoizmów, żrących się na tej nowinie społecznej, egoizmów, które do zrównoważenia doprowadza brutalny strychulec życia, podcinając jedne, zaspokajając inne i stawiając ponad zasługę i wartość — powodzenie“. Rozwiały się marzenia!

Ale ludzie takiej organizacji psychicznej, jak Witkiewicz, po klęsce nie załamują rąk, mają odwagę zejść w samą głąb wydarzeń życia, poszukać najbardziej ukrytych sprężyn, przyczyn zjawisk — i jeżeli potrzeba, zacząć budować od podstaw. Witkiewicz zeszedł aż na dno ludzkiego istnienia, do źródlisk ludzkiego czynu; tam pod odmętami znalazł garść pereł dziwnej piękności i poszedł w ludzi, by ich niemi obdzielić. Zanim poznamy oblicze tej ostatecznej zdobytej prawdy, przejść musimy cały zakres dorobku jego długich, utroskanych godzin dumania.

* * *

Witkiewicz doszedł do godności stanowienia o narodzie — poprzez lud. I oto już tutaj zaszła

konieczna potrzeba usunięcia całej gromady zasieków, zburzenia chińskich murów nieporozumień, namulonych ławic złej woli, uprzedzeń. Zagadnienie sprawy ludowej wobec teraźniejszości i przyszłości narodu jest do dziś dnia jednem wielkiem nieporozumieniem. Rzecz „ogromnie przez to smutna".

Tragiczne dzieje końca XVIII w., będące wyrazem politycznego bankructwa wyższych, rządzących w Polsce sfer, zmusiły naród do natychmiastowej zmiany orjentacji. Fale wypadków wysunęły w jednej chwili na stanowisko o s t o i narodowej ogromne masy, tłum o obliczu tajemniczem, niezbadanem. Ale to było *ultimum refugium*. Przeto ośrodkiem tęsknoty narodu w XIX w. stała się polska wieś, I jest nim do dziś dnia. Do dziś dnia drgają w duszy polskiej tony głębokiego, nieukojonego utęsknienia: „Kiedyż się żeńcy polscy z miłością nachylą ku zbożu dostałemu i kiedyż szerokim zamachem potęgi zagarną pokos trawy szumiącej, nie mój, ani twój, ale nasz ojczysty?... Zaklinamy lud polski, żeby świętą koronę z cierni, zeschłej krwi i bezcennych wersetów po naszemu uczcił i po swojemu do piersi przytulił". (M. Zych.). U podstaw wszelkiego polskiego problemu stoi polski chłop.

Ale wieś tę i tego chłopa trzeba było budzić, „uświadamiać". I są do dziś dnia trzy

metody, trzy wprost typy zachowania się wobec ludu. Pierwszy to „zniżenie się“ do niego z jakiegoś niby podniesienia, z wyższych szczebli, ażeby się zaopiekować, ale i oprzeć się na nim. Drugi wiedziony wysoce „demokratycznem“ uczuciem litości nad niedolą. Trzeci bierze chłopa jakim jest, bez wyższości, bez ckliwej litości, a z zawadjacką pewnością, że „w nas jest jesce dusa, co sie z fantazyją rusa“ — że lud — to wszystko, że taki, jak jest — dźwigać będzie indygenat królewski.

U dna tych wszystkich przeszłych i przejściowych prądów ludofilstwa jest jeden motyw wspólny, który zostawia w narodowej świadomości pewien osobliwy osad. Jest oczywistym, a przecież niedostrzeżonym jeszcze faktem, że między temi typami „ludowców“ a chłopem stoi niespotykane nigdzie indziej zjawisko, jakaś mistyczna, uparta wiara, że oto jest ten oczekiwany, wytęskniony, który przyjdzie i zbawi nas. Naprawi, cośmy nabroili, odrobi, cośmy zaniedbali, on — Lud.

Tęsknota lat przesłania nasze oczy jasną poświatą, może to łzy tak tęczują promienie naszego widzenia, dość, że żyje na dnie wszystkich dusz polskich niemotywowana, rozpaczliwa wiara w lud-zbawiciela.

Są w tem zjawisku dwa elementy składowe.

Pierwszy to, bądź co bądź, — poczucie niemocy, słabości, poczucie, że bez niego sami nic nie zdołamy. A powtóre — przekonanie, że „my“ i „oni“ to coś całkiem różnego, to dwa odrębne światy. Więc choć u nas marne jest, podłe życie, liche dusze, zato tam wszystko inaczej, tam leżą całe pokłady drogocennego, nienaruszonego kruszcu: uczuć, czynów. To „tam“ identyfikuje się jakoś z armją „śpiących rycerzy w Tatrach“. Niech-że jeno zagra złoty róg, a wstaną i pójdą, jak wicher...

Mistyczna taka wiara, choć jest na dziś czynnikiem może krzepiącym, zbudowana jest na przesłonięciu oczu. A oko polskie beztrwożnie spojrzeć musi w przepaście nędzy bytu, iżby dojrzało, gdzie można trwale, niewzruszenie budować. Niedopatrzenie zawsze się mści zawodem... Tu oto tkwi pierwsza, nieobliczalna zasługa Witkiewicza. On te dziedziny przejrzał śmiało i prawdę wręcz wypowiedział.

Niema rozdziału na „lud“ i „inteligencję“, na wyższy i niższy zagon ludzkości. Jeżeli jest, to jest sztuczny i opiera się na fałszu.

„To, co stanowi odrębność ludowego istnienia, to są, poza warunkami ekonomicznemi, pewne zewnętrzne normy stosunków, pewne formy obyczajowej kultury, pewne pojęcia umysłowe, które się przeciwstawiają podobnym

zewnętrznym warunkom, określającym odrębność innych klas społeczeństwa. Dusza człowieka z ludu jest w gruncie identycznie taka sama, jak dusza człowieka z arystokracji, lub mieszczaństwa. Człowiek z ludu oddany jest na pastwę tych samych pragnień i namiętności, tych samych nadziei i zwątpień, na pastwę tych samych niemiłosiernych praw bytu, co ludzie innych warstw społecznych. Różni się tylko pojęciami, nie różni się uczuciami".

Jest to najdonioślejsze z „odkryć", jakie u nas na polu społecznem poczyniono. Powinno ono było sprowadzić fundamentalny przewrót metod prac politycznych i oświatowych. Że się to nie stało, jest to z jednej strony dowód, jak trudno przyjmują się w ludzkości prawdy, których konsekwencje żądają nieuchronnej ofiary z jednostkowego czy klasowego egoizmu. Z drugiej strony, jest to smutne, choć oczywiste, świadectwo, jak nam daleko jeszcze do kresu ..

Walczy się dziś przeciw tej prawdzie frazesem o „arystokracji ducha", o „przyrodzonej wyższości" dusz. Witkiewicz pomija 90% sofizmatu, obłudy, jakie w takiem powiedzeniu tkwią, rozważa owe 10% możliwej prawdy.

„Przyrodzona nierówność ludzi, jako przeszkoda w urzeczywistnieniu sprawiedliwości społecznej, okazałaby się o wiele słabszą, żeby

ludzie naprawdę zaczęli poznawać istotną wartość dusz swoich, żeby tej wartości doszukali się ponad warunkami, w których ktoś się urodził, warunkami, które mu nadają pewną zewnętrzną formę i pewien numer w dzisiejszej hierarchji społecznej. W gruncie rzeczy im bliżej się poznaje chłopa, tem mniej go się widzi, tem mniej go jest". Mówić dzisiaj o przyrodzonej wyższości pewnych sfer wyda się w istocie krwawą ironją. Dziś „na tym niższym zagonie warunki życia są jak niemiłosierne sito, sortujące istoty ludzkie według ich wytrzymałości na najcięższe próby niedostatku i bezrozumnego znęcania się nad niemi. Wszystko słabsze fizycznie, subtelniejsze, wszystko, w czem przeważają pierwiastki intelektualne, w czem palą się głębsze uczucia, wszystko, z czego się tworzy naprawdę wyższa warstwa ludzkości, ginie, nie począwszy żyć, nie mając kiedy się przejawić i nie mogąc doznać rozkoszy życia według porywów własnej duszy. Przypatrzmy się pokoleniom chłopskim, przyjrzyjmy się wyrazowi oczu dzieci i porównajmy z tem, co widzimy u dorosłych, u starych, a ujrzymy jakby przepaść psychiczną, która je dzieli. Z chwilą, w której każdy bierze trud życia takiego, jakie jest przeznaczone dla chłopa, na siebie, gaśnie mnóstwo sił duszy, albo ginie mnóstwo istot, poprostu zabitych

przez trud nadmierny, niedostatek i poniewierkę".

Niech, kogo stać, wyczuje z pod tych słów ogrom bólu, poczucia ustawicznie dziejącej się krzywdy, marnowania dusz, sił w narodzie. Witkiewicz wysnuwa stąd prawo: „Sprawiedliwość społeczna wymaga koniecznie postawienia wszystkich ludzi w jednakich warunkach życia, dla ocenienia ich istotnej wartości, jak się stawia na jednej linji konie u startu, żeby słusznie ocenić ich rączość w biegu do mety".

Dziś jest inaczej. „Oto straszliwe następstwa skromnego na pozór faktu, że jeden człowiek rodzi się z tej, a drugi z tamtej strony okna, jak mówi Morris. Dwie ludzkie istoty, jedna bez winy, druga bez zasługi, są fatalistycznie, od urodzenia rzucone na dwa różne bieguny życia, umieszczone w sferze najskrajniej sprzecznych warunków rozwoju i możności czynu. Kiedy jedna, wyzwolona z pod przemocy pierwotnej walki człowieka z naturą, może korzystać z całego skarbu doświadczenia, zdobytego w długim pochodzie cywilizacji, druga współcześnie żyje w warunkach bytu, przypominających pierwsze chwile epoki żelaza, skazana na zużywanie życia, na odkrywania z trudem rzeczy dawno wiadomych, na bezużyteczne wynajdywanie prochu, którym już oddawna na „wyższym zagonie" strzelają do kaczek. Czy

można wartość tych dwu istot mierzyć wynikiem ich życia? Nigdy! Naogół jednak, do dziś, dzieje się jeszcze gorzej, naogół, nie pytając nawet o ten wynik, z góry się wie, kto tu „wyższy“; — oczywiście ten, kto się rodzi w pałacu lub zamku“.

„Nie mówię tu ze stanowiska demokratycznych złudzeń co do bezwzględnej wartości chłopa, nie twierdzę, że on zawsze jest wyższym od pana, twierdzę tylko, że obaj są sobie równi i że istotna ich wartość leży w wartości wątku, z którego utkane jest ich człowieczeństwo, w wartości ich nagiej duszy, ich czystej indywidualności, nawet nie ich kultury. Widziałem jednych i drugich na szczycie i na spodzie, — tu i tam szczęście graniczy często ze świństwem, a nieszczęście z upodleniem; lub naodwrót, w szczęściu widać wspaniałomyślną szczodrość, a w nieszczęściu dumny hart ducha“.

Plącze się w świadomości powszechnej cała litanja frazesów, niby dowodów na istotną jakąś odrębność psychiki chłopskiej: wyłącznie chłopską ma być „pasja do ziemi“. Zapewne, między ziemią a chłopem ułożył się przez przeciąg tylu wieków, z długiego wspólnego pożycia, jakiś osobliwy związek, łączność wrosła głęboko w duszę. A jednak nie jest to przecie przejaw czegoś nieznanego „duszy pańskiej“.

U dna jego leży wspólna dobra znajoma — chęć posiadania, chciwość. „Czy kto ma pasję do ziemi, czy do kasy ogniotrwałej — różnica to niewielka. Chciwość jest chciwością, czy przedmiotem chęci posiadania jest kupa gnoju, czy brylant, świecący jak gwiazda. Duma rodowa i pycha, pochodząca z bogactwa, rozpiera tak samo pierś Gąsieniców, jak i Zbaraskich".

Takie rozwalenie sztucznych zapór, murów, niby to dzielących t. zw. klasy — rozszerza zakres widzenia, wymiata uprzedzenia, daje jasność wzroku, szukającego tężyzny gruntu pod budowę przyszłości. „Człowiek, człowiek, oto co trzeba widzieć w chłopie i w panu, ażeby stracić mnóstwo złudzeń i zyskać wiele nadziei. Traci się złudzenie, ponieważ odpadają arystokratyczne i demokratyczne uprzedzenia tłumów, a zyskuje się nadzieje, ponieważ widzi się iskry dobra, błyskające po wszystkich duszach".

Jakżeż nam jeszcze daleko do pojęcia tej oczywistości! Chełpliwa obłuda sfer „wyższych" położyła nieprzebyte tamy w każdem drgnieniu świadomości między sobą, a nimi. Odmówiono nawet prawa inteligencji chłopu. „Inteligentnym" jest ten, kto nosi marynarkę i trzewiki, nie jest nim ten, kto chodzi w butach z cholewami i nosi koszulę na wierzchu. „Któż

się pokłoni ludzkiej duszy, która się tuła przyodziana w potargane katańsko, pokalane gnojem portki i zdarte kierpczyska, kto naprawdę myśli, że to ta sama dusza w panu, który co dzień zmienia koszulę, i w Wojtku, którego „wsy źrejom“. Gdzie są ludzie, którzy zbliżają się do jednego i do drugiego z tą samą ufnością lub z tem samem uprzedzeniem? Może i są, ale jest ich jeszcze tak strasznie mało!“

Wyższość i niższość dzisiejsza zbudowana jest na bolesnych jakichś nieporozumieniach. Człowiek wyższy, musi znaczyć: człowiek lepszy, a dziś co? Osiągnięcie wyższego szczebla w hierarchji jest jedynie zdobyciem wyższych, doskonalszych środków zaspokajania swych instynktów, łapczywego egoizmu. Wojuje się słowem: kultura, cywilizacja! „Wyraz cywilizacja oznaczał obywatelstwo, od łacińskiego słowa *civis* — obywatel. Obywatelem zaś nazywano człowieka, który się poświęcał za ojczyznę swą. Ale potem w bałwochwalczem pomieszaniu języków nazwano cywilizacją modne i wykwintne ubiory, smaczną kuchnię, wygodne karczmy, piękne teatry i szerokie drogi“ (Mickiewicz). A kultura dzisiejsza jest-że czem więcej nad strojny płaszcz, który okrywać może zarówno zdrowie, jak i spróchniałą nędzę wewnętrzną? Czyż więc one dają prawo „wyższości“?

Do dziś dnia ludzie, którzy szczerze nawet

ludowi współczują, widzą w jego niedoli głównie zagadnienie dobrobytu materjalnego. Zdaje im się, że rozstrzygnięcie kwestji dochodu równa się podniesieniu poziomu ludzkiego istnienia. „Nędza dusz za mało jest brana pod uwagę w rachunku społecznym, a wyobrażenie, że wyższy poziom posiadania bogactwa odpowiada istotnemu podniesieniu się ludzkiej istoty, doprowadziło do przekonania, że mędrszym, lepszym, więcej wartym człowiekiem można być tylko poza sferą ludowego bytu. To też jednostki, które otrzymywały wyższe wykształcenie, opuszczały sferę ludową, dezertowały z niej i przyłączały się do panów. Były drogowskazem krętych dróg, na jakich się robi karjery, zdobywa fortunę i znaczenie. Były to najczęściej typy łapczywych egoistów, którzy dorwali się do miski z pomyjami dobrobytu i nie widzą nic ponad to w życiu godnego do zdobywania i posiadania. Dążąc do wydobycia się z szeregów ludowych, walczyli z klasami wyższemi; stawszy się ich członkiem, zwracają się razem z niemi przeciw ludowi, przeciw tym, którzy masowo dążą do zmiany stosunków posiadania“. Zmieniły się środki działania, ale nie zmieniła istota duszy. Bo ta jest na wyższym i niższym zagonie ta sama.

Przechodzimy teraz na wyższy szczebel; wywody poprzednie każą mówić już nie o kla-

sach, ale o ludzkości. Czem ona się rządzi? „Powszechnym fermentem życia jest chciwość i nienawiść — oto istota wszystkich nędz i nieszczęść społecznych i wszystkich tragedyj narodowych“. „Według przyjętego komunału człowiek jest istotą towarzyską i rzeczywiście jest takim, gdyż zbija się w wielkie stada, żyjące jednak w nieustannych walkach na podobieństwo błotnych ptaków, zwanych Bojownikami. Nieustanne napięcie jednostkowych egoizmów, żywiołowe niechęci różnych ras, wstręty temperamentów i usposobień; tworzenie się klas, to jest grup, mających swoje szczególne zbiorowe egoizmy, zaspokajane kosztem egoizmu innych grup; kapitał i praca, mała i wielka własność, handel i przemysł — i jak się to tam wszystko nazywa — ile nazw, tyle ognisk nienawiści, ile grup ludzkich, tyle zarzewi walki. Na każdą myśl, powstającą w czyimś umyśle, czyha myśl przeciwna; przeciw każdemu rzutowi do czynu wznoszą się mury przeciwieństw i hamujące pięście“. Tak jest wszędzie.

Stwierdzenie tego nie jest wypowiedzią literackiego pesymizmu od zielonego stołu, nie jest nawet załamaniem bezradnych rąk, jest ogniem, w którym, jak metale, czyszczą się dusze. Tak jest wszędzie i jest źle. Teraz to dopiero dostrzec możemy, kogo to trzeba

„podnosić“, uświadamiać, zobaczymy ogrom zadania. I nie opadną nam wobec niego skrzydła.

„Wogóle, patrząc jednostronnie na życie dzisiejsze ludzkości, ludzie myślą gorzej o człowieku, niż on na to zasługuje. Twierdząc, że tylko najniższe instynkty chciwości mogą utrzymać energję ludzkiego czynu, nie słucha się tego, co mówi życie; nie rozumie się, że, jeżeli na sto miljonów ludzi znajdzie się jeden, który jest w stanie działać i tworzyć, nie szukając podniety w chciwości i zawiści, w żądzy posiadania, to znaczy, że cała ludzkość taką być może. Tylko trzeba dążyć do tego, aby taką była, zamiast — jak dziś — hodować starannie w duszach ludzkich wilka i hienę, lub ostrożnego i oszczędnego lisa“. Zło jest „z tej i tamtej strony okna“, wymiatać je trzeba nie z duszy pewnych klas, nie z duszy bliźniego, ale ze swojej przedewszystkiem. To jest jedyna droga naprawy. „Klasy wyższe muszą naprzód podnieść swoje dusze na istotnie wyższy poziom psychiczny i etyczny, ażeby mogły naprawdę tam z góry podać rękę ludowi“. Rozwój społeczny osiąga się przez kształcenie nie pojęć, tylko uczuć. „Uświadomienie“, „podniesienie“ ludu nie dokona się jedynie przez wzmożenie dobrobytu, nawet nie przez oświatę jedynie. Można być człowiekiem dostatnim i oświeconym, a być łotrem. Wszystko, co się

ma spełnić w przyszłości, jako faktyczna zmiana stosunków, musi być rozstrzygnięte w ludzkich duszach; bez tego niema postępu. Kto zaś chce „kształcić uczucia“ ludu, musi mieć w sobie przedewszystkiem prawo do tego, musi zdobyć „godność stanowienia o Polsce“, musi sam w uczuciach być czystym, odrodzonym. Wtedy to pocznie się cenić człowieka nie według pełności kieszeni, nie według ubrania, ale według wartości moralnej jego duszy. Wtedy ludzie zdołają zobaczyć, co wart Wojtek Gandara, wygnany z gazdowstwa w Murzasihlu, a co Napoleon na Elbie.

* * *

Wszystko to, cośmy wyłożyli, nie jest jeszcze budowaniem, jest dopiero wymiataniem śmieci, rozwalaniem zapór, które nagromadziła wiekowa inercja ludzka, fałszywe, obłudne sobkostwo i zła wola. Ale trzeba to było zrobić, nie sposób było dalej okłamywać siebie, zasłaniać sobie oczy liczmanem jakiejś dwutypowości dusz. Trzeba było pokazać ludziom, że każdy musi wychowywać nie kogoś tam, ale siebie, własną duszę. To zrobił Witkiewicz, i w tem jest jego nieoceniona zasługa.

Ale ona nie wyczerpuje jego dorobku. Są u niego wartości, które czynią go jednym z nielicznych budowniczych na tak oczyszczonym gruncie.

Od czegóż zacząć budowę?

„Jednym z pewników, których uczy historja, jest, że rozstrzygającym czynnikiem życia zbiorowego nie są formy urządzeń, instytucje, tylko jest stan dusz ludzkich danego społeczeństwa. Nic nie pomoże najdoskonalsza ustawa, najstaranniej obmyślany ustrój, jeżeli materjał ludzki jest lichy, jeżeli etyka i umysłowość jednostek, stanowiących społeczeństwo, stoją nisko".

A oto do dziś dnia, w całej ludzkości „fermentem życia jest chciwość i nienawiść"; chłopska, czy pańska — wszystko jedno, chciwość, egoizm. Z chciwości, żądzy posiadania, żądzy zwiększania posiadłości cudzym kosztem — rośnie nienawiść. Chciwością zatruty jest „wyższy zagon", nienawiścią przez chciwość zatruwa się dziś lud. „Lud, jako jednostka ekonomiczna, będzie zawsze w przeciwieństwie do każdej innej jednostki ekonomicznej. Będzie dążył — albo jako cała warstwa społeczna do radykalnych zmian społecznych, albo będą odeń odrywać się coraz częściej jednostki, zdobywające miejsce tam, gdzie jest więcej dobra materjalnego, „ka lekcej i lepiej". Jednostki te w dzisiejszych stosunkach pójdą po linji najmniejszego oporu, która niezawsze jest drogą prostą".

A z drugiej strony jest oczywistym faktem obecnej chwili: uznanie mas ludowych, jako

rozstrzygającego czynnika bytu. „Z temi lub owemi zastrzeżeniami wszyscy stwierdzają, że lud występuje na widownię historji, że od sił, które się znajdują w łonie ludu — zależy przyszłość“. Maż ten lud, mając społeczeństwa iść ciągle po linji najwydajniejszego zaspokajania swych egoizmów? „Tak jak cechą życia w naturze jest pokonanie martwej materji, tak cechą ducha jest opanowanie przyrodzonych popędów organicznych“ — kodyfikuje St. Szczepanowski. Cechą i miarą prawdziwej ludzkości jest przezwyciężenie grawitacji „drapieżnych zmysłów i rozkiełznanych chuci“. „Każdy ruch duchowy cechuje się przewagą celów ogólnych, narodowych, lub społecznych nad celami osobistemi, rośnie ograniczeniem tych potrzeb osobistych“ („Idea polska“). W przyszłość wyższą idzie się poprzez ograniczenie egoizmów, chciwości i nienawiści. Takie jest prawo.

Czyż więc stoimy nad przepaścią, my, żyjący wśród orgji jednostkowych i klasowych egoizmów? Nie. „Kto nieśmiertelną ma w sobie istotę, ten czuje, że coś większego ze świata być może“ (Słowacki). Wbrew wszystkim krakaniom, wbrew zimnym rachubom, cyfrom, my wiemy z własnego, wewnętrznego doświadczenia, że przyszłość w naszych rękach. Dalekość tego jasnego kresu wzmóc musi odpowiednio

natężenie dusz, stających na zagonie pracy o niego, i nic więcej. Wiary ona w nas nie umorzy.

„Fermentem życia jest chciwość, nienawiść". Tego się nie zmieni, nie usunie przez łatwe negowanie. Trzeba czynnie, osobiście przeciwstawić zalewowi egoizmów — twardą skałę duszy miłującej, życie w miłości. Oto jest broń jedyna: „społeczna miłość" ewangeliczna. Zdobycie poznania tej dawno odnalezionej, a wiecznie nowej podstawy operacyjnej międzyludzkiej, możliwość ugruntowania na niej całego życia, pokazuje Witkiewicz w dwóch, osobliwem jakiemś pięknem promieniejących obrazkach: „Jędrek Cajka" i „Zośka Galicka".

Cajka, któremu przy strzelaniu skał „oczy zwypalowało", a któremu rodzinę z nędzy wydźwignęło miłosierdzie ludzkie, dochodzi w zaciekłych swoich dumaniach do rozeznania: „cem ludzie żyjom". Żyją — mianowicie — powszechną miłością.

„Wychodząc z ciasnych opłotków swego bytu, nanizując na tę nić jasnej myśli wszystkie sąsiednie chałupy i coraz dalej sięgając poza swoją dziedzinę, Jędrek widział wszędzie jedno: — niepotrzebną, zgubną wrogość, złą pazderność i głupotę, które otwierały naoścież wierzeje nieszczęściu, klęskom, pomstom i karom. A tyle, tyle wszyscy mieli w sobie dobrego! I Jędrek tonął w podziwie nad tym

cudnym światem, który ludzie mogą stworzyć, światem, z którego znikało wszystko to, co szarpało boleścią serca i przygniatało niewolą myśli. Nie mówcie nic! Wsyćko to nic nie płaci: ani woda, ani ogień, ani pieron, ani wiater, ani chorość, — syćko nic nie płaci proc tej siły. Kaby ino ludzie sie miłowali, a mieli rozum".

„Tak wam powiem, samemu Panu Bogu byłoby lekcej żyć, bo by sie nie frasował o kazdom kluskę, cy jom dać, cy ni. Dy wy se pomyślcie, coby to było. Ka sie obrócicie, świat jaze dygoce od miłości, od radości, od scęścia! I nik nie płace, nie jajce, nie banuje, nie pomstuje, nie bije sie, nie klnie i nie boi sie. Cy pozre na niebo, cy na ziem, cy na Tatry, cy na morze, nika nima strachu! Ludzie na świecie! — wołał Jędrek, olśniony swojem widzeniem. — Coby ino nie mieskali, coby nie cekali, jaze ocy zwypalujom".

Zośka Galicka zaś — to dusza czysta, niedzisiejsza, wyzbyta tego wszystkiego, co źre ludzkość: egoizmu, nienawiści. To jakby zapowiedź przyszłości, ucieleśnione marzenie o nadchodzącym człowieku łaski.

Taką to istotę rzuciło życie nieomal od kolebki w służbę dla najciaśniejszego, najpodlejszego egoizmu, zasłaniającego się interesem „famelii" Syrków. W niewoli u tej zaciekłej

ludzkiej, gromadzkiej chciwości pracowała ciężko latami. Bez winy, przez potworne kłamstwo gazdy dostała się do więzienia. Tam otwarły się jej oczy na życie i na własną w niem rolę. Zaopiekowała się sierotą — niemowlęciem i wychowanie jej wzięła za cel swego życia na wolności. Spotkała się ze światem. „Nie mając w sobie ani źdźbła egoizmu, odczuwała Zośka tem silniej, aż do bólu, jego kolce, oplątujące całe ludzkie istnienie, kolce, z których każdy wpijał się do krwi w życie, wołając: m o j e. Zośka potrącała się o ten splot stosunków ludzkich, ściągnięty pętami żądzy posiadania, żądzy własności i rozdzierany na chaos żrących się sił wrogich, przez to samo uczucie, którego krzykiem namiętnym, hasłem czynu, był wyraz: m ó j“.

Centrem jej niepozornego życia stało się zagadnienie: jakoby żyć najlepiej. „Zośka była nieuczona i ciemna. Przyświecały jej tylko uczucia, będące istotą przyszłych, szczęśliwych dni ludzkości, k t ó r a k i e d y ś p r z y j d z i e. Czasem, aż się jej mroczyło w głowie od tego wszystkiego i z tego zamętu wyłaniała się niejasna, nieśmiała myśl, że może: — Zbawienie, to ino to, cobyś żył — jako On żył. Ale Zośka nie mogła tego ściśle ująć. Choć było w jej religji odczuwanie tego świata, w którym żył św. Franciszek i jego legendarni towarzysze.

W rozwoju swojej wewnętrznej istoty doszła do tego punktu, który cała ludzkość musi przejść, żeby móc żyć wyższem życiem, tego punktu, poza którym możliwy jest dopiero człowiek przyszłości, oswobodzony z całego ciężaru walki z lichemi instynktami, nędznemi pojęciami, oswobodzony z tego lenistwa duszy, które przełamuje tem, co nazywa cnotą. Dzisiejsza cnota musi się stać powszednim, pospolitym, nieuświadomionym stanem, żeby człowiek mógł być istotą wyższą ponad siebie; żyć w zupełnej zgodzie z sobą, w zupełnej swobodzie istoty niezależnej.

„Ład“ dzisiejszego świata poniszczył owoce bohaterskiego życia Zośki. Wreszcie i ona sama odeszła „cicho, nieznacznie, w dzień powszedni, że ani nikt nie wiedział kiedy“... Odeszła, ale życie jej jest owem „jednem życiem“ przez miłość pośród miljonów, żyjących egoizmem i nienawiścią, jest zakładem, niezwalczonym dowodem, że cała ludzkość żyć może jak ona, „jako On“.

Oto odpowiedź na pytanie: jako ludzie mają żyć. Każda dziedzina, każde drgnienie życia zbudowane być musi na Miłości. „Prawidła etyczne, bądź jako wskazówki czynów dobrych, bądź jako środki hamowania złych pragnień i ujemnych czynów, są tylko grubem, ogólnikowem spisaniem sposobów, jakiemi się

miłość może przejawić w życiu. Bez niej niema etyki, z nią żadna etyka nie jest potrzebna. Przepełnijmy poza brzegi ludzkie dusze miłością, a zginą wszystkie nędze, wszelkie zło ludzkiego życia, i nie trzeba będzie uczyć się na pamięć spisu cnót i spisów grzechów. Wydrzeć ludzką duszę z ciemnych ostoi egoizmu i rzucić w blask najbezwzględniejszego zatracenia się w miłości, oto jest cel, do którego dąży etyka chrześcijańska, cel, który jest najistotniejszą treścią całej nauki chrześcijańskiej".

Słowa te zdają się stare, słyszeli je ludzie od Chrystusa, od apostołów, a jednak jak daleka od spełnienia jest ich wewnętrzna treść! Tyle wieków, a jakżeż mało posunął się świat w miłości! Czyżby więc naprawdę „Jul. Apostata pomylił się, wołając: „Galilaee vicisti" — pomylił o tysiące lat?"

Tak, stare to słowa, patyną wieków okryte. A przecież one żyją, żyć muszą! Ongiś powiedziano, że są *petra*, opoką, fundamentem. I takie one zostaną, choćby się zdawał wietrzeć granit fundamentu.

Dziś miłość otamowano zwyczajem i względem ludzkim, wyznaczono dni osobne, kiedy ma się czynić miłosierdzie, kiedy się „jałmużnę" daje, potworzono komitety dobroczynne, funkcjonujące wobec społeczeństwa, jako ekspozytury tego uczucia, które miało całą duszę

ogarniać, rozpłomieniać, a stało się jednym z tych drobiażdżków, świecidełek, jakiemi ludzki egoizm zakrywa przed samym sobą swą bezczelnie wstrętną twarz.

Zejdźmy w zabiegi i troski codzienne współczesnego statecznego obywatela, zejdźmy w owe — strach powiedzieć! — komitety dobroczynne, które zabrały w arendę społeczny obowiązek miłości, i zobaczmy, czy to u podstaw każdego miłosiernego czynu tkwi czysty imperatyw miłości człowieka, czy też nie zagościła i tam wstydliwa próżność, „przebaczenia anielska pogarda“, chytra obłuda, która jedną ręką grosz daje, biorąc 100 ręką drugą. Zejdźmy przedewszystkiem w dusze własne, a zobaczymy najdobitniej tę ogromną nad człowiekiem moc zamaskowanego egoizmu, który, ukryty w każdym zakamarku, wysuwa lada chwila pazury swoje, brudząc, niwecząc w człowieku te rzadkie momenty, z radosnego porywu miłości poczęte.

Za długo żył człowiek metodą jaskiniowców, za długo doszukiwał się w każdem stworzeniu albo przedmiotu łupu, albo sobie podobnego dybiącego wroga, albo co najwyżej niepożądanego wspólnika do zdobyczy — żeby się to i dziś jeszcze miało nie mścić. Trzeba to zrozumieć, ażeby, przeglądając ogrom przewalającego się, łapczywego samolubstwa, zachować oko jasne, nie rozpaczać, ale jasno czuć, „że

coś większego ze świata być może, niż gniazdo nędznych i cierpiących ludów, które za jadłem ciągle łażą chciwie. A te są głupie, a te niegodziwe, a te są bliżej, a te dalej krzyża!“ I nie rzucać się, nie łamać rąk, nie zawodzić, tylko czynić. „Każdy z was ma w duszy miarę przyszłych granic“ (Mickiewicz). Nie reformować świata, nie wyciągać źdźbła z oka brata, ale imać za swoje bierzwno, wejść w swoją duszę, przejrzeć pobudki swoich uczynków i — „oczyścić dom“.

Mickiewicz gdzieś nawołuje, by święcić rocznice narodowe, czyniąc śluby, że przez ten dzień, przez jeden choćby, nie uczynimy nic a nic dla siebie, nic dla zadowolenia swoich upodobań, ambicji, zysku, ale oddamy każdy czyn, każdą myśl tego dnia dla braci, dla ojczyzny. Przeżyć w ten sposób choćby jeden dzień! Niech kto sprobuje, a zobaczy, iie na to trzeba wytrwałości, niebywałego bohaterstwa. Otóż trzeba mieć ciągle przed oczami, że bez takiego całego życia — nas nie będzie, że tędy nam jedyna droga. Nie tylko nam, ale wszystkim ludziom. I Witkiewicz na takie to trudy wzywa. Kto ma odwagę, niech stanie przy nim. Ale takie stanięcie, to już obowiązuje na życie. Dzisiejszość tymczasem lubi właśnie nieobowiązujące, nie nakładające odpowiedzialności słówka, zachwyty, entuzjazmy.

Entuzjazmem, sławą krzyczącą obwijano i Witkiewicza ongi; dziś się go troskliwie obwija w zapomnienie. I legjon jemu bratni nie wnet się chyba jeszcze uformuje.

Są dziś bardzo piękne o miłości społecznej — — deklamacje. A powiedziano jest: „Synaczkowie moi, nie miłujmy słowem, ani językiem, ale uczynkiem i prawdą".

Nie chcę tutaj kontynuować dzieła Witkiewicza, nie chcę nauczać, bo brak mi do tego — choćby godności. Wielkie to jest prawo i obowiązujące: „nie każdemu wolno o Polsce stanowić" (Wyspiański). Ale to trzeba głośno powiedzieć, że jest w dzisiejszej Polsce człowiek, który ciężkim mozołem wypracował w sobie godność apostołowania odwiecznej „nowiny"!

Nie wiem, jaki jest stosunek Witkiewicza do „Kościoła urzędowego", czy przypomina może stosunek Mickiewicza, Słowackiego, czy jest może zbudowany na synowskiem poczuciu żalu do matki, że ta nie zawsze dochodzi tej miary doskonałości, o jakiej mu się marzy — to jedno wiem, że tak żarliwego, nieobłudnego, niefaryzeuszowskiego chrystjanizmu, jakiego nurt bije z duszy jego w artykule „Chrześcijaństwo i katechizm" (Reforma szkolna. Kwartalnik. Kraków. Zeszyt I (1904) i II (1913), trudnoby i długo nawet dziś szukać.

* * *

Taka to jest „wiedza człowiecza“ Witkiewicza, taki ten jego „światły anarchizm“[1]). Trud życia jego, ciężka, niewdzięczna, a przecież radosna walka o realizację podstawy przyszłego doskonałego życia — zasady bezwzględnej Miłości — stawiają go w szeregu wielkich naszych „targaczów łańcucha“, w rzędzie wychowawców narodowych. Życie jego jest również „spełnieniem czynu w zakresie dwu wielkich zagadnień ludzkiego bytu: w sferze sztuki i w sferze społecznego dobra. Jest w nim bezwzględny, wszechludzki pierwiastek życia duszy: sztuka — i bezpośrednie oddanie życia jednostki dla szczęścia własnego społeczeństwa. Więcej od nikogo nie można żądać“.

O zbieżności dróg z Mickiewiczem — wspominałem parokrotnie. Tu jeszcze raz podkreślić trzeba jak najwyraźniej, że Witkiewicz należy do mickiewiczowskiego typu organizacji psychicznej. Podjął on podstawową zasadę jego czynu, zrozumiał groźne słowa wersetu „Ksiąg Pielgrzymstwa“: „A każdy z was ma w duszy ziarno przyszłych praw i miarę przyszłych granic“ — i na wprowadzenie ich w życie swoje i narodu, na trud polepszania i rozszerzania dusz — rzucił resztę dni swoich. Z pomiędzy wykonawców wskazań Mickiewicza — Witkie-

---

[1]) J. Jedlicz: *Nasz kraj*, tygodn. Lwów, 1908, str. 104.

wicz jest jednym z największych, najczcigodniejszych. Przypomina w tem jednego chyba tylko człowieka, wielkiego umysłu i bohaterskiej duszy, jedną z najjaśniejszych postaci XIX w., Stanisława Szczepanowskiego.

Dziś, kiedy słowo drukowane zatraca wszelką wartość, kiedy tak zastraszająca liczba piszących pisze po to jedynie, żeby było czem papier zadrukować, a tak mało tych, którzy przez słowo chcą czynić, kiedy i omawiane tu książki i idee właśnie może przez to niebywałe lekceważenie słowa zostały pominięte, zapoznane, dziś warto i trzeba przypomnieć i wrzeźbić to w jak najszerszą świadomość na zawsze, że Witkiewicz to jeden z nielicznych w Polsce, którzy piszą nie dla literatury, którzy piszą krwią żywą, sercem. Takie zaś słowa muszą też przejść nie przez intelekt, nie przez rozestetyzowaną ciekawość, — jako pług przeorać muszą duszę polską, wejść w krew narodu, muszą wydać owoc, zrealizowane być muszą przedewszystkiem. Bo i to trzeba sobie w całej pełni uświadomić, że jedynie przez te szczeble, na które za wielkimi apostołami ludzkości Witkiewicz wzywa, idzie się w wyższą przyszłość.

NAUCZANIE HISTORJI LITERATURY POLSKIEJ W WYCHOWANIU NARODOWEM.

I.

W przeciągu ostatnich paru lat pojawiły się kilkakrotnie z ust powołanych opinje, ujmujące syntetycznie naczelną dążność, rzecby można: duszę piśmiennictwa polskiego, uważanego w całości dziejów. Przyczem — rzecz dziwna — aczkolwiek od niespodzianie różnych i sobie wzajemnie odległych autorów wychodziły owe wywody, czy to je przynosił uczony, czy publicysta, czy pisarz-arcytwórca, — ich sens i teza naczelna, ostateczne ich konkluzje okazywały się zdumiewająco zgodne.

Poszukując mianowicie pierwszych źródeł polskiej twórczości literackiej w przeciągu lat, dochodząc, jaka była przyczyna sprawcza i jaki uczuciowy wykładnik działalności pisarskiej

autorów naszych od XVI do XX stulecia, — przypomniano stare orzeczenie najwyższego syntetyka, A. Mickiewicza, który w toku wykładów paryskich stwierdził, że cała literatura polska wyrosła z tego jednego słowa: — ojczyzna.

Dziś znowu za nawrotem wykazano dowodnie, ze ścisłością nowoczesnych metod badania, że naczelną, istotną cechą piśmiennictwa polskiego jest faktycznie tendencja patrjotyczna, miłosne zespolenie się ze sprawą Rzptej, chętliwość, prawie mus instynktowy, mus służby narodowej. Tem też jest ono „między narodami słynne“ i tem też... niesłynne. Zgodność takich niezawisłych względem siebie stwierdzeń w tej samej sprawie staje się sama poręczeniem trafności sądu.

Spodziewać się też wolno, że sąd ten, posiadający dziś jeszcze cały urok i prawie zapach nowości, przyjmie się i ugruntuje głęboko w społeczeństwie; przepyszne, gorącem serca natchnięte słowa Żeromskiego walnie się do tego niechybnie przyczynią. Być może, że nawet kiedyś stanie się sąd ów utartym, bezopornie przyjmowanym komunałem. Dzisiaj — powtórzyć tu można raz jeszcze — ma on w sobie cały urok i urodzajność, działać może jak żywa, twórcza podnieta, stać się zarodzią dla no-

wych oświetleń przeszłości i nowych ukształceń jutra piśmiennictwa polskiego.

To nowe pojęcie wytycznej przeszłości piśmiennictwa mieć może ogromną doniosłość w przyszłej polskiej szkole, i to zarówno w dydaktyce przedmiotu, jak i w całokształcie wychowania narodowego.

Jeżeli bowiem przyjmiemy, że taka a nie inna jest wytyczna literatury naszej, że jej najwewnętrzniejszym rdzeniem i najcudniejszym kwiatem był rzeczywiście przez ciąg zbiegłych dziejów — patrjotyzm, zaprzysiężona wierność służbie narodowej, jeżeli to przyjmiemy bez łamania rąk, czy nastrajania się do dytyrambu, — ale poprostu jako fakt historyczny, jako coś, co było przez parę stuleci i co, jako przejaw struktury psychiki zbiorowej narodu, zmienić nie łatwo się da i nie na poczekaniu, — i jeżeli z tego założenia węgielnego wywieść zechcemy pomysł metodyki nauczania, tedy rychło i bez zawiłych dociekań znajdziemy zasadniczy, naczelny postulat dydaktyki historji literatury. Postulat w oczywistości swej równie — powiedziałbym — banalny, jak... niestosowany.

Jeżeli bowiem istotnie c a ł a literatura polska, we wszystkich słojach rozrostu historycznego i we wszystkich rozgałęzieniach różnorodności gatunkowej, posiada wspólny wykładnik, wpośród bogactwa tonów wykazuje naj-

wyższą wspólną dominantę, jeżeli ma faktycznie wspólny, wieczyście żywy, jeden rdzeń rozrostu: troskę patrjotyczną, tedy cały ten twór ducha narodowego jest żywą, mocno w sobie zwartą, na swoistych prawach rozwoju wzrosłą całością i w nowoczesnem nauczaniu podawany być musi właśnie jako organiczna, konsekwencją życia wszelkiego konsekwentna całość, a nie jako przypadkowa zszywanka chronologiczna autorów i książek. Organiczne pojmowanie dziejów literatury — oto naczelny postulat jej dydaktyki.

A teraz dalej. Wyrosła literatura polska z żyzności tego słowa: ojczyzna, jego żarem sycona — wykwitła na podziwy. To znaczy naodwrót: — w treść swą, w swą istność przejęła i przechowała dla przyszłości wszelką tęsknotę patrjotyczną, wszelki poryw zaprzysiężonej na służbę woli, całą zarówno radość, podziw i dumę plemienną zeszłych pokoleń, jak żal, gorycz, skargę, gniew i grozę prorocką; była głosem sumienia narodowego w wyniesieniach i upadkach, solą ziemi polskiej, — a dziś jest skrystalizowanym masywem uczuć i ustanowień zbiorowości narodu, jak się układały w przebiegu pokoleń warstwa na warstwie — literackim testamentem ich służby. Z uwarstowień tych, jak geolog z pokładów ziemi, odczytasz ubiegłe dzieje pospólnej duszy polskiej,

jej „myśli przędzę i uczuć kwiaty“. Historja literatury polskiej stać się może w ten sposób historją polskiego patrjotyzmu.

Myśli i uczuć — powiedzmy nawiasem — a nie czynów, bo te zapisała historja polityczna i społeczna. Jeżeli więc nawet przyjmiemy w nauczaniu to nowe pojęcie historji literatury, to nieodzowne przytem będzie zastrzeżenie, że podaje ona przegląd nie zrealizowanych postępków — przejawów czynnej miłości ojczyzny, ale odsłania rozwój patrjotycznej myśli i uczuciowości polskiej. To też gdy dziecko polskie będzie miało i będzie mogło przejąć w pierś swą całą wiedzę o narodzie, o jego wzlotach napowietrznych i mozolnych pochodach po wybojach ziemi, — to korrelatyw historji literatury: historja polityczna (owa Marta biblijna) podana mu być musi na miejscu naczelnem, a nie jak do niedawna w naszych szkołach „galicyjskich“, gdzie i w faktycznym stanie nauczania i nawet na formularzu szkolnego świadectwa zepchnięta była „do suteren“, między przedmioty nadobowiązkowe.

Ale nawróćmy do przerwanego ciągu wywodu. Takie nowe pojęcie historji literatury jako nauki o dziejowem formowaniu się patrjotyzmu polskiego stawia ją na poczesnem miejscu w przyszłem wychowaniu narodowem. W ten sposób stanie się ona prawie naczelnym

organem świadomego budzenia samowiedzy narodowej. Przywoła i postawi przed oczy młodzieży życie duchowe przodków, życie dostrzeżone w najgłębszej jego istocie — pod kątem stosunku do zbiorowego obowiązku: ojczyzny. Człowiekowi dzisiejszemu pozwoli ogarnąć we wstecznem spojrzeniu całą duszę historyczną narodu, przeżyć osobiście wszystkie jego zbiorowe radości i bóle, upadki i nadzieje, jego tęsknoty najwyższe; potrafi sprawić, że odtąd na podstawie ciągłej, idealnej, uczuciowej współobecności we własnej duszy wszystkiego, co w dziejach narodu było wartościowe, oprzeć będzie mógł przyszły obywatel polski swoją pracę pod znakiem przydatności narodowej. Jak zarodek ludzki, zanim się ukształtuje w człowieka, przechodzi podobnoś kolejno przez wszystkie niższe formy bytu, tak dusza ludzka na mocy tego samego prawa biogenetycznego przejść musi i przeżyć przeszłe formy stosunku do zadań naczelnych, zanim wreszcie, wyrósłszy ponad nie, osadzi i umocni się we własnej formie pracy. W odniesieniu zaś do zadań narodowych uczynić to może chyba jedynie za przewodem historji patrjotyzmu, jak się był przejawił w czynie i w spisanej tęsknocie narodu.

Nie ujmując celom i zadaniom innym, jakie dotąd miało i zawsze mieć będzie nauczanie historji literatury, twierdzić się poważam, że

owo wyżej wykazane tu zadanie jest najistotniejsze, bo nie do zastąpienia. To znaczy: nie można mu, podczas kiedy można wszystkim innym, zadość uczynić na podstawie innego materjału, przy innej sposobności. Kulturę estetyczną rozwinąć, ewolucję artyzmu mowy i kierunków literackich ukazać można od biedy i na dziełach poezji obcej (zresztą ukazywać się ją zawsze będzie na polskiej — równolegle), ale tego, jak powiązane były dusze wybitniejszych w narodzie z ideałem ojczyzny, tego nie odsłoni nam nikt poza ich własnym, w dziełach literackich przekazanym testamentem, poza nauką o całokształcie twórczości literackiej narodu [1]).

Że takie pojęcie historji literatury, jako przedmiotu nauczania, niezbyt jest rozpowszechnione, to nie tajemnica. Dowodem być tu może ten choćby fakt, że właściwie istnieje jeden tylko podręcznik, pisany ze świadomością tego zadania: Ignacego Chrzanowskiego *Historja literatury niepodległej Polski.* Książka to istotnie dotąd niezrównana.

---

[1]) Z radością widzę, że, pisząc to, wyrażałem myśli uświadomione ogółowi nauczycielstwa polskiego w Polsce. Świadczy o tem tekst wniosku profesora Chlebowskiego, przyjęty w sekcji językowo-literackiej zjazdu oświatowo-nauczycielskiego 3 stycznia 1917, — w dużej mierze równoległy treściowo z wytyczną powyższego artykułu.

II.

Aliści podręcznik Chrzanowskiego sięga tylko po wiek XVIII włącznie; tom dalszy się nie pojawia, a podręcznikom innym daleko do kontynuowania jego roli i wartości. Metodyka nauczania literatury XIX w. leży wielkim odłogiem. Jest to tem dotkliwsze, że określona powyżej sprawa o istocie literatury naszej tutaj się komplikuje.

O ile w w. XVI czy XVIII patrjotyzm literatury, jak chyba wszystkie przejawy życia społecznego, był genetycznie związany z państwowością, faktowi istnienia państwa upodrzędniony — znać musiał pewien rygor i umiar, t. zn. jeżeli się domagał reform, to tylko reformy ustroju społecznego, czy władzy wykonawczej i t. p. — i wyjątkowo, właściwie jeden jedyny chyba tylko raz, sięgnął do wnętrza duszy jednostkowej i domagał się przemiany, przetworzenia człowieka wewnętrznego, — o tyle literatura w XIX w., wzrosła po upadku państwa, ściśle biorąc, po upadku resztek państwowości własnej w r. 1831, przedstawia typ zasadniczo wobec tamtej odmienny.

Obcując z pisarzami niepodległej Polski o najwyższej nawet żarliwości patrjotycznej, nie zapominamy ani na chwilę, że ich sprawa już przeszła, a ich osobistości, nie wdzierając

się we wnętrza naszych dusz, działają objektywnemi wartościami charakteru czy umysłowości — jako przykłady historyczne, materjał dla polskiego Plutarcha.

Zgoła inaczej stajemy wobec wielkiej twórczości z pierwszej połowy XIX w. Ta właśnie uderza i zagarnąć nas pragnie bezpośredniemi wartościami i konstrukcjami wychowawczemi. Nowsza literatura patrjotyczna polska wykazuje jakąś dziwną zachłanność nauczycielską; uderza na człowieka z góry i porwać go usiłuje na orlich skrzydłach rozbudzonego zapału w ponadszczytne wyżyny nowego życia. Nie tylko pokazuje, jak owi ludzie, jej twórcy, poczynali sobie z ojczyzną, ale stara się narzucić, jak i my sobie z nią poczynać winniśmy. Uczyć chce nie przez historyczny z siebie przykład, ale bezpośrednio z żywej duszy w duszę.

Przyczyn tego zmienionego charakteru literatury szukaćby najpierw w romantycznych poglądach na istotę i rolę poezji. Filozofja romantyczna, uznając jaźń ludzką za wartość absolutną, za twórczynię bytu-rzeczywistości, uważała poezję, wyraz najwyższych tęsknot, przejaw samej istoty czystej jaźni, — za antycypację przyszłych form istnienia, za wizyjną, proroczą zapowiedź tej rzeczywistości, która będzie, rzeczywistości ostatecznej, doskonałej,

nie zniekształconej kompromisami z materją — niebytem. Poecie więc warowała w konsekwencji miejsce wybrane, w społeczeństwie przodownicze.

Powtóre na taki zmieniony stan rzeczy złożyły się wypadki polityczne. Kiedy realną więźbę narodu: państwo, zburzył wróg, trzeba było co rychlej budować więźbę duchową, państwo serdeczne, zakon narodowości. W tem budowaniu ujęli ster najwyżsi z czujących — twórcy literaccy. Następuje ta dziwna, prawie jedyna w swym rodzaju przemiana poetów na wieszczów, niekoronowanych królów i hetmanów narodu. Ci sięgają po rząd dusz, usiłują ująć zbiorową psychikę narodu w najgłębszych pokładach i zatargać, przetworzyć ją na nową, niesłychaną miarę. Stąd owa ich zapalczywość, nieomal łapczywa napastliwość wychowawcza, stąd rozpęd ich mowy, dodzierającej się wprost do duszy współczesnych i potomnych. Poeta chce więc „własne ognie przelać w piersi słuchaczów“ i porwać ich na wielkie życie. Porywa się z dusz tych „większe, niż Ty, zrobić dziwo“. Przez tę zdobywczą żądzę przetwarzania samej istoty człowieczej dochodzi poezja do prawa i dostojeństwa nauczycielstwa patrjotycznego.

Stąd też inny, bardziej skomplikowany być musi do niej stosunek nauczyciela-wychowawcy.

Już nie wystarczy teraz dawna metoda objektywnego poznania historycznego, nie wystarczy wskazanie: — patrzcie, takie były, tak się paliły w sobie dusze ludzi w narodzie naczelnych, którzy atoli przeszli, których serdeczny trud życia także się skończył, zasunął w przeszłość i nas dotyczy już tylko pośrednio. To chłodne stanowisko poznawcze jest tutaj w zasadzie nie do utrzymania, a w wychowaniu nie do przeprowadzenia.

Poprzez półwiekową odległość, przez najboleśniejsze zawody i rozczarowania przerasta ku nam wielka poezja patrjotyczna żywa i żywotna. Pokolenie za pokoleniem w grób się kładzie, a ona władczo ciągle nas jarzmi, porywa, uskrzydla i dźwiga dusze na własne szlaki lotów; dziś równie nieodparcie, jak jarzmiła sobie współczesnych. A jest w niej tyle niepożycie, wieczyście twórczych, nie podlegających zastrzeżeniom, cennych pierwiastków, jest w niej taka żywa, błogosławiona siła wychowawcza, że stosowanie wobec niej li tylko chłodnego postulatu p o z n a n i a historycznego, byłoby okaleczaniem duszy narodowej, zubożaniem jej o nieprzeszacowane wartości.

Trzeba w ten niebosiężny kościół poezji polskiej XIX w. wwieść dusze młode i poddać urokowi, niech działa. Otworzyć uszy na owo wołanie wielkie i wolę skierować ku pełnieniu.

Dopiero kiedy przepracuje, przetrawi w sobie dusza i c h wielką boleść, miłowaniem obejmie przepaść i c h ofiar wewnętrznych i ogromy wiar, wyjdzie ze świątyni na słońce, na bolesne ugory dzisiejszych dni. Wtedy czas wskazać nowe, tamtym ludziom jeszcze niewidoczne, horyzonty, nowe zadania i prace nowe.

Dla nauczyciela to jedno z najtrudniejszych zadań. Wielkiej potrzeba prawości wewnętrznej i daru jasnego wejrzenia w ustawiczny cud tworzenia się istności narodowej, by rozeznać; pokąd poddać młode dusze rozpędowi tamtych skrzydeł, a kiedy mimo wszystko zachować dystans historyczny i uczciwie podnieść p r a w o s ą d z e n i a.

III.

Jak dotąd, to i z tego prawa uczciwego osądu niezbyt wydatnie korzystano. Jeżeli chodzi o krytykę, to raczej zadowalano się potępieniem w czambuł lub pospolitą rubaszną drwiną, czy też zgoła machnięciem ręki. Niech więc na zakończenie tych wywodów, raczej teoretycznych, będzie wolno podnieść i w tej dziedzinie szczegół więcej uchwytny, oświetlić konkretny wypadek. Poruszyć przyjdzie z zakresu wychowawczej kompetencji literatury

porozbiorowej sprawę istotnie doniosłą i bolesną.

Popowstaniową wielką poezję patrjotyczną wyrwało z piersi pokolenia cierpienie narodu.

> Duszą... w moją ojczyznę wcielony...
> Patrzę na ojczyznę biedną,
> Jak syn na ojca wplecionego w koło.
> Czuję całego cierpienia narodu...
> Cierpię, szaleję!...

powiedzieć mógł słusznie za Konradem każdy chyba owoczesny poeta. Jakoteż stała się poezja jękiem narodu mordowanego, krzykiem boleści i... n i e n a w i ś c i do katów. Nuta narodowej nienawiści — och, jakże usprawiedliwionej i niemożliwej do przemilczenia! — odzywa się istotnie bardzo często.

Już w *Grażynie* przełamuje chłody formy klasycznej i lawą palącą wybucha z piersi starego sługi, w *Wallenrodzie* drga schowana niezbyt zresztą głęboko pod pokładami zmyślenia poetyckiego, piorunem druzgocącym wybucha w *Dziadach* i *Księgach,* jest jeszcze w publicystycznej działalności paryskiej Mickiewicza, a dopiero w *Panu Tadeuszu* zatraca się, rozwiewa jakby w zapachu świętości, który bije z całego poematu. Krasińskiego nierzadkie stronice aż dygocą nienawiścią ku Rosji, pełen

jej *Kordjan*, nawet *Anhelli* — żeby już pozostać na szczytach. Nie milknie ta struna przez cały wiek XIX.

Nie chodzi tu o jej ocenę moralną, ani uzasadnienie historyczne. Na uwadze ciągle mamy tylko wychowanie.

Otóż zaprzeczyć się nie da, że w wychowaniu patrjotycznem polskiem tej nienawiści jest — z a d u ż o. Nie wiem, czy zadużo samo w sobie, ale zadużo s t o s u n k o w o.

Z tych, co znają młodzież szkolną „galicyjską", któż zaprzeczy, że ona daleko lepiej znała krzywdy i niszczycielskie ciosy, zadane narodowi w przeciągu półtorawiecznej niewoli, aniżeli tego narodu ostoję ziemską, kraj ojczysty, jego „ziemie, wody", stosunki etnograficzne, społeczne, lub — co ważniejsza — radosną, niczem niezwyciężoną siłę żywiołowego wzrostu narodu, obszar i warunki: — te setki warsztatów polskiej pracy fizycznej i duchowej, gdzie się tworzy wbrew i na urągowisko wszelkiej przemocy — niezniszczalna kultura polska.

Przyczem ta obojętność wobec siły wzrostu narodowego tyczy równo przeszłości, jak i teraźniejszości. Jakże znikomej garstce wiadoma jest gigantyczna praca Lubeckiego nad gospodarczem odrodzeniem Królestwa Polskiego przed powstaniem listopadowem, takaż sama Andrzeja Zamoyskiego przed styczniowem! Iluż zna dzi-

siejszą twierdzę kresową na zachodzie — gospodarstwo chłopa poznańskiego, stan polskości na Kaszubach, na Orawie, już zamilczając o Litwie? Iluż stać na pełną znajomość bohaterskich wysileń narodu nad stworzeniem narodowego szkolnictwa? Zato pamięć krzywd, klęsk, prześladowań przekazujemy z pokolenia na pokolenie w mistycznem jakiemś, nabożnem przejęciu!

Jest to niewątpliwie cecha patrjotyzmu niewolnego. Wytrawić się ją musi z psychiki polskiej, bo jest, jako metoda tylko odporu, wytworem, złem przekleństwem niewoli. Patrjotyzm polski z więzienia i podziemi wywieść na słońce! Że mamy porachunki z tym lub owym wrogiem — nie zapominać, ale przecież się tą świadomością nie gnębić, nie zatruwać; przyjdzie i na nie czas. Na biegunach mściwości nie może się przecież toczyć zdrowe, jędrne życie narodu.

A właśnie źle podana historja literatury, w której uczucia nie mogły być tamowane, jak u szeregowców społecznej pracy, umiejących się „pod ziemią kryć z gniewem i być jak otchłań w myśli niedościgły“ — właśnie ona utrwalać może w duszach ową mściwą nienawiść, przewlekać ją, nawet ubierać w blaski aureoli.

A przecież poza tym, w którym myśmy

wzrośli, porozbiorowym patrjotyzmem, mającym zawsze coś z posmaku tułactwa, czy podziemi, — jest inny, radosny patrjotyzm swobody, którego cechą — rzekłbyś — beztroskliwa wiara w żywotność i wartość narodu, jakiś niewystygający entuzjazm oddania się bez zastrzeżeń na przymnażanie dobra narodowego. Wiara — „niezamącona błędów przypomnieniem, niepodkopana nadziei złudzeniem, ani zmieniona wypadków strumieniem".

Taki patrjotyzm hodować w sobie musieli Kochanowski i Górnicki, Modrzewski, Jan Tarnowski i Jan Zamoyski. Pokolenia wieku XIX o nim zapomniały, nam dziś trudno już nawet zmusić swą psychikę, by spełna pojęła samą jego istotę, pomimo że zapomnienie to dokonało się przecie dopiero w ciągu ostatniego stulecia. Jeszcze Mickiewicz świadczy, że w krystalicznej atmosferze takiego właśnie patrjotyzmu wzrosła młodość jego — przeczysta „jak pierwsze kochanie".

A jeśli czasem i Moskal się zjawił,
Tyle nam tylko pamiątki zostawił,
Że był w błyszczącym i pięknym mundurze;
Bo węża tylko znaliśmy po skórze —

westchnie potem na bruku paryskim z głębi tylekroć już, boleśnie doświadczonej duszy.

Taką młodość mieć chyba musieli wszyscy z pierwszego pokolenia porozbiorowego, zwłasz-

cza urodzeni zdala od widowni tragedji rozbiorowej, po dworkach, gdzie groza wypadków jeszcze się nie uświadomiła, gdzie — rzekłbyś — w ścianach samych, w całym trybie życia i myślenia ojcowskiego przechowała się jeszcze była żywa tradycja własnej państwowości.

Nie dosyć, zdaje się, zwrócono uwagi na to, że istniała na początku zeszłego wieku zbiorowa próba świadomej obrony dusz pokolenia przed fatalną zarazą spiskowania.

Mianowicie filomaci wileńscy usiłowali się przeciwstawić zalewającej powoli Polskę konspiracyjności politycznej. Już oni rozumieli niebezpieczeństwo, jakie niósł za sobą złowróżbny „terroryzm zakrytego mistrza i tajemnej rady", kluby i towarzystwa wdrażające młodzież do „intrygi skrytości, obłudy, niedowierzania sercu i przyjaźni".

Świadczy uczestnik tamtych zabiegów, Ign. Domejko[1]), że przeciwstawienie się było planowe, że w pełni zdawano sobie tam sprawę z grozy niebezpieczeństwa.

Tragizm doli polskiej sprawił, że garść młodzieży, pod takiem rozpoczynająca zwołaniem, w przeciągu lat niewielu sama musiała zataić swoją otwartość, słoneczną prawość myślenia

---

[1]) Ign. Domejko: *„Filareci i Filomaci"* w zbiorze H. Mościckiego: „Promieniści" Warszawa 1917, na str. 10.

i postępowania, wejść na drogę zwalczaną, — bronić polskości swej i swego charakteru przez zmowy sekretne.

Słoneczny ów — nazwaćby się go chciało: „czarnoleski“ — patrjotyzm, przerodził się bowiem już rychło pod ciosami klęsk na tak dobrze nam znany — spiskowy, więzienny. Jeden to z najboleśniejszych procesów, jaki się dokonał w porozbiorowej duszy narodu. My dziś wejrzeć ledwie możemy w to męczeństwo tamtych ludzi, zrodzonych na pograniczu czasów, dusz, pamiętających jeszcze polskie wolne powietrze, a przyginanych potem przez okrutną rzeczywistość do nowych warunków pracy, nowych broni. Mękę tę przekazało owo pokolenie w jednym zwłaszcza wyrazie, ale starczącym za wiele.

Jest to Mickiewicza wiersz *Do matki Polki* o losach polskiego dziecka, „któremu patrzy z czoła dziecinnego dawnych Polaków duma i szlachetność“. Wiersz najtragiczniejszy pośród całej liryki polskiej. Tak mało kto go pod tym względem rozważa! A jest to przecie z samego dna istności narodu wyrwany, najwyższy na cały wiek, jęk bólu i skargi na piekielny polski los, że najcenniejsze wartości duchowej swobody ścigane są jak najohydniejsze zbrodnie, że co na świecie jest cnotą godną posągów, to u nas występkiem prowadzącym niezawodnie do taczek i łańcucha.

Bo choć w pokoju zakwitnie świat cały,
Choć się sprzymierzą rządy, ludy, zdania,
Syn twój wyzwany do boju bez chwały
I do zwycięstwa bez zmartwychpowstania.

A wreszcie to najstraszniejsze, — że wciśnięci w piekło cynicznie przemożnego ucisku, sami musimy wyradzać i potworzyć ów najcudniejszy skarb narodu: młode polskie dusze; ich entuzjazm miłosnego oddania się ojczyźnie oblekać w kajdaniarskie szaty patrjotyzmu spiskowego, w którym się nauczą

Mową truć zcicha jak zgniłym wyziewem,
Postać mieć skromną, jako wąż wystygły.

Głuchy tylko nie dosłyszy w tem i osobistego jęku poety, który niedawno przedtem wbrew swej wewnętrznej prawości musiał także „milczkiem, jak wąż, łudzić despotę". A taki sam, bezprzykładny w świecie jęk boleści wyrywać się musiał z tych samych źródeł z piersi całych zniekształcanych duchowo pokoleń polskich. Wiele z tego jęku wzięła w siebie i przechowała wielka poezja przeszłego stulecia.

A jednak, — chociaż jest nam najdroższym klejnotem w skarbcu narodowych doznań z przeszłości ów patrjotyzm stygmatyczny, to przecie wyjść poza niego musimy. Musimy odzyskać dla nadchodzącego pokolenia ów słoneczny,

państwotwórczy patrjotyzm „dawnych Polaków“, — wzbogacony niejednym rzetelnym plonem pracy ducha narodowego w XIX w. Ale wolny od dręczycielskich rozkrwawiań się, od biczownictwa narodowego i zapiekłej mściwości wobec postronnych nieprzyjaciół.

Potrzeba to, niż kiedykolwiek, gwałtowniejsza dziś, kiedy jaśniej, niż ojcom i dziadom naszym, rozpalać się nam zaczyna jutrzenka swobody, kiedy piersiom polskim otwiera się nareszcie wiosenne, rześkie, krystaliczne powietrze do oddechu, wolna, szeroka przestrzeń — ramionom do pracy, duszom do radosnego wzrostu w niebo.

O niej to nauczyciel historji i literatury polskiej w wolnej szkole narodowej pamiętać musi ustawicznie.

JESZCZE O NAUCZANIU HISTORJI LITERATURY POLSKIEJ XIX W.

Do uwag, poczynionych w drugiej części poprzedniego artykułu — sądzę, że trzeba jeszcze wrócić, bo rzucone były zbyt mimochodem i do zwartej konkluzji nie zostały rozwinięte. A że wrócić warto, łatwo przyznamy, zważywszy, jak dużą rolę, niewątpliwie jedną z zasadniczych, mieć będzie nauczanie historji literatury polskiej w przyszłem, wolnem szkolnictwie. Chciałem więc obecnie nawiązać myśl do owego ustępu, częściowo go rozwinąć, częściowo zaś poruszyć nowe strony zagadnienia. Idzie mianowicie ciągle o narodową dydaktykę historji literatury polskiej XIX w.

Jeżeli już poprzednio zwróciłem uwagę na wybitnie, niemal jaskrawo wyłączny, jednolity charakter patrjotyczny tej literatury, to podkreślić można teraz dalej, że i w tym chronologicznie węższym okresie, na przestrzeni je-

dnego stulecia, literatura polska, uważana pod względem owej naczelnej cechy macierzystej, ukaże się jako organicznie zwarta, w przejrzystą wewnętrzną konstrukcję zbudowana całość. Wykazuje mianowicie: linję konsekwentnego wzrostu, własne wiązanie szczytowe i opadające zwolna zbocze powrotnego uspokojenia i wyczerpania.

Trudno się tutaj kusić o uplastycznienie tego obrazu szczegółowem wniknięciem w charakterystykę literackiej epoki. Ważny jest dla nas na razie tylko ów szczyt. Na imię mu Mickiewicz.

Tyleśmy się już osłuchali i obyli z takiem bezsprzecznem przyznaniem Mickiewiczowi roli centralnej w naszem piśmiennictwie, z tem, że i w życiu duchowo-patrjotycznem „my wszyscy z niego“, a przecież jakoś nie sporo do wyciągania stąd dalszych wniosków.

Człowiek to w narodzie polskim istotnie centralny. Przedewszystkiem skończenie całkowity w swej istocie człowieczej — wyrosły z ziemi i nierozdzielnie z nią spojony, a wrastający w niebo, szary robotnik wśród powszedniego ludzi zgiełku, a przecie pielgrzymujący bezustannie w głodzie świętości, inicjator polskiego zakonu i zarazem żołnierz. W tym względzie on chyba jedyny w Polsce. Ustrojem psychicznym zdaleka pokrewny mu był ze współczesnych

zapewne jeden tylko Goszczyński, choć o wiele nie dochodził go genjuszem.

Ta sama centralność przypadła mu w życiu polskiego patrjotyzmu. Rozrzucone wśród wieków i ludzi, rozbieżne jego promienie on zgarnął w siebie jak w ognisko soczewki, rozżarzył do najwyższej na całe pokolenie potęgi, dał mu niedościgle doskonały wyraz artystyczny i rzucił w przyszłość. Człowiek, który stanął między dwiema epokami życia polskiego, jak szczyt nie do ominięcia.

Otóż z tego to właśnie faktu godziłoby się nareszcie wyciągnąć bez kompromisów wniosek także i w dziedzinie wychowania, dydaktyki literatury polskiej.

W takiem zaś jej nauczaniu, jak je tu naszkicowano poprzednio, t. zn. pojąwszy je jako sposób zorganizowanego budzenia świadomości obywatelskiej, jako rozpatrywanie dziejowego wizerunku narodzin, wzrostu i kolejnych natężeń patrjotycznej myśli i uczuciowości narodu — będziemy musieli przyjąć za zasadę bezsporną, wymagającą urzeczywistnienia spełna, bez zastrzeżeń, — owo żądanie, by życie i dzieła Mickiewicza uczynić szczytem i ośrodkiem narodowego wychowania przez literaturę. I to żądanie teoretycznie nie jest nowe, choć w praktyce nauczania jeszcze nienaruszone.

Cóż tedy, ściśle biorąc, oznacza takie żądanie? Przecież nie to jedynie, żeby w trakcie nauczania literatury Mickiewiczowi właśnie poświęcić najwięcej czasu i staranności, choć to przyjść musi także samo przez się, kiedy zadość uczynimy istocie postulatu. A istota jest w tem, żeby Mickiewicza uczynić ośrodkiem wychowania narodu, i to w całej pełni znaczenia tego wyrazu, przyznać mu bez zastrzeżeń rolę taką, jaką miał Homer w wychowaniu starej, a jaką dziś podobno za nawrotem nadać mu się usiłuje i w nowożytnej Grecji.

Uczyło się mianowicie dziecko greckie z Homera: 1) przeszłości narodowej, 2) języka, 3) religji. W punktach tych zmieści się i dzisiejsza potrzeba.

I z Mickiewiczowego *Pana Tadeusza* przyjść powinno dla dziecka polskiego pierwsze rozpoznanie dawnego kształtu ojczyzny, odmalowanego wpośród ostatnich pokoleń jej państwowości. Poznanie atmosfery, stosunków życiowych, kłopotów, małych radości i wielkich tęsknot owych ludzi, wyprowadzonych tam — prawda — z przywarami, wadami, nawet śmiesznostkami, a przecie z szczerozłotą ponad wszystko, chwytającą za serce, polską iściznią duchową.

A wtedy, niewątpliwie, po wniknięciu w ten klęskami i „nadzieją brzmienny“ okres naro-

dowego życia od „prawa 3-go maja“ do „polskiej wojny“ Napoleona, po takiem poznaniu, „co kochać przymusza“, pójdzie „i serce, a za sercem dusza“, przyjdzie umiłowanie, przylgnięcie młodej duchowej latorośli w spazmie pocałunku do najdroższej, poprzez słońce widzianej, — „dawnej ojczyzny“.

Otóż tak będzie, tak stać się powinno w Polsce, że na czele, u samej podstawy narodowego uświadomienia dziecka stać będzie *Pan Tadeusz;* z nim splatać się będą genetycznie: niezapomniane dla każdego chwile pierwszego obudzenia się wewnętrznego człowieka, rozbłysk nagłego uczucia się jednym z nich, obywatelem wieczystej Polski, pierwszy moment świadomego wkluczenia się w łańcuch pracujących narodowo pokoleń. Przy tem arcydziele poezji i uczucia polskiego stawać się będzie i przez nie: — takie wieczyste odradzanie się ojczyzny serdecznej w nadchodzących generacjach.

Sprawa druga, o j ę z y k, zbyt ściśle się wiąże z dotychczasowym stanem nauczania tego przedmiotu w szkole, więc dojść do niej można większem nieco dopiero na ten temat koliskiem.

W inwentarzu braków i uchybień dzisiejszej dydaktyki szkolnej jednę z najprzykrzejszych chyba pozycyj stanowi właśnie, niestety, nauczanie języka polskiego, jego t. zw. gramatyki.

Napewno nie będzie przesadą stwierdzenie, że z pośród absolwentów polskiej szkoły średniej zaledwie może 1% ma o ustroju języka polskiego jakie takie pojęcie. Bo też gramatyka tego języka należy, jako przedmiot nauczania, stanowczo do najbardziej przykrych, powiedzmy poprostu obmierzłych, oczywiście nie z winy przedmiotu. Odrabiało się ją, jak pańszczyznę, i jak o niemiłym epizodzie — chce się o niej jak najrychlej zapomnieć.

Fakt to, niestety, chyba powszechny. Chcąc wskazać jego przyczyny, mówićby trzeba niewątpliwie wiele o nieporadności dydaktycznej nauczyciela, którego nikt nie nauczył uczyć dobrze gramatyki w szkole; pomińmy jednak wzgląd ten, tutaj niewczesny. Ważniejszy jest na razie wzgląd drugi, leżący głębiej: w istocie dzisiejszego ustroju tej nauki.

Kształt dzisiejszej gramatyki (oczywiście: szkolnej) języka polskiego jest niewolniczem odbiciem konstrukcji gramatyk języków martwych, „klasycznych"; — stąd też wyrosło to tragiczne nieporozumienie co do metody jej nauczania. Bo przecież jest między nią a tamtemi w najoczywistszej istocie przepaść niezmierzona, są to dwie jakości heterogeniczne, zasadniczo najzupełniej niewspółmierne.

Języki klasyczne, jakoteż żyjące, ale obce, poznaje się przecież od zewnątrz. Zanim się

potrafisz rozumieniem wgryźć w blok ich organizmu i opanować je pamięcią, poznać musisz poprzednio, abstrakcyjnie, istotę ich ustroju, całe wewnętrzne rusztowanie praw, formuł, i wyjątków, zanim — co jest zresztą rzadko i trudno osiągalnym celem[1]) — dojdziesz do jądra organizmu, posiądziesz go twórczo, jakby rodowity tuziemiec. Jestto — jak widać — proces dedukcyjny, od rusztowania do miąższu, od normy i praw do każdego poszczególnego zjawiska językowego.

A z językiem rodzimym jest przecież wręcz odwrotnie; tu każda jednostka siłą faktu znajduje się wewnątrz organizmu języka, posiada go właśnie twórczo, nie zdając sobie nawet sprawy z praw i prawidłowości w nim panujących. Więc w nauczaniu punkt wyjścia będzie biegunowo tamtemu przeciwny: co tam było celem dążenia, tu jest faktem.

Rzecz też chyba oczywista, że w tak różnych wypadkach nie można stosować tejsamej metody; o tem właśnie zdają się zapominać podręczniki i nauczyciele gramatyki języka polskiego. Jak tam, tak i tu stosują metodę dedukcyjną, gdzie jedynie dla indukcji miejsce;

---

[1]) Ob. naprzykład wyznanie Al. Brücknera: *O język obcy*, dod. do 630 nru „Nowej Reformy“ z dnia 16-go grudnia 1916 i w osobnej odbitce.

wychodzą od norm, uczą wzorów, szeregów klasyfikacyjnych i t. p.

W gramatykach szkolnych języka polskiego pobudowano najkunsztowniejsze rusztowania, pełne różnorodnych działów, poddziałków i tym podobnych scholastycznych subtylizacyj, co w uczniu, zdanym w tym gąszczu prawideł na swą wyłącznie pamięć — wywołuje odrazę i odruchowy upór. Wobec zaś takich podręczników niewykształcony dydaktycznie nauczyciel za zadanie swoje uważa wbicie w umysły uczniowskie jedynie wszystkich tych misterności „po zucheleczku“, „stąd — dotąd“. Rezultat wiadomy.

Taki stan rzeczy wiecznie trwać nie może, przyjść kiedyś przecie musi i na tem polu do zmiany, może wprost do rewolucji. Zjawi się przecie nareszcie kiedyś reformator, co wymiecie tolerowane przez inercję śmiecie i budowę stawiać zacznie na nowo. Normą mu właśnie będzie indukcja, wyjść będzie musiał od żywego języka, którym każde dziecko włada bez gramatyki, i stąd, od wnętrza, prowadzić pocznie do poznania ustroju mowy rodzinnej. Punktem wyjścia stanie się mowa żywa, oraz pomniki literackie najszczerszej, najczystszej polszczyzny nowożytnej.

Otóż wtenczas to, w tem przyszłem nauczaniu języka polskiego, przyjdzie potrzeba, że

nauczyciel, oglądając się za materjałem, za najdoskonalszemi wzorami polszczyzny, sięgnąć będzie musiał do Mickiewicza. Siłą rzeczy nastręczy mu się znów nadewszystko *Pan Tadeusz*, przez nikogo dotąd nie przewyższona książka polska, ale także i *Wallenrod, Dziady* i proza. Nastręczy się nie wyłącznie, — obok wielu innych klejnotów języka, przekazanych przez pisarzy polskich, — ale zawsze w pierwszym i naczelnym rzędzie.

Jak już dzisiaj coraz częściej nauk przyrodniczych, np. botaniki, zaczyna się uczyć nie od systematyki, ale od... łąki, tak niezadługo nauczyciel języka polskiego zaczynać będzie nie od gąszczu rusztowań gramatycznych, ale wprowadzi uczniów na obszary wolnej, na drezdeńskich i paryskich brukach wypieszczonej polszczyzny, na zagony wzorowych tekstów, i pokazywać pocznie kolejno, od kwiatu do kwiatu, jej wewnętrzną budowę i rozwój historyczny.

Z takiemi tekstami planowo obcując, przyswoi sobie uczeń ich zwroty, określenia, przenośnie, włoży własną swą mowę w szlachetny rytm wzorowego ich okresu. Wtenczas to dopiero ten klejnot najczystszej próby, mowa mickiewiczowska, wsiąknie dosłownie i wszlachetni się w pospólny język narodu. Wtenczas też porozumiewać się będziemy między sobą

mniej, niż dzisiaj, żargonem dziennikarskim, a więcej — jak ów sienkiewiczowski emigrant staropolskim językiem biblji w przekładzie Wujka — krystalicznym językiem Mickiewicza i wielkich stylistów polskich.

Co zaś do punktu trzeciego, to przez religję rozumieć tu będziemy najwyższy w Polsce kształt natężonego patrjotyzmu: mickiewiczowską religję narodowości.

Powyżej wspomniano, jaka jest społeczna rola i jakie miejsce Mickiewicza w dziejach rozwoju patrjotyzmu polskiego. Jeżeli go zaś chcemy zważyć w tym względzie samego w sobie, bez zatroskań historycznych, to zaznaczyć musimy najpierw, że była to jednostka jedna z najdoskonalej w Polsce uorganizowanych w typie narodowym, t. zn., że psychika jego cała się skrystalizowała koło osi patrjotyzmu, który przeto stanowił najrdzenniejszą iściznę duszy. Gdyby go był Emerson mógł włączyć w swą serję „Przedstawicieli ludzkości", zatytułowaćby musiał odnośny rozdział: „Mickiewicz, czyli człowiek narodowy".

Powtóre trzeba zauważyć, że właśnie w tej najwewnętrzniejszej swej istocie, w swym stosunku do służby narodowej, przeszła dusza Mickiewicza przez pewną swoistą ewolucję, odbyła drogę, która co do natężenia — była jego własną, ale co do kierunku — uznana

być może za bezwzględnie cenną, więc prawidłowo obowiązującą, niemal typową dla wszelkiej obywatelskiej organizacji psychicznej w Polsce.

Jeżeli tedy zważymy, że budzący się patrjotyzm każdej młodej duszy także podlega rozwojowi, przechodzi pewne koleje wzrostu i pogłębienia, tedy zadanie wychowawcy wobec uwag powyższych przedstawi się już samorzutnie, wyraźnie. Idzie o to, żeby ów rozwój przeprowadzać świadomie śladami Mickiewicza, w ten sposób proces wewnętrzny, który się raz w nim był dokonał, — zwielokrotnić, odtwarzać w duszach pokoleń, rozkrzewiać i hodować typ mickiewiczowski życia duchowego. Tą drogą postępując, dojdziemy do tego samego rezultatu końcowego: do wmurowania w dusze jednostkowe najwyższego dorobku ducha Mickiewicza, — religji narodowości.

W jakiż tedy sposób, konkretnie biorąc, można to przeprowadzić? Nawracany znów do dotkniętego już niegdyś zagadnienia: jak to się ma uczyć żywotnie Mickiewicza i patrjotycznych pisarzów polskich XIX w., jaka jest owa metoda, co ma zastąpić objektywne historyczno-literackie poznanie?

Jeżelibyśmy określili dotychczasową metodę dydaktyki w tym przedmiocie jako metodę pojmowania i utwierdzania w pamięci, to w prze-

ciwieństwie do niej nazwiemy tę nową: — metodą przeżycia, metodą doprowadzania do osobistych doznań i wewnętrznych przepracowywań.

Zadanie nauczyciela staje się o wiele trudniejsze; już teraz chodzi nie o to tylko, żeby podniecić zainteresowanie uczniów, pamięci ich dopomóc mnemotechniką, sprawić, by wiedzieli o tym lub owym fakcie, odczuwali ten lub ów przejaw piękna, ale o to, by zdołać potrącić ich istotę duchową, rozbudzić w niej pewną, świadomie określoną pracę wewnętrzną i pokierować nią.

Na przykładzie konkretnym można będzie myśl jaśniej uprzytomnić i uplastycznić.

Już u samego progu biografji duchowej Mickiewicza natrafiamy na zjawisko przedziwnego piękna i wartości: — filomatyzm, — zrzeszoną pracę młodych przyjaciół nad ukształtowaniem w sobie charakteru. Pominąć go nie może wychowawczy nakaz wtórnego przeżywania. Sposobność to nieoszacowana do popchnięcia młodych dusz: — idźcie i wy w tamtych ślady, podejmcie ich myśl i pracę! Ukształćcie w sobie uczciwie i wytężenie — bezinteresowną uczynność przyjacielską, wprzęgajcie młodą wolę do walki ze złemi skłonnościami duszy, z płużeniem swemu lenistwu, egoizmowi i swawoli, do upartej walki o czy-

stość ciała i myśli, o prawość wewnętrzną! Stajcie się w sobie godni przyjęcia w grono Jeżowskiego, Zana i Mickiewicza, uczcie się — jak oni — czynnie kochać cele szczytne, wysokie.

Nie polskaby to była młodzież, coby została głucha na podobne wezwanie. A gdy usłucha, wtedy dopiero zadanie się otwiera dla wychowawcy właściwe: — długą, codzienną pracę zorganizować, dobrą wolę pierwszych zaprzysiężeń podtrzymać, budzić inicjatywę i skierowywać, gdy zajdzie potrzeba. Poprzez upłyniony wiek znowu wstanie w ten sposób filomatyzm wileński, siecią ognisk rozkrzewi się wśród młodzieży polskiej, jako żywa potęga, rodzimy typ pracy samowychowawczej, zaczyn prawości i siły charakteru w nadchodzącem pokoleniu.

Byłaby to zarazem — że wtrącimy nawiasowo — doskonała sposobność do spełnienia innego zadania wychowawczego, co je tak całkowicie przeocza dzisiejsza szkoła, do zorganizowania wśród młodzieży przyjaźni szlachetnych. Ten tak doniosły czynnik życia społecznego: przyjaźń z lat szkolnych, zawiązuje się przecież w lwiej części byle jak i kiedybądź, samopas; wychowawca nie ma w tem najmniejszego udziału. To też faktycznie t. zw. przyjaźń z ławy szkolnej, dzieło kapryśnego

przypadku, bardzo rzadko bywa czemś więcej, niż czczym frazesem. Rozbieżne zainteresowania rozrywają niedawnych kolegów już u bramy szkolnej, każdy idzie w swoją stronę; o ciągłości duchowego rozumienia się i porozumiewania, o istotnem współdążeniu, podtrzymywaniu się wzajemnem w zamiarach i w wytrwałości po niejednej życiowej klęsce — ani mowy!

A przecież taka wspólność wewnętrzna, łączność pracy i myśli, jakie się zadzierzgnąć mogą w młodych duszach, to żywy, doniosły czynnik społeczny, to źródło siły, czasem o wiele więcej warte, niż niejedna najszczytniejsza, wpojona „zasada".

Jedną z przyczyn tego ujemnego bezsprzecznie zjawiska jest doraźna przypadkowość zawieranych przyjaźni. Powstają z przypadku, jak wspólność mieszkania, sąsiedztwo w klasie, lub t. p., a nie z doboru naturalnego. Otóż właśnie wola wychowawcza to sprawić musi, by czynnikiem decydującym było pokrewieństwo dusz, wspólność umiłowań szczytnego celu, wspólność pragnień i lotów.

Ten to sekret przecudnie właśnie rozumieli filomaci, najściślej przestrzegali doboru naturalnego przyjaźni. „Wniósłby tylko tępy, że wszyscy wolne mają do nas wstępy" — oświadczał Mickiewicz. Jakoż istotnie — pokrewień-

stwo dusz było istotną towarzystwa zasadą. Ale też raz zawarta taka przyjaźn szlachetnych przetrwała klęskę rozgromienia, śledztw i więzień, wyniosła się ponad czas i przestrzeń. Na dowód wystarczy wejrzeć w stosunek Zana z Mickiewiczem na wygnaniu, przeczytać choćby jeden list Jeżowskiego do Mickiewicza na emigracji. Jak się ci ludzie podtrzymywali wzajemnie, jak się rozumieli głęboko po dziesiątkach lat!

Otóż troskliwe wychowanie może taką właśnie przyjaźń duchową, nierozerwalną zainicjować, uprawdopodobnić. Trzeba na to tylko świadomie zorganizować, zrzeszyć szlachetnych, powiązać ich między sobą obudzoną wspólnością umiłowań i współpracy, uprawić, przysposobić ich dusze wzajemnie do przylgnięcia, powiązania się na wyższym poziomie przyjaźni.

W odrodzonym przez osobiste przeżywanie filomatyzmie — sposobność do tego niezrównana.

W podobny sposób przepracować winien uczeń najdosłowniej osobiście całą kalwarję narodowej troski Mickiewicza: i rosyjską epokę wygnańczą, i trud utwierdzania w sobie człowieka etycznego w Rzymie i w Dreźnie, i okres zakonnej niemal pracy narodowej w Paryżu; drogę, przy której, jak obeliski śmigłe, stoją *Oda do młodości*, *Wallenrod*, *Dziadów* cz. III. i najwyższy szczyt jej w słońcu: *Pan Tadeusz*.

Wtedy to cała ta droga, dotąd cudza, upowszedni, upodmiotowi się dla polskich pokoleń, stanie się najdroższą, najczulej umiłowaną, bo własną.

Po tem, co powiedziano o centralności Mickiewicza, jasne chyba będzie, że zastosowana do niego metoda wychowawcza osobistych doznań daleka jest od wyłącznego kultu osoby. Łączyło się to życie, i łączyć będzie przeżycie wtórne, ustawicznym węzłem serdecznym z naczelną dążnością narodową całej epoki; jak w filomatyzmie, tak w pracy nad religijno-narodowem odrodzeniem emigracji, w mesjanizmie wreszcie, jest Mickiewicz zawsze jednostką reprezentatywną, mocno powiązaną z życiem współczesnego pokolenia. Poprzez niego poprowadzić można drogę do dusz reszty pisarzów-współprzewodników narodu i do psychiki szerokich mas owoczesnego społeczeństwa; słowem, przeszłość istotnie przybliżyć i w sobie ożywić.

Wobec tego sądzić chyba wolno, że przyszła dydaktyka historji nowszej literatury polskiej nie będzie mogła przejść obojętnie obok wskazanej tu metody żywotnego nauczania minionych wartości duchowych, że owszem metoda nawrotnego przeżycia, przynajmniej do kilku naczelnych jednostek zastosowana, stanie się kluczem wzmożonego budzenia świadomości

narodowej, czynnikiem nieprzerwanie, konsekwentnie prowadzonej pracy obywatelskiej. Przyjęta zaś raz za wytyczną w przyszłem wychowaniu polskiem, uzyska sprawność, rozwinie się do pełnej szczegółowości, a ogrzana serdecznem ciepłem umiłowania — zwycięsko odeprze sceptyczne wydwarzania i zarzuty.

Z zarzutów najznaczniejszy — da się nawet przewidzieć. Z pokrewnego powodu pisał już raz ktoś zgryźliwie o ludziach, „których wskazówka życia przystanęła na Mickiewiczu“, t. zn., którzy w zbytniem przylgnieniu, zacietrzewieniu się do przeszłości — zabili własną twórczość, własne na świat spojrzenie, są pośród nas ludźmi wczorajszymi.

Podobny zarzut skostnienia możnaby z tą samą rzekomą słusznością uczynić naprzykład malarzowi, który, pragnąc wniknąć w tajemnicę techniki wielkich mistrzów, wydrzeć im ją, kopjuje — ucząc się — ich dzieła, przecież nie na to, by „wskazówkę“ swego talentu „zatrzymać“ na nich, lecz owszem, by zawładnąć spełna ich mistrzostwem i iść dalej, do własnego dzieła.

Co się zaś tyczy zakresu życia duchowego, przypomniećby można na taki zarzut pełne głębokiej mądrości słowa Mickiewicza z prelekcji o „człowieku wiecznym“, który także przeżywa wtórnie przeszłość ludzkości, iżby

wszystko, co w niej było wielkiego i czystego — wziąć w siebie, jako ziarno usiewne i jako siłę. Siłę oczywiście na swą własną, dalszą twórczość. Postęp rzeczywisty bowiem zachodzi wtenczas tylko, gdy dorobek chwili dzisiejszej wychodzi p o n a d, a nie p o z a przeszłość. To prawo obowiązuje i w duchowem życiu narodu.

FILOMACI WILEŃSCY.

Czcigodnemu Panu
Bernardowi Chrzanowskiemu.

Wzrośli wskutek szczęśliwego jakgdyby przypadku, dzięki zejściu się na ławie uniwersyteckiej kilku wyjątkowo uzdolnionych, niepospolicie rozwiniętych duchowo i zgranych w wewnętrznym typie psychiki, kolegów, — nie byli wszelako Filomaci jako zjawisko dziejowe — przypadkiem. Jak nie jest przypadkiem jakiś uderzająco piękny kwiat, rozkwitły w gąszczu zwyczajnego ziela, jak nie przypadkowy jest niespodzianie bujny kłos na zagonie. Widząc go, zgadniemy łatwo, że na wzrost ów i zakwitnięcie złożyć się musiały: długa i świadoma celu uprawa gleby, że być tam musiało ręką czyjąś rzucone ziarno.

Postaramy się więc najpierw dojść, jaka to była, jakim pługiem, jaką wolą dokonana uprawa tej gleby dusz, z której wyrośli Filomaci, spróbujemy też określić jakość ziarna nasiennego.

Stwierdzić trzeba u wstępu, że ruch filomacki wśród uniwersyteckiej młodzieży wileńskiej na początku XIX wieku nie był kapryśnym wyskokiem dziejów naszych, ale był szczegółowym przejawem ogólnego zjawiska odradzania się duszy narodu po upadku saskim. Z samej głębi poniżenia wznosić się zaczął naród około połowy XVIII w. samorodnym pędem żywotności. Reszta wieku jest widownią wysilonego wzrastania dusz, poszerzania się umysłów i, co za tem idzie, — budowania coraz sprawniejszych form i narzędzi istnienia państwowego. Naprawiano smak artystyczny przez literaturę i sztukę okresu stanisławowskiego, podźwigano w narodzie wychowanie, pojęcia polityczne, wolę heroiczną i ustawy konstytucyjne.

Regeneracyjny proces duszy zbiorowej nie był ukończony, gdy przemoc postronna i swojska zdrada złamały wiosenne pędy nowego życia, rozłupały kordonami sam pień macierzysty i wytrawić pragnęły w nim wartką już, pulsującą miazgę wzrostu. To się wszelako nie udało. Z pod grubej kory wystrzelały raz wraz nowe latorośle wysiłków odrodzeńczych, choć siła ich i czas trwania były niejednakowe. Do najsilniejszych — należał związek filomacki. Praca więc jego, żeby raz jeszcze powtórzyć, nie była w życiu Polski ówczesnej objawem oderwanym, ni doczepionym zzewnątrz; wyrastała z naj-

głębszego, od rdzenia duszy narodowej idącego prądu odrodzenia, mającego za zadanie: wydźwignąć naród z upadku umysłowego i moralnego epoki saskiej na poziom nowoczesnego typu psychiki zbiorowej. — Takie więc było ziarno zasiewne Filomatów: szczero-polskie, wyhodowane w cieple wysiłków i tęsknót serdecznych ostatniego w Polsce niepodległej pokolenia. Między Konstytucją 3-go maja a Filomatami zachodzi nie tylko pokrewieństwo, ale poprostu współgatunkowość; to dwa źródła tegosamego podziemnego nurtu. Filomaci to czuli, otaczali pamięć Konstytucji czcią szczególniejszą, a przypadkiem nie jest i to, że wyraz tej właśnie czci dla niej stał się bezpośrednim powodem prześladowania i zdławienia ruchu.

Nie zatajmy jednakże, że gdy genjusz narodu zasiewał ziarno to w duszach młodzieży wileńskiej, a i przedtem jeszcze, wiał właśnie przez Polskę silny wiatr z zachodu. wiatr pojęć, dążeń i idei, i że wiatr ten odchylił częściowo kierunek rzutu ziarna, a kiedy wzrosło, — nawet kierunek pędu latorośli. Wiatr ten — to urok ideologji Oświecenia i urok polityczno-moralnych związków konspiracyjnych zachodniej Europy. I ten czynnik zaznacza się wyraźnie w konstrukcji zasad, jakoteż form istnienia organizacji Filomatów i Filaretów.

Filomatyzm — to bujna płonka ideologji Oświecenia; dopiero kiedy wzrosła i już nawet owocować zaczęła, romantyzm zaszczepił na niej zrazy nowego stosunku do świata i doczekał się wspaniałego ich rozkwitu.

Z Oświecenia zaczerpnęli Filomaci naczelną swą cechę: postępowość i liberalizm. Jak racjonaliści, jak wolnomularze, jak Szubrawcy, — przeciwstawiali się i Filomaci zacofaniu pojęć, ciemnocie, rubasznemu sarmatyzmowi; walczyli o sprawiedliwość społeczną — w kwestji włościańskiej przedewszystkiem. W zakresie moralnym — ofiarną, heroiczną służbę stawili na miejscu — obojętnej o całość — prywaty; zwalczali pijaństwo i rozwiązłość obyczajów, a między sobą utrzymali, zwłaszcza od r. 1820, za sprawą krystalicznej duszy Tomasza Zana, przeczystą atmosferę prawości i czystości moralnej, „promienistości“ brzydzącej się zepsuciem, brudem, „wszetecznością“. Na polu religijnem oddziaływanie ich na kolegów było wyraźnie dodatnie; wycieczki zaczynali pieśnią „Kiedy ranne...“, a po skończonych szli przykładnie do kościoła. Wpływ racjonalizmu zaznaczył się jednakże i tutaj. Koso i nieufnie patrzyli na „mnichów“, „nie podpalając wszakże — jak się wyraził jeden z nich — żniwa dla kilku ziarnek kąkolu“ [1]),

[1]) *Kor. Fil.* I. 238.

bez uczucia niesmaku czytywać mogli *Darczankę* Voltaire'a i ryzykowne trawestacje Modlitwy Pańskiej, a nawet w więzieniu — świadczą *Dziady cz. III.* — śpiewać bezbożne piosenki. Można, zdaje się, przyjąć całkowicie zdanie krytyka, że religja Filomatów, „to była religja wikarego sabaudzkiego z *Emila* Rousseau'a, religja, która opierała się na prawach natury, uznawała tylko powagę rozumu, ale moralność swą czerpała z Ewangelji i dla Chrysusa... była ze czcią i uwielbieniem“ [1]). Dopiero później romantyzm i ostrze cierpienia osobistego i narodowego otwarły w nich wewnętrzną głąb religijności...

Nawiasowo wolno wtrącić, że i odnośnie do romantyzmu filomatyzm jest zjawiskiem godnem uwagi, poprostu jedynem. Na żywym kształcie tamtej zbiorowości możemy mianowicie najszczegółowiej, krok za krokiem, śledzić ów wielki proces przetworzenia duszy polskiej w początku XIX wieku przez wdzierający się w jej obręb urok haseł romantycznych. Na konkretnym przypadku widzimy kolejne fazy przemiany psychiki młodzieży litewskiej: z klasycznej na nową, romantyczną, jak się dokonały niemal w oczach, w przeciągu jakich dwóch lat. Wypadek wprost jedyny w swej oczywistości.

[1]) J. Tretiak: *Ad. Mickiewicz w świetle nowych źródeł,* Kraków 1917, str. 48.

Obok Oświecenia działał na filomatyzm wpływ konspiracyjności zachodnio-europejskiej, przedewszystkiem niemieckich tajnych związków wolnościowych [1]). W tym względzie nie byli Filomaci, nawet w Polsce, osamotnieni, owszem byli symptomem czasu, odroślą wielkiego prądu.

W ten więc sposób wzrośli wileńscy Filomaci: na arcypolskiej glebie odrodzenia, z ziarna zasianego ręką ostatniego pokolenia wolności. Nad wschodzącą rośliną świeciło słońce ideologji Oświecenia i dodało jej wiele swej barwy, przeciągały powiewy tajnej konspiracyjności politycznej i moralnej. Kwiecie wszakże tej rośliny i owoc jej pełne były zapachu i smaku szczerej polskości.

* * *

Co nas przedewszystkiem uderza w psychice założycieli i przewodników Towarzystwa i co się wydatnio zaznacza w kolei jego przetworzeń, — to jakaś zawziętość samoistności, szczycenie się samorzutnością powstania i zazdrosne przestrzeganie niezależności ideowej zrzeszenia. Powtóre zaś, co zarazem było niewątpliwie źró-

---

[1]) Por. o tem najszerzej: Sz. Askenazy *Łukasiński*, Warszawa 1908, I. 147 i n., oraz H. Mościcki: *Wilno i Warszawa w Dziadach Mickiewicza*, Warszawa 1908, str. 89 i n.

dłem cechy poprzedniej, — dufne poczucie siły żywotnej i zrywanie się do zamierzeń imponujących szerokością horyzontów i zaborczością woli młodzieńczej.

Zwłaszcza jeden z założycieli i przewodniczący Towarzystwa, Jeżowski, podkreśla pilnie, z studencką nieco nawet przesadą, tę samorzutność genezy. „Nie miała ziemia nasza takiego przykładu, żeby młodzieńcy mocą własnego przekonania od gorszącej ich opinji wyłamani... złożyli towarzystwo i sami, bez wszelkiej pomocy, wśród ubóstwa, przeszkód, trudności, znaleźli środki i ułatwienie w doskonaleniu serca i umysłów“ [1]). W tem dumnem przeświadczeniu o swej jedyności chcieli Filomaci pozostać do końca i strzegli zazdrośnie samodzielnej swobody. Bronili jej skutecznie przed Szubrawcami, przed wpływem organizacyj politycznych warszawskich, które w roku 1820 zarzucały na nich sieć za pośrednictwem studenta Ogińskiego. Bronili się, co więcej, bardzo długo i zawzięcie przeciw ekspansji masońskiej. A kiedy wreszcie — pozbawieni takiego atutu, jak silny, na młodzież zwłaszcza działający — urok tajemniczości i fantastycznego rytuału, kiedy wreszcie ulegli, upodobnili się w formie ceremonjału do lóż, — to upodobnienie było jedynie zewnętrzne,

[1]) J. Tretiak, *l. c.* str. 45.

w formie; treść została dawna, niezależna. Wiemy nawet, że ekspansji masońskiej przeciwstawili własną, zaczepną, wysyłali do lóż — osobnych, umyślnie wyznaczonych delegatów. W tem, co Domejko mówi[1]) o świadomej antymasońskości Filomatów, jest niewątpliwie przesada, ale podłoże, stwierdzenie różnogatunkowości tych zrzeszeń, zostało z wszelką pewnością wskazane trafnie.

Nie byłoby oczywiście mowy o tej ambicji samodzielności, gdyby nie istniała przyczyna jej sprawcza, gdyby Filomaci nie byli wyposażeni tak cudownie przez Opatrzność w jakąś pierwotną, biologiczną siłę rozrostu organizacyjnego. Na każdej niemal karcie ich historji zdumiewać się musi człowiek dzisiejszy owej jakiejś niebywałej bujności ich wzrostu i dziesięćkroć większej bujności zamierzeń zdobywczych. Młoda ich żądza władania duszami niecierpliwi się, co parę miesięcy, co rok rozwala „stare“, choć dopiero co zbudowane, formy istnienia i przebudowuje je w rozlicznych projektach; obfitość życia usiłuje jaknajlepiej ująć w ryzy coraz to na nowo przetwarzanego związku. Z gąszcza projektów ten czy ów tylko miał się wzmocnić w pień realizacji, ale już

---

[1]) Ign. Domejko: *Filomaci i Filareci* w wyd. Mościckiego *l. c.* str. 10.

sam gąszcz pędów świadczy dostatecznie, na jak bujnej wzrastały wszystkie glebie, jak się paliło w tamtych duszach, co je raz po razu z siebie niecierpliwie wyszarpywały. W ciągu 6-letniego istnienia Filomaci co roku niemal zmieniają ustawy, komplikują je dla utrudnienia śledztwa wrogowi; chcąc ogarniać coraz szersze sfery młodzieży, coraz szerzej promieniować wpływem, tworzą Związki pokrewne, niższe stopniem, czy to ściśle naukowe, np. przyrodnicze, czy naukowo-moralne, jak Związek Przyjaciół; wchodzą w związki założone poza nimi i przetwarzają je w myśl własnych założeń, dają się wreszcie porywać zamiarom coraz nowych, coraz szerszych organizacyj, chcą ogarnąć niemi młodzież szkolną, zarazem i młodzież rzemieślniczą Wilna, szkolną młodzież prowincji, ująć w osobne związki obywatelskie młodych właścicieli ziemskich, a nawet młodzież ludową każdej parafji; słowem zarzucić na Litwę sieć gęstej organizacji, rozbudowywanej w celach i siłami samego narodu. Rwą się do wpływania na opinję publiczną, za pośrednictwem pisma perjodycznego, któremu już-już niewiele brakło do realizacji, pragną urabiać umysłowość społeczeństwa oświeconego — w duchu swych zasad naczelnych i w myśl wymagań postępu ku nowoczesnym formom narodowo-społecznego istnienia. Wszystko to inicjuje zrzeszenie mło-

dzieńców dopiero co pełnoletnich, których ilość nie przekroczyła nigdy dwudziestki.

Z tego bogactwa zamierzeń, niektóre wcielały się w życie, np. związki młodzieży na prowincji i związki obywatelskie, inne pozostały w sferze ideału, w „rajskiej dziedzinie“ zapału; rozmiar ich orbit daje wszakże pojęcie o owej „orlej potędze lotów“, o jakiej nie w pustce zaiste śpiewał kolegom swym poeta *Ody*.

Popod orlemi szlakami zamiarów było wszelako miejsce na codzienną, wytrwałą pracę organizacyjną. I tutaj nadali jej Filomaci natężenie i rozmiary ogarnienia — niepospolite. Zaczynają bardzo skromnie i realnie; od samopomocy w n a u c e. Chcą sumiennie korzystać z wykładów, więc przerabiają je wspólnie, ewentualnie uzupełniają przy pomocy literatury naukowej. I tej pracy, tego dobudowywania działalności uniwersytetu, nie zarzucili nigdy. Gdy w r. 1820 spełniły się ich marzenia, gdy rzesze młodszych kolegów, Promienistych i Filaretów, oddały się im w kierownictwo, nie zapomnieli o tej stronie powinności; kulturę pracy naukowej, rzetelnej, sumiennej i wytężonej, rozwijali na specjalnych kursach uzupełniających, przez wykłady, czy wspólne, jakby seminaryjne, ćwiczenia. Na perjodycznych zebraniach organizacyjnych przedstawiali samodzielne rozprawy naukowe, wzajemną krytyką

tworząc wysoką atmosferę podniet umysłowych. Sprowadzając zagraniczne czasopisma i publikacje z zakresu wiedzy ścisłej, nawiązać chcieli tak dodatnio wpływającą łączność z prądami umysłowości zachodniej, rozszerzać horyzont wiedzy. Z tem też w związku stała celowa i planowa nauka obcych języków, organizowanie własnemi siłami kółek francuskich, angielskich, niemieckich. Ta dążność naukowa wydała też wcześnie pokaźne rezultaty: Mickiewicza rozprawę o *Jagiellonidzie* i wydanie *Zofjówki,* Kowalewskiego przekład Longina i Jeżowskiego pracę nad wydaniem Horacego.

Jednakże wiedzą ścisłą się nie ograniczyli ci młodzi, a tak daleko patrzący „Argonauci". Większość ich sposobiła się nie do karjery naukowej, lecz nauczycielskiej; i temu zadaniu chcieli odpowiedzieć godnie. Stąd cała nowa dziedzina pracy zrzeszonej. Najpierw studjum podręczników szkolnych zagranicznych, porównywanie ich z krajowemi i tłumaczenie najlepszych. Wiemy, że i ta praca posunęła się daleko. Częściowo wskutek niedbałości uniwersytetu, w większej mierze przez okrutną ingerencję moskiewskiego prześladowcy praca została przerwana w połowie; — nowa, litewska „komisja ksiąg elementarnych" nie wydała spełna skutków, równie jak u pierwszej, pracą Piramowicza stojącej, — błogosławionych; nie

podniosła na Litwie poziomu podręczników, — ani w konsekwencji — poziomu dydaktyki.

Następnie podjęto z tejże myśli pracę nad statystyką szkolnictwa krajowego. Zbierano materjał, najpierw dorywczo, o stanie szkół, ich uposażeniu, o stanie umysłów wśród młodzieży szkolnej; wnet jednak sprawa się rozrosła, rozszerzono kwestjonarjusz w kierunku ogólnie krajoznawczym, niektórym jego partjom nadano nawet charakter wywiadowczy, powstańczy. Jestto słynny, wydany w druku nielegalnym z r. 1821, *Opis jeograficzny,* dzieło Malewskiego, Zana i towarzyszy.

Widzimy tedy, że i w zamierzeniach organizacyjnych, szerokich, w coraz śmielszych planach związania całej młodzieży litewskiej w jedno rozgałęzione zrzeszenie, zarówno jak w codziennem prowadzeniu pracy naukowo-wychowawczej wewnątrz związku, — nie opuszczała Filomatów owa, zaznaczona powyżej, zdumiewająca żywotność i bujność uzdolnień i sił życiowych. Tak wyjątkowe ubłogosławienie generacji, tak gęsty posiew genjuszu na obszarze jednego pokolenia — dalibóg nie wiadomo, czy się jeszcze powtórzył w którejkolwiek epoce naszego późniejszego istnienia.

* * *

Z trzech haseł kierunkowych, w które zawarł dążność swą ów genjusz pokolenia: „ojczyzna — nauka — cnota“, — o środkowem wspomnieliśmy dopiero co dostatecznie. Przyglądnąćby się z kolei innym. Jakżeż tedy wyglądała filomacka koncepcja Ojczyzny, jak rozumieli oni ten rodzaj służby?

Ideał ojczyzny mieli Filomaci wspólny z twórcami Konstytucji 3. maja; był to mianowicie ideał ojczyzny rozszerzonej w głąb, pomnożonej przez upragnione obudzenie poczucia obywatelstwa w duszach ludu. Wyznawali więc patrjotyzm demokratyczny. Mówiąc o zrzeszeniu ideowem z początku XIX w., trzeba to jeszcze wyraźnie zaznaczyć.

Dolą ludu wiejskiego interesowali się Filomaci szczerze i rzetelnie, co więcej — nie po literacku. Chłopa widzieli w polu przy pracy, ale i w karczmie przepijającego ostatni grosz, a pieśni ludowych, — do których zaczynała już powstawać romantyczna moda, nie widać z *Koresp. Fil.*, żeby, poza Czeczotem, zbyt byli ciekawi. Rzecz to znamienna, że nie pytają o nią w odnośnym rozdziale owego *Opisu jeograficznego*. Sprawa ludowa obchodziła ich jako czynnik sprawy narodowej, nie jako zagadnienie literackie. Czynili ją więc przedmiotem referatów i obrad na zebraniach, w czasopiśmie swem chcieli jej poświęcić lwią część

uwagi i posunąć ją w światłym duchu uchwał sejmików powiatowych litewskich i obchodów kościuszkowskich z r. 1817, t. zn. w duchu usamowolnienia za czynszem. Kiedy zaś rząd rosyjski zdusił cały ten ruch wśród społeczeństwa wileńskiego, kiedy zabronił poruszania tych spraw w prasie, Filomaci usiłują za pośrednictwem swych związków obywatelskich przez urabianie dusz wpłynąć na młodych dziedziców, by sprawę rozwiązywali w tym właśnie kierunku samorzutnie, jakoby odśrodkowo.

Patrjotyzm ich jest dalej, albo ściślej mówiąc, — staje się w szybkiem tempie — niepodległościowy, frontem zwrócony przeciwko Rosji. Zachodzi wśród nich w tym względzie istotnie pewna ewolucja. Towarzystwo zawiązane w czasie, kiedy entuzjazm ruso-, a raczej aleksandrofilski dochodził wśród społeczeństwa polskiego na Litwie do szczytu, kiedy Wilnianin, poeta — niedawny żołnierz napoleoński, Ant. Górecki mógł wzywać rodaków, „by drugiego po Bogu Aleksandra czcili",[1]) kiedy Aleksander tworząc korpus litewski, a więcej jeszcze obłudnie obiecując, uchodził za zjednoczyciela, zbawcę Polski, młode towarzystwo Filomatów nie ukazywało barwy politycznej. Na upartego możnaby nawet znaleźć

[1]) Por. J. Tretiak: *Bohdan Zaleski* I. 87.

oznaki świadczące, że niektórzy przynajmniej jego członkowie podzielali owe powszechne złudzenia. Trwało to w każdym razie bardzo krótko. Już z r. 1820 mamy najoczywistsze świadectwa, że Filomaci zorjentowali się szybko w istotnych dążnościach rządu i dążnościom tym uczuciowo bezwzględnie się przeciwstawili.

O dążnościach takich, o jakichś pochwyconych przypadkowo planach, pisze np. Malewski w kwietniu 1820: „Jest tam prosto i z całą złością oznaczona tendencja do zmoskwiczenia tego kraju. Długo nie mogłem potem zasnąć i wiele rzeczy poprzychodziło mi do głowy“[1]). Zaś co do jakości owych, przychodzących do głowy w takiej chwili, myśli nie posiadamy zgoła wątpliwości.

„Ach, jak to ciężko mówić jak niewolnik! Jak bolesno uczyć braci milczenia, kiedyby się ich chciało w samym skutku uczyć wykonywać, co myślą i mówią“[2]) — żali się w tymże czasie drugi z nich. O tem „wykonywaniu“ — myślą Filomaci także na serjo, czytają na zebraniach jakieś rozprawy o sposobach „oswobodzenia“, przysięgają „dać życie za ojczyznę, gdy godzina wybije“, gdy przyjdzie „eksplozja“. Jednakże te plany i sprzysiężenia powstańcze

---

[1]) *Kor. Fil.* II. 32.
[2]) *Kor. Fil.* II. 128.

snute były bez „szaleństwa“, z ostrożnością, „bo gwar jest czczy“, i ze statecznością rozważną nad wiek; chciałoby się powiedzieć: budowane były uparcie i metodycznie — z litewska. Wszelakoż były — i naczelnemu hasłu: ojczyzna — nadawały kolor i temperaturę.

A teraz o haśle trzeciem, o cnocie Filomatów. Kiedy Mickiewicz około r. 1844 kreślił dzieje tego wyrazu w mowie polskiej, napisał, że „od konfederacji barskiej, a mianowicie od Sejmu konstytucyjnego, „cnota“ znaczy negative: nienawiść ku obcym rządom, a positive: poświęcenie życia lub dóbr dla sprawy narodowej“[1]). Byłaby więc według tego równoznaczna z patrjotyzmem, t. zn. odnośnie do Filomatów mieściłaby się w tem, cośmy dopiero co powiedzieli. Tak jednakże nie jest; hasło to ma na sztandarze filomackim samoistną wartość i znaczenie.

Cnota jako gwiazda przewodnia Filomatów, — podobnie jak patrjotyzm, — nie odrazu, ale powoli coraz przeczystsze rozsłaniała oblicze. I w jej zbiorowem uświadamianiu sobie widzimy, — jak zresztą w rozwoju całego tworu zrzeszenia, — organiczność wzrostu. W gromadce pierwotnej, której na planie pierwszym przyświecały cele nauki, charakter etyczny

[1]) *Pisma* w wyd. Kallenbacha, VII. 168.

pracy mieścił się w haśle przyjaźni koleżeńskiej, szczerej i bezwzględnej[1]), w uczynności wzajemnej, przełamującej instynkt samolubstwa. Z tej to posady wyrastała miłość, zasadnicza przychylność rodzajowi ludzkiemu, jako ton psychiki filomackiej — stały; na niej opierała się budowa charakteru w atmosferze wiary w człowieka, optymizmu słonecznego.

Ale na rozwój tych wartości duchowych nie dużą początkowo zwracano wśród Filomatów uwagę; dokonywał się on z założeń samorzutnie, właśnie organicznie. Etykę, świadomą troskę wychowawczą o jakość moralną, wprowadził w życie organizacyjne i odrazu na wyżynie postawił dopiero Tomasz Zan. Jego miękka, czuła, pierzchliwa przed brudem i obrzydliwością cynizmu zepsucia, krystalicznie czysta organizacja psychiczna — doskonale go do tego usposobiała. Kiedy w maju 1820 r. wspaniałem zaiste w prostocie swej pociągnięciem roztworzył przed braćmi-filomatami nowe, niespodzia-

---

[1]) Uwielbienie przyjaźni, tęsknota za związkiem wewnętrznym, opartym o wspólnotę rozwoju duchowego, szacowanie przyjaźni na równi z miłością płci, napotykane wśród filomatów — to również symptom czasów, znamię i zapowiedź nadchodzącej epoki uczucia. W Niemczech zawarł już był wówczas Schiller w lirykach całą metafizykę przyjaźni. Ob. J. Volkelt: *Zwischen Dichtung und Philosophie,* 1908, str. 62.

nie wielkie pole działania, kiedy zorganizował Promienistość, — uczynił z niej właśnie zrzeszenie w szczytnem znaczeniu moralne. On to wniósł w ideologję Filomatów i uwydatnił nutę nieskazitelności moralnej, czystości uczuć, wyobraźni i zmysłów, wprowadził atmosferę zdrowej, słonecznej prawości charakteru, uświadomił i umiał utrzymać wśród kolegów i wśród rzesz młodszych odczucie obrzydliwości moralnego błota, odrazę przed zbrukaniem duszy młodzieńczej, przed tem, co nazywał „wszetecznością". Odtąd etyka czystości moralnej staje się jednem z dążeń naczelnych Filomatów, nadaje zrzeszeniu temu piętno związane z jego istotą, nierozdzielnie i na zawsze.

Jeden rys tej filomackiej etyki niepokalanności trzeba tutaj podkreślić. Dzieje męczącej się o jakość moralną duszy polskiej znają na przestrzeni w. XIX niejeden jeszcze wysiłek o utwierdzenie czystości zmysłowej, jako powszechnej gleby uczuć i czynów. Dość wskazać na „domek" Jańskiego i towianizm. Wszędzie tam wszelako ton macierzysty dążeniu nadaje pewna nieufność do natury ludzkiej, surowa trwoga przed grzechem. Nic dziwnego. Pracowali tam nad sobą ludzie dojrzali, którzy bolesną kolej upadków i wzniesień i znowu upadków wielokrotnych przeszli we własnem życiu, którzy ze zgrozą patrzyli nieraz w prze-

paści zła roztwierające się w duszy człowieczej. Tylekroć próbowani — nadać musieli wysiłkom swym odrodzeńczym — surowość ascetyzmu.

Nic z tego wszystkiego u Filomatów, czy Promienistych. Marzenia o kształcie życia szeptała im w ucho młodość dufna w siebie, nie znająca, co to upadek, co słabość i wiotkość moralna duszy ludzkiej, co niepowodzenie, którego posmak wlecze się jak sznur plugawy u nóg ptaka, co był już niewolnikiem, jak kajdany za każdym krokiem więźnia. Otóż ta młodzieńcza, słoneczna wiara w życie, w naturę ludzką, w przemożność woli, ta nieświadomość zła — nadaje dążeniom etycznym Filomatów piętno naczelne i ten przedziwny urok wiosenny, tak jedyny w dziejach naszych odrodzeń.

* * *

A teraz, kiedyśmy kolejno przeglądnęli zawartość haseł filomackich: „ojczyzna — nauka — cnota“, zapytamy w dalszym ciągu, czy w życiu i psychice Filomatów istniała jakaś dominanta wyższa, któraby z tych trzech tonów, ogarniając je, tworzyła szczytną harmonję, dążeniom nadała piętno wzniosłości? Słowem, czy poza temi trzema hasłami mieli oni jakie wyższe, wszechjednoczące? Odpowiedź na to pytanie może być jedna tylko: twierdząca. Tak jest istotnie. Z pod przebiegu wszystkich filo-

mackich działalności da się wydobyć ów motor zasadniczy, zwołanie naczelne. Na imię mu zaś: heroizm. Mianowicie heroizm postawy wobec życia.

Jeślibyśmy szukali autentycznego i najwymowniejszego wyrazu tego typu heroizmu, znaleźlibyśmy go w dwóch przemówieniach Mickiewicza-Filomaty: wierszowanem przy inauguracji Wydziału I, z września 1818 i powitalnem, prozą, zwróconem do Jana Czeczota, ze stycznia 1819 r. Pierwsze możnaby posądzić o poetycką hiperboliczność, więc gdy czytamy tam porównanie się do Argonautów, lub wezwanie heroiczne:

> Im wyżej, tem usilniej wytężajcie pióra,
> Ażby sławy podniebne osiągłszy opoki,
> Innych tam braterskiemi zachęcali wzroki!

gotów ktoś widzieć w tem tylko figury poetyckie.

Że pod figurami istniała realna wartość dążenia, świadczy przemowa druga. Jakże się tam mówi o związku? — „Obaczmy, kto go teraz składa? Ludzie, których całą zaletą jest tylko cisza, praca i gorliwość. Obaczmy, kto go dokoła otacza. Ludzie nikczemni, którzy nie mogąc wznieść się do szlachetniejszych uczuć i wyższych zamiarów, postanowili wszystko, co jest szlachetnem i wyższem, przytłumiać i wy-

korzeniać". — A dalej. „Pierwszem więc twojem będzie usiłowaniem, ażebyś wydźwignął się z tej przepaści lekceważenia wszystkiego i drugim do wydźwignienia się dopomógł" [1]).

Oto jest heroiczna postawa wobec życia [2]). Jej kamieniem węgielnym jest — przeciwstawienie się dotychczasowej rzeczywistości, jej szczytem — wola przetworzenia tej rzeczywistości na nowy kształt. Jest to punkt wyjścia twórczo rewolucyjny; — dlatego właśnie w istocie swej heroiczny.

Każda bezwzględna etyka jest rewolucyjna, jeśli chce przetwarzać życie do gruntu, bez kompromisów. Tego chcieli Filomaci, więc dążenie ich było w zakresie życia etycznego i patrjotycznego tą „moralnie konieczną rewolucją", o której mówi T. Lipps [3]). Nie godzili się, nie przytwierdzali wewnętrznie zastanej rzeczywi-

---

[1]) *Nieznane Pisma*, wyd. Kallenbach, Kraków 1910, str. 90, 94.

[2]) Apelem do heroizmu zakończył Mickiewicz jeszcze inne przemówienie, na posiedz. pow. 25 III 1819 r.: „Na czem-że chwała nasza? jeśli nie na tem, że mimo przeszkód rzeczy użytecznych dokonamy. Rzpta złożona z egoistów, z ludzi, którzy nic jej poświęcić nie chcą, nie długo postoi. Ateny i Rzym dlatego się wzniosły, że były polem heroicznych czynów. Bracia, nie dajmy się upośledzić!" (Tamże str. 85).

[3]) Lipps: *Die ethischen Grundfragen*, 1905, str. 256.

stości; wbrew tępej nikczemności czasów chcieli dojść do „rzeczy wielkich“, osadzić je na ziemi.

W cytowanej wyżej przemowie są jeszcze ustępy, które dosadniej oddają bezwzględność owego heroicznego przeciwstawienia się światu. „Okoliczności nieszczęśliwe, — mówi dalej Mickiewicz młody, — w których zostaje kraj nasz, działały i działają okropnie na upodlenie rodaków. Umysł unoszący się dawniej do wielkich rzeczy, dziś zepchnięty i ograniczony własnym interesem, czołga się przed zyskiem i własnej tylko słucha miłości. Odkryj się przed kim z wielką myślą, z wielkim zamiarem: — cobyś miał w nim uczucie wyższe obudzić, obudzisz uśmiech obojętności“.

W słowach tamtych i tych nie należy upatrywać li tylko reakcji przeciw jednostkom, ówczesnemu ruchowi młodzieży wyraźnie niechętnym, lub wprost wrogim; typu np. starego ks. prof. Jundziłła, który już po procesie filareckim mógł w pamiętniku swym napisać: „Zgaszenie jednak tego ruchu było dobroczynnym z wielu względów dla stanu naukowego wypadkiem“[1]). Nie tylko o takich chodziło poecie. To nie przeciwstawienie przypadkowych jednostek jednego obozu — takimże drugiego; — to poprostu dwa światy, dwa typy duchowe.

---

[1]) Sobarri: *Obrazki litewskie*, Poznań, 1874, str. 79.

Nie „wy“ i „my“, nie „starzy“ i „młodzi“, ale starość i młodość.

Filomatyzm przeciwstawiał się starości, skostnieniu, ugrząźnięciu w egoizmie, temu stępieniu wewnętrznemu, które przytłumiwszy w sobie tysiącznemi kompromisami żar bezinteresownego ukochania, na wszelką wzniosłość ma tylko słowa łatwej drwiny i „uśmiech obojętności“. Przeciwko temu obozowi własnego społeczeństwa zbroił się młody zastęp, przemienić chciał go, podźwignąć wysiłkiem właśnie heroicznym. Chciał „nowe tworzyć gmachy na nowej posadzie“.

W taki to sposób ułożyła młodzież filomacka swój stosunek do życia. Wybrała wobec niego pewną postawę, a wybór ten u wszystkich prawie zadecydował o dalszej jakości ich istnienia. Bo kiedy Mickiewicz mówi w *Dziadach* o „chwili przeznaczenia“, chwili, co decyduje o całych losach człowieka, to my wiemy, że to nie obraz poetycki, ale to rzeczywistość znana każdemu z osobistego doświadczenia. Moment taki, taką „chwilę przeznaczenia“, która zdecydowała, że poszedł w tym właśnie, a nie w innym kierunku, chwilę taką przeżył każdy z nas, lub przeżyje. Przypada zaś ona po większej części, jak przypadła Filomatom, na czas rozkwitu młodości, na jej szczyt. Tam sta-

nąwszy, trzeba się właśnie wyraźnie i już stanowczo oświadczyć: na prawo czy na lewo.

Bo są istotnie te dwie drogi; są wśród ludzi dwa niewątpliwie przeciwstawne typy psychiczne: typ twórczy — i filisterski; patetyczny — i jowialny; surowy, rygorystyczny — i swawolny, niefrasobliwy. Między niemi niema i nigdy nie będzie zgody, ni kompromisu; trzeba wybierać. Filomaci — widzieliśmy — wybrali. I właśnie ta ich świadomie wybrana, zasadniczo bohaterska postawa psychiczna wobec życia i świata, — to cecha tamtego zrzeszenia młodzieży najgłębsza i najistotniejsza.

* * *

Zauważyćby można, że szacowanie zjawiska Filomatów, jakieśmy tu przedstawili, jest za wysokie. Jakoż istotnie cieniów na tym obrazie, może ze szkodą dla jego wyrazistości, nie zaznaczono. Bez jakichkolwiek zamiarów wszakże, bez chęci apoteozy. Takie właśnie szacowanie jest bowiem wobec tego zjawiska poprostu koniecznością psychologiczną. Jakby było koniecznością takież szacowanie młodzieńca, rokującego wielkie nadzieje, niepospolitego okazaną już jakością, którego wszakże zły los złamał w zaraniu twórczości. Być może, że życie narzuciłoby im niejedną redukcję ideałów, niejeden kompromis, — do tego jednakże nie

doszło. Owszem, nagła, okrutna katastrofa rozpięła ponad ich pamięcią jasną aureolę uroku i ona to właśnie zostawia badaczowi otworem tę jedną tylko drożynę szacowania: — od strony wzniosłości.

Proces filarecki i śledztwo Nowosilcowa warte są uwagi z innego wszakże jeszcze względu. Zastanawia mianowicie, dlaczego to, z jakiego to powodu proces ten i wyrok tak się głęboko zapisały w dziejach i w duszach polskich, dlaczego wywołały tak niezwyczajnie silny oddźwięk u współczesnych[1]) i potomnych.

Dlaczego? Czy przez srogość? Przyzwyczajano nas do srogości rosyjskiej przedtem i potem; sroższa była rzeź Pragi, sroższy wyrok i los Łukasińskiego, sroższe represje po 1863. Czemuż w cień zapomnienia nie zasunęły owego skazania 20 zaledwie młodzieńców na wygnanie? Dlatego może, że to młodzieńcy właśnie? Ale czyż nie sroższy los spotykał owe o b o z y całe „małych dzieciątek i pacholąt“ gnanych na Sybir po 1831, o których takie smutne słowa czytamy w *Anhellim* Słowackiego? A skoro nie przez potworność wyroku, ani przez litość

---

[1]) Por. np. notatkę moją: „Oddźwięki procesu filaretów w twórczości Niemcewicza“ — Kurjer poznański, nr. z 25. XII. 1919 r.

wyłącznie dla zmarnowanej młodości, to dlaczego?

Otóż dlatego mianowicie, że proces ten był zarazem rewelacją i otwarciem systemu, który rząd rosyjski zastosował i wytrzymał w stosunku do narodu polskiego przez cały wiek XIX. Trzeba mieć ciągle w pamięci, że mimo wszystko, mimo całą przewrotność i bezwzględność Katarzyny, stosunek uczuciowy Polski do Rosji z początkiem w. XIX. był jeszcze niezapisaną kartą. Owszem, za Aleksandra właśnie, jak dawniej za Pawła, karta zapełniać się zdała wyrazami uczuć przyjaźnych. Byli w Polsce ludzie i była ich bodaj większość, którzy w przymierzu i łączności z Rosją widzieli przyszłość narodu. A już zgoła nie było w powszechności uświadomienia, że Rosja i Polska — to dwa przeciwieństwa, dwa wrogie żywioły, jak ogień i woda, dwa biegunowe pierwiastki bytu: dobro i zło, boskość i szatańskość, — jak to później wystawi Mickiewicz. Uświadomienia wrogości nieprzejednanej nie było, bo nie było świadomości, że Rosja dąży do wytracenia narodu polskiego z powierzchni ziemi, do zgaszenia w nim ostatniej iskierki myśli o wolności.

Otóż właśnie momentem obudzenia się w nas tej świadomości jest rok 1823; przyczyną sprawczą — właśnie proces filarecki. Tutaj Rosja po raz pierwszy wyraźnie i nieobłudnie po-

kazała swe istotne oblicze, wtedy zobaczyliśmy, że rosyjski ucisk narodowości to nie przypadek, nie kaprys samowładnego monarchy, ale to system, coś przyrodzonego, coś co się nie zmieni już nigdy w stosunku między temi narodami. Nagle rozpoznano, że Nowosilcow nie jest wyrzutkiem Rosji, ale właśnie reprezentantem, „najczystszem“ uosobieniem owego systemu.

Poznano jeszcze dążność rosyjską drugą, od tamtej nie mniej złowrogą: dążność do wchłonięcia przedewszystkiem Litwy, do wytępienia tam właśnie w pierwszym rzędzie żywiołu i ducha polskiego do cna. To znaczy, odkryła Rosja — nieco za wcześnie i nieostrożnie — dążność do skończenia wiekowego sporu dwóch państw o kraj ten, i to skończenia w czasie dla nas najniepomyślniejszym. A to ugodzić nas musiało w sam rdzeń instynktu państwowego, zranić najdotkliwiej i nieprzebaczalnie.

Dlatego rok 1823 to w dziejach naszych porozbiorowych rok istotnie zwrotny, zaczyna epokę. Odtąd naród zorjentował się stanowczo i już niezachwianie przeciw Rosji; żywiołowej zawziętości zniszczenia przeciwstawił takąż zawziętość obrony. Powstanie listopadowe i styczniowe to już tylko konsekwencje.

Oto, sądzę, obie racje: jakość wewnętrza samego ruchu, a powtóre dziejowa doniosłość jego katastrofy, — to powody dostatecznie tłu-

maczące, dlaczego zwracaliśmy się zawsze z takim pietyzmem do zjawiska Filomatów, dlaczego Mickiewicz, wierzytelny głos plemienia polskiego, na tamtych dziejach osnuł dramat, który chciał uczynić dziełem „jedynie godnem czytania“.

WARTOŚCI WYCHOWAWCZE „PANA TADEUSZA".

Ceterum censeo: Panu Tadeuszowi dzieje się w Polsce krzywda! Już mniejsza o obcych, mniejsza o zagranicę! Przeboleć możemy, że w szkołach europejskich nie czyta się i nie ocenia *Pana Tadeusza*, jak się to należy dziełu, po Homerze chyba pierwszemu w epice; przecierpimy i to, że prawodawcy ruchu estetycznego, że wielka krytyka literacka Anglji czy Francji o nim — ze swoją oczywiście szkodą — milczy. O to jeszcze mniejsza.

Wiemy, że przyczyną tego faktu nie jest trudność naszego języka, języka, którego — jak zaświadcza prof. Brückner — piękność wokalizacji nie ma równej sobie w Europie.

Wiadomo, że języków obcych i bardzo nawet trudnych uczymy się, nie tylko dla ułatwienia sobie spekulacyj handlarskich, czy innych, ale i dla możności bezpośredniego czer-

pania wargami spragnionemi — u żywego źródła arcydzieł świata. Dla Homera, Horacego, Danta, Szekspira, Goethego, uczymy się języków. Więc i dla *Pana Tadeusza* nauczyć się po polsku i historji polskiej — można i warto.

Przyczyną pomijania *Pana Tadeusza* i całej naszej wielkiej twórczości w Europie jest inny, głębszy, fakt. Jest nią cecha znamienna, szczytne nieszczęście literatury i ducha polskiego: t. j. ich przepojenie miłością ojczyzny, ich wyłączny patrjotyzm.

„Cała literatura polska wyrosła z tego jednego słowa: o j c z y z n a“ — świadczy Mickiewicz.

Niema drugiej literatury, tak wyłącznie patrjotycznej, jak polska. Najwyższe nasze dzieła są niemożliwe do dobrego przetłumaczenia, zawartość ich da się odczuć w polskiej tylko mowie, na polskiej ziemi, w polskiem powietrzu i w polskiej tylko duszy. Najwewnętrzniejsza ich treść, duch bezprzykładnej miłości ojczyzny, ten duch ściera się pod twardą ręką cudzoziemca, cofnie się przed chłodną, obojętną dla spraw jemu obcych — „półuczucia żadnością“. Próżnobyśmy przekładać i przekonywać chcieli; nie pojmą nas, jak nie pojęli Żydzi motywów chrześcijańskiego poświęcenia się gajowego — w przypowieści *Ksiąg pielgrzymstwa*. Nie pojmą, aż się nawrócą, aż dociśnięci twardą

dolą, poznają, co to jest prawdziwa narodowość, co to jest miłość ojczyzny, jako najwyższy wykładnik życia duchowego. Dopiero gdy ludy europejskie odróżnią pojęcie „naród“ od państwa, gdy uorganizują swe współżycie na podstawie bratersko-narodowej, a nie na przeciwwadze przemocy militarno-państwowych, — dopiero wtedy — możemy się pocieszyć niechybną, choć i niekonieczną pociechą — wtedy to wejdą w przybytek naszego „narodowego pamiątek kościoła“ *kulturreisenderzy* i duszę swą poddadzą zachwytowi i czoło kornie pochylą, przed żarliwą świętą wiarą Mickiewicza, przed bohaterskim, słoneczną nadzieją prześwietlonym torsem *Króla-Ducha*, przed anielską miłością Krasińskiego, przed boleściwą duszą Wyspiańskiego...

Ale czasy to jeszcze dalekie.

Niedocenienie jednak najwyższego dzieła polskiego przez obcych — przeboleć jeszcze bez trudu możemy. Ale powtarzam: *Panu Tadeuszowi* dzieje się w Polsce krzywda, na polskiej ziemi i od Polaków.

Żeby już w zakresie wychowania pozostać, to przypomnijmy. „Odrabiało się“ w Galicji *Pana Tadeusza* w piątej klasie gimn. przez jedno półrocze — oczywiście z nieuniknionem „stąd-dotąd“; odrabiało się w wieku mniej więcej 16 roku życia, kiedy o wyczerpaniu całej

głębi zawartości dzieła — ani mowy; odrabiało się, nadbudowując nad arcytworem ducha polskiego mimowolną asocjację z czemś obowiązkowo nudnem, martwem. I to uczucie zostaje wobec *Pana Tadeusza* przeważnie na całe życie. Tak to podjęcie wychowawcze, które miało ożywiać — zabija, które miało odkrywać wartości — zaciemnia, odsuwa od źródła życia polskiego tych, co to później na świeczniku narodu!...

Kto dziś, rozejrzawszy się naokół, nie przyzna, że *Pan Tadeusz* niedoceniony jest przez społeczeństwo polskie gruntownie? Kto wskaże w „inteligencji“ ludzi, którzyby planowo, świadomie powracali do lektury *Pana Tadeusza*, ot — dla własnego skrzepienia ducha? Powraca się do Sienkiewicza, do Rodziewiczówny, do Kraszewskiego nawet, czyta się ich po kilka razy, — do *Pana Tadeusza* — nie!

Ale każdy z uszanowaniem pochyli głowę, przyświadczy, że to przecież chlubny klejnot narodu. Tak, któryś tam z nich nawet powiedział: „mybyśmy woleli, by nas mniej uwielbiano, a więcej czytano“. — Czy nie jest to objaw w życiu narodu nienormalny, czy to nie jedna z przyczyn naszej przeciętnej płytkości patrjotycznej? „Romantyzm sobie buja, wodzi, a światek coraz niżej schodzi“. Tak, zaiste, ale nie romantyzmu, nie poezji to chyba wina.

Panu Tadeuszowi dzieje się w Polsce krzywda. Winien być podwaliną wychowania polskiego, a wyznaczono mu w szkole szary, ciasny kącik; winien być podkładem i wytyczną życia ogólno-polskiego, narodowego, towarzyszem nieodstępnym, a jest jakimś czcigodnym gratem, który w oprawie z platonicznych, czczych uwielbień leży w pyle szacunku, wydobywamy tylko na okaz przed cudze oczy w chwilach parady narodowej. Grecy, odsunięci o całe wieki od epoki trojańskiej, uczynili Homera ośrodkiem i szczytem swego dzisiejszego wychowania[1]), „u nas inaczej, inaczej, inaczej".

Wieluż jest takich, d o s ł o w n i e takich, jak Maciek Prusak, coby o sobie powiedzieć mogli:

Ilekroć z P r u s powracam, chcąc zmyć się z niemczyzny,
Wpadam do Soplicowa jak w centrum polszczyzny;
Tam się człowiek napije, nadysze ojczyzny!

A nie jest to zrzędne biadanie; rzecz to straszna, to bezwyjątkowe krzywdzenie szczytów twórczości polskiej. Czyż mamy się stać jak Niemcy, co wyparłszy się wielkich swych duchowych przewodników, — uprawiają spokojnie ucisk i bezprawie wobec podbitych? Czyż mamy kopać przepaść między sobą, naszem życiem, a wskazaniem wodzów, wieszczów? mamyż się

[1]) Karol Kramarczyk: *Kilka uwag w sprawie nauki języka pol.* Jasło, 1910, str. 5.

sprzeniewierzać duchowi narodowemu, czcić go w dni wolne od zajęć, w dziedzinie abstrakcji? — „tu serce, a tam interes?“

Czy to nie znamienne, że literatura mickiewiczowska prawie że przycichła? Jemu umyślnie poświęcony rocznik, — rychło przekształcił się na pismo ogólnie-literackie, rozprawy o jego życiu i twórczości to białe kruki, a o samym *Panu Tadeuszu* od czasu nieostatecznej przecież rozprawy Gostomskiego — głuche milczenie! Do dziś nie mamy pełnego, poprawnego wydania dzieł poety, w lat 60 po śmierci! Nie jest to zjawisko, obchodzące jedynie historyka literatury, to objaw społeczny, to symptom faktycznego uformowania konstrukcyjnego duszy polskiej współczesnej. Sprawa więc o znaczeniu powszechnem.

* * *

Kiedy już mamy mówić o wartościach wychowawczych *Pana Tadeusza*, to trzeba się porozumieć u wstępu co do zakresu zamierzenia.

Powie ktoś: *Pan Tadeusz* jest dziełem o nieskalanej artystycznej linji piękna i wzniosłości, więc spełnia właśnie swą funkcję wychowawczą: ulepsza, podnosi na duchu wszystkich, którzy w niego wejdą. Tak np. ulepsza i podnosi odczucie pięknego krajobrazu, widok groźnie szalejących żywiołów natury i t. d.

I w powiedzeniu takiem będzie duża część słuszności.

Dzieło najklasyczniej piękne, najdoskonalej wzniosłe, byłoby dla nas martwym objektem, gdybyśmy nie potrafili włożyć w nie, wyczuć w niem naszej własnej jaźni, — nie tej oczywiście teraźniejszej, doświadczeniem wewnętrznem poznawalnej, bo ta nie zawsze mogłaby w nas podziw wzbudzić, ale jaźni wytęsknionej, ideału jaźni doskonałej, jakąbyśmy w sobie mieć chcieli. Poczucie wzniosłości dzieła sztuki czy przyrody, — jest poczuciem wzniosłości tej naszej, wkładanej w nie, szczytnej duszy. Na tem głębokiem spostrzeżeniu Kanta zbudował swą estetykę wzniosłości Schiller, a ostatnio T. Lipps.

Z tego stanowiska jasnem będzie, jak wielką jest funkcja wychowawcza każdego przejawu piękna i wzniosłości. Człowiek poprostu, odczuwając przepaść, jaka oddziela jego jaźń rzeczywistą od wyczuwalnej w wielkiem dziele — jaźni wymarzonej, jaźni — wzoru i kresu doskonałości wewnętrznej, odczuwając żywo tę przepaść, wytęża siły, by ją zmniejszyć, zasypać, by przerzucić wiązania mostu między tym a tamtym brzegiem, by teraźniejsze swe „ja“ podnieść, wydoskonalić, jednem słowem: czuje się pobudzonym do pracy etycznej nad sobą. To jest istota owego oczyszczenia, którego

Grecy się doszukiwali w dziele tragicznie wzniosłem.

Spostrzeżenia te dotyczą każdego przejawu piękna. „Jednocześnie jesteśmy — powiada wspomniany już Lipps — przez piękno i sztukę podnoszeni ponad siebie samych. Com wyżej sądził o wzniosłości, dotyczy w pewnej mierze każdego piękna, każdego dzieła sztuki. Wkładamy bowiem w nie: nie swoje empiryczne *ja*, nie siebie samych, jak w rzeczywistości jesteśmy, ale *ja idealne*, więc idealniejsze, t. zn. czystsze, szczersze, wyższe *ja*. Każde piękno, w momencie kiedy się niem rozkoszujemy, czyni nas lepszymi, pełniejszymi, więc moralniejszymi ludźmi“ [1]).

Na tem polega rola wychowawcza sztuki. I rolę tę spełnia *Pan Tadeusz*, najwyższy twór polskiego piękna i wzniosłości. Wystarczy jakaś dobra, spokojna chwila wczytania się jasnem, niezmąconem okiem w proste słowa powieści, żeby być pochłoniętym przez kojące, szczytne ich piękno, by być podniesionym, oczyszczonym z marnych naleciałości dnia, żeby obcować z doskonałością twarzą w twarz, i żeby nabrać osobistego przeświadczenia o tej dziedzinie wartości polskiego arcytworu.

---

[1]) Theodor Lipps: *Die ethischen Grundfragen* Lipsk, 1905, str. 201.

Powie ktoś inny: *Pan Tadeusz* jest syntetycznem ogarnieniem dawnego życia polskiego, jest rzetelnym obrazem przeszłości, wypadków, ludzi, ich trosk, zabiegów, radości i smutków, słabostek i szczytności, słowem całego życia w dni powszednie i świąteczne, w pracy i w boju. A jako taki wizerunek dawnej Polski, — jest zarazem zwierciadłem, w którem każdy dzisiejszy swoją marność i przyziemność „snadnie oglądać może", z czego może czerpać tęsknotę od przeżycia jednego choćby dnia tak górnie, jak tamci żyli całe życie. I ta dziedzina wartości *Pana Tadeusza* przyjęta być musi i ta strona wyzyskana być powinna w wychowaniu polskiem do dna.

W czasach dzisiejszych, w czasach grzęznących w intellektualizmie, rozhuśtanych pogonią za wszelką nowością powiedzeń, za oryginalnością, choćby dziką, paradoksalną, oryginalnością choćby za wszelką cenę, choćby za cenę sensu, w czasach takich, przejmując zresztą tylko termin i myśl Nietzschego, wysunięto w pewnym odłamie publicystyki jako zagadnienie rzekomo najżywotniejsze, najpilniejsze do rozwiązania, — zagadnienie walki z kultem przeszłości w sobie samym. Nikłe barki wzdrygnęły się przed osobistą odpowiedzialnością za cokolwiek poza sobą; one tak rzadko mają moc za siebie odpowiadać. Wzięto za

motto wyznanie któregoś z niedołęgów z *Wesela*: „to dawność tak z nami walczy“ — i poczęto się tej dawności gwałtownie wyrzekać. Wszelką przeszłość, poczucie historycznej z nią łączności — uznano za balast, za pęta. Człowiek dzisiejszy — głosi się — ten jest wolny, który jest historycznie i etnograficznie i społecznie i Bóg wie jak tam jeszcze — sam. Poczucie organicznego związku z przeszłością pojęto jako słabość, nieomal jak winę. Około tego zagadnienia zbudowano wiele teoryj, napisano parę traktatów etc.

Sprawa jest dla dzisiejszych czasów wprost symbolicznie charakterystyczna. Oto bowiem już zmarły, niezastąpiony, tak na siebie tylko liczący, nie trwożny przed konsekwencjami swych myśli człowiek, jak Stanisław Lack, — już on przesądził, że kto się wyzbył przeszłości, ten wyzbył się w istocie siebie samego, stał się człowiekiem, którego dusza zwie się: czczość. Otrzepujemy oto bowiem stare, spłowiałe mebelki myślowe z końca XVIII w. Wtedy one nosiły dość błyskotliwe miano „powrotu do natury“.

Człowiekowi żywemu i chcącemu żyć — nie o walkę z „dawnością“ chodzi, nie o wymiatanie z siebie przeszłości, ale o przyjęcie jej, o przerobienie na własny oręż, na własną siłę do własnej walki. Ma się przeszłość ująć

poprzez dzisiejszość i przerzucić od niej pomost w jutro.

I tę sprawę rozsądził stanowczo i ostatecznie już A. Mickiewicz. Mówi on: „Trzeba uczuć się członkiem swojego kościoła, synem swojego narodu, potomkiem odpowiedzialnym za wszystkich swoich przodków w rodzinie swojej duchowej i doczesnej, trzeba być dziedzicem wszystkich przymiotów, wszystkich cnót, jakie naddziadowie nasi zdobyli w pocie czoła i w ofiarach krwawych. Trzeba całą przeszłość religijną i polityczną ścisnąć w jedno ognisko, zamienić w jedną płonącą gwiazdę i ogień ten utrzymać na ołtarzu swego ducha, aby, cokolwiek było w historji świętego, prawdziwego i wielkiego, znalazło się w nas jako ziarno usiewne, jako żywotność, jako siła". (*Liter. słow.* IV. 147).

I choć mózgowiec współczesny, grający w słowa jak w kości, — zaprzeczy nam tej ostatniej wartości wychowawczej *Pana Tadeusza*: życiotwórczego podania dziejów, syntetycznego obrazu przeszłości naszej — to nad sądem takim przejść możemy w spokoju. Jednodniowy on i wykazuje piętno niemocy, a nie pęd ku wyzwoleniu, ku działaniu.

Ale tu obecnie o żadną z tych dwu wartości wychowawczych nie chodzi, ani o wzniosłą piękność, ani o żywotność historyczną. Obcho-

dzi mnie bowiem zupełnie osobne zagadnienie: czy w *Panu Tadeuszu* mówi się o polskiem życiu, jakie ono być powinno; czy dotyka się wieczyście dręczącej zagadki podniesienia duszy człowieczej ponad niedolę powszedniego istnienia? Słowem, czy *Pan Tadeusz*, opowiadając przeszłość, uczy jak w przyszłość iść należy?

Sprawa, zdawałoby się, z góry przesądzona — wobec tylekrotnie i tak gruntownie wykazywanej epickiej objektywności poematu.

Mickiewicz — mówi się, — w dużej zresztą mierze zgoła słusznie, zniechęcony wirami wielko-emigracyjnemi, ich teorjo-, polityko-, adreso- i wszelką inną manją, widząc, że przyjęcie i wpływ *Ksiąg pielgrzymstwa* nie odpowiadał ich zamierzeniom, — cofnął się w siebie, odciął się od stuków, przekleństw i potępieńczych swarów wychodźtwa na bruku paryskim, drzwi od Europy zamknął hałasów i szedł po wielkim szlaku tęsknoty — jak Anhelli po złotym wód gościńcu — na północ, na pola „malowane zbożem rozmaitem“, między dawne, proste dusze, w ich sprawy i dni, zabawy i spory wśród cichej wsi litewskiej. Tak gotował swej duszy utęsknionej leczącą złotą kąpiel w słońcu i powietrzu ojczystem. Gotując ją, niczego nie chciał od siebie ni świata, krom ulgi tęsknocie i krom

uleczenia żywem, plastycznem, pełnem przypomnieniem Ojczyzny.

A wobec takiego ustosunkowania pobudek i władz twórczych do przedmiotu tworzenia, — niema mowy o jakiemkolwiek zamierzeniu wychowawczem poematu. Intencja z dziedziny apostolstwa — bo pytanie powyżej stawione jest przecież jednem z odgałęzień zagadnienia apostolstwa — intencja taka w *Panu Tadeuszu* byłaby czemś przypadkowem, jakimś narzutem, tendencją, anachronizmem, stałaby w dysonansie ze stwierdzoną epicką objektywnością arcydzieła.

Takie jest przeciętnie powszechne pojęcie *Pana Tadeusza.*

Otóż zdaje mi się, że jest to gruby przesąd i nieporozumienie, a utwierdzać je w sobie i drugich mogą tylko ludzie, którzy — jak powiadał Frycz Modrzewski — „sylaby słów liczą, a rzeczy w sobie nie uważają". Stwierdzić to trzeba raz jeszcze z całą stanowczością: prawdziwa twórczość artystyczna nie jest nigdy procesem przypadkowym, ani połowicznym. Ogarnia całą duszę i uzewnętrznia ją całą w prawdzie i szczerości. Dzieło sztuki, gdy niem jest, jest i być musi pełnym, niekłamanym wizerunkiem całej duszy twórcy. Bez prawdy, bez szczerości w przerzucaniu swych wewnętrznych doznań na ekran sztuki — niema

piękna; kłamane, stylizowane uczucia, radości i bóle, będą co najwyżej uroczystą, wyblakłą draperją, którą się czczość i nijakość wewnętrzna melancholijnie otula. Więc też barbarzyństwem jest i krzywdą — odrywać rozważanie i rozumienie owoców twórczości od rozumienia i sympatycznego przeniknięcia duszy twórcy. Krytyka wyłącznie artystyczna jest krytyką wyłącznie mordującą i bagatelizującą wszelkie piękno.

Ex abundantia cordis os loquitur — powiada Pismo. I nigdzie nie jest to oczywistszą prawdą, niż w dziedzinie twórczości, do nikogo chyba nie może być tak słusznie stosowana, jak do Mickiewicza właśnie. Z obfitości serca mówił on zawsze, całego siebie rzucał bez zastrzeżeń w każde swe poczynanie, cały chadzał w prawdzie. Tak było w romantyzmie i tak w towianizmie. I żaden bezkostny objektywizm epiczny nie zdołałby przytłumić tej jego wartości. Był pełnym sobą. Między zamierzeniem a wykonaniem, między natchnieniem a czynem, między stanem wewnętrznym, a jego uzewnętrznieniem — nie znał rozdziału.

Jeżeli tedy mamy mówić o wartościach *Pana Tadeusza* z zakresu zagadnień mickiewiczowskiego apostolstwa, to trzeba przedewszystkiem rozejrzeć się w duchowem życiu wieszcza z tego czasu, a co tam znajdziemy jako klejnot drogocenny, tego nam niechybnie

wypadnie poszukać jako takiejże wartości w oprawie „ciemnego sosen uroczyska“, w oprawie szlacheckiej opowieści.

Jakież było tedy wówczas oblicze życia wewnętrznego poety?

Koleiny trudu mickiewiczowskiego w zakresie między szczytami: *Wallenrodem* i *Księgami pielgrzymstwa* — odrysować usiłowałem w rozprawie o *Księgach*. Tutaj rezultaty ostateczne — o ile mi do obecnego celu potrzebne — jeszcze raz streszczam i ogniskuję.

Kolein tych dwa są równoległe, miejscami o siebie się zadzierzgujące ramiona; jednem: troska o naród (zagadnienie służby narodowej), drugiem troska o jaźń własną (zagadnienie jednostkowej mocy). Wspólnym, silnie powiązanym torem biegły one obie w kuźnicy filomackiej, rozszczepiły się zaś boleśnie na wygnaniu, w Rosji. Etapami pierwszego ramienia są: farysowy okres wallenrodyczny, przedpowstańcze przypadnięcie ducha w cieniach starorzymskiego Colosseum, wreszcie stosunek do powstania a raczej do jego klęski. Wyznacznikami drugiego: Oleszkiewicz, X. Chołoniewski, Lamennais i Tomasz à Kempis. Koleiny obie zbiegają się w wielkiej „chwili przeznaczenia“, w Improwizacji, i odtąd już biegną równolegle, aż połączy je i zwiąże ze sobą towianizm, jak przesłoneczniona, lazurowa odległość łączy w je-

den wspólny szlak koleiny kół wozowych na drodze dalekiej, wzwyż wiodącej.

Wychodzimy więc z połowy drogi, od przepastnej, bezapelacyjnej wiary w jednostkę, w możliwość zbawienia narodu przez ofiarną wolę jednego bohatera, a bez narodu, jako zbiorowej całości. Tak zbawia Litwę Grażyna, tak Wallenrod. Wszystkim im, tym romantycznym bohaterom, był naród — jako zbiorowa wola, zbiorowy czyn — niepotrzebny. Wychodzimy od ufnego w siebie, na zaniedbaniu zbiorowości zbudowanego, pogańskiego prometeizmu. Ten skończył klęską. Wallenrod załamał się w sobie, nie zdobył się na triumfalną radość zwycięstwa, jaka z ugruntowania pewności płynie. Uczucie, na którem on czyn swój oparł, zawiodło, choć było niem czyste, kryształowe uczucie miłości Ojczyzny, nie było jednak samo w sobie sprawdzianem i uświęcicielem wartości. Z czystego uczucia wypływał czyn etycznie załamany. Budowa służby narodowej na tych posadach zawaliła się, Farys nie znalazł mocy, by naród zbawić.

W tym momencie zmienia się oblicze trudu. Zaczyna się długa, bolesna kalwarja walk o siebie samego, o czcigodność własnej duszy; tamta, narodowa koleina przyciera się, zato druga wżłabia się głęboko, boleśnie głęboko.

Oleszkiewicz może mu wskazał, że ufna pe-

wność siebie, romantyczne poczucie własnej mocy, „nie wziętej z drzewa wiadomości złego i dobrego“, nie darowanej, nie zdobytej mózgowym wysiłkiem, ale mocy wrodzonej, apriorycznej, samoistnej, że to poczucie kruche ma posady. Ono też zrysowało się już w *Wallenrodzie.*

Więc na czemże człowiek oprzeć się ma, by miał p e w n o ś ć? Oleszkiewicz, jak Plato w Dyspucie rafaelowskiej, wskazał niebo, poprostu wrócił Mickiewiczowi przygasłą religijność — jak zapisują współcześni. Prawdziwie, jak szerokie obszary, jakie głębie niespodzianego znaczenia kryją się pod przytartemi i zmatowanemi słowami powszedniego użytku!

Człowiek łaski — rozumiał Mickiewicz teraz — który z nieba wyrozumienie spraw i utwierdzenie bierze, ma grunt pewny pod sobą i moc rozległą, jak moc Samsona. A na to mu potrzeba: 1) rozpotężnić własne uczucie, 2) rozumne, gromowładne czoło „ugiąć przed Panem, jak chmurę przed słońcem“. Wtenczas to dopiero jednostka, silna uczuciem oczyszczonem, Bożą prześwietlonem łaską — zdziałać może cuda. Romantyczny kult swobodnej jednostki taki miał szczyt i kres; określić go można jako prometeizm chrześcijański.

To stadjum życia duchowego przypada na początek rzymskiego okresu. Dalszy jego proces

rozwojowy i zarazem skłon dokonywa się w promieniu uroku Tomasza à Kempis. Jego zaś owocem jest wyższy szczebel wzniesienia, mianowicie: przeświadczenie, że nawet taki uświęcony prometeizm, jako że na „pysze“ zbudowany, uroszczeniem jest człowieczem. A prawdą zasie jedyną zaparcie się siebie samego, przekreślenie swej jaźni, najpełniejsze zaofiarowanie jej całej, jej nadziei, ambicji, uczuć ziemskich, światowych — zaofiarowanie dawcy wszystkiego, Bogu.

I pod tym znakiem stanął i tę szkołę terminowania życiowego z całą pasją oddania przebył Mickiewicz. Wyrwało go z niej dopiero wielkie zakłębienie się boleści, jakie go ogarnęło po „drugiem wzięciu Warszawy“, po klęsce listopadowej rewolucji. Oto w czasie, kiedy on, duchowy wódz, porał się ze sobą, naród mu się wymknął z czucia, odbiegł go, na własne zbiorowe zdobył się bohaterstwo. Prometeuszów nie potrzebował, bo miał w twardych, żołnierskich swych szeregach — prometejskich, na końcu bagnetu nabitych serc... tysiące!

Mickiewicz wyszedł z cieśni klasztornych, ochłonął. I zaczął gorączkową, rozpaczliwą pracę nad nawiązaniem nici między duszą swą a duszą narodową. W tę zbiorową, bohaterską duszę narodową uwierzył ślepo, ją to teraz wysunął jako najwyższą instancję i cel swoich

czynów. Przyjął kult narodu — zbiorowości, kult bezimiennego, żołnierskiego bohaterstwa w masach narodowych. Podjął więc przerwany trud ustanawiania kanonu dla swej służby narodowej. Już służby, a nie przewodnictwa.

Nowe ustanowienie wyraziło się jako obowiązek zupełnego, zakonnego zaparcia się siebie, wyzbycia się własnych celów, ambicji, własnych zamierzeń, szczęścia, nawet imienia własnego, nawet sławy, a to wszystko dla ojczyzny właśnie. Nie będziesz miał nic wyższego w życiu nade mnie — mówiła mu ojczyzna. Wiemy, że nie miał.

Stanowisko to — widać odrazu — w czem różne od rzymskiego, w znaku *Naśladowania Chrystusa* podjętego, ukonstruowania duszy. Nie jest to zaprzeczenie, ale przepojenie własną krwią, uwspółcześnienie i unarodowienie dawniejszego zakonnego ascetyzmu.

Tem nowem pojęciem obowiązku służby narodowej przepoił Mickiewicz każde swe uczucie, każdą myśl, każde poczęcie swoje. Przejawia się ono w każdem słowie, w każdym liście jego. Stało się poprostu drugą naturą. Poczucie obowiązku ofiary z siebie wyrobił Mickiewicz w sobie jako instynkt. Tak to można ostatecznie i najdosadniej określić. Zdobył instynkt ofiary. Ten instynkt pragnął wyrobić w po-

wszechności narodu, jako palladjum wszelkich mocy.

W takim stanie ducha pisane były *Księgi pielgrzymstwa*, jakby katechizm nowej, polskiej etyki; wkrótce po nich — *Pan Tadeusz*.

A teraz, kiedy wiadomo, co było wówczas dla wieszcza wartością najwyższą, teraz jasnem będzie, kędy jej szukać trzeba w *Panu Tadeuszu*. Poeta, którego już jedyną tęsknotą stało się wychowanie narodu do wielkości, nie mógł pod grozą nieszczerości, połowiczności, nawet w epickim poemacie nie mógł przemilczeć tej dziedziny swych uczuć, podkreślić ją musiał w *Panu Tadeuszu* właśnie w imię epickiej objektywności, t. j. zgodności z sobą.

Sądzę, że potem, com dotychczas powiedział, „wszystkich oczy — jedna już tylko postać ściąga i jednoczy“, postać Bernardyna Robaka. I słusznie. W tę to właśnie postać wkrysztaliły się te wartości, o które mi tu z założenia idzie. Robak jest szczytem polskiego życia. Co w *Księgach* podane jako nauka, wskazanie, — to jest w nim uosobione, doskonale żywe; jakby tworzywo tamtej książki przeszło w ciało i krew jednego człowieka.

Jacek Soplica, okoliczny zawadjaka, żołnierz niezrównany, strzelec niechybny, człowiek z typu zdobywców, „panów“ według terminologji Nietzschego, typ, którego taka już jest konstrukcja

psychiczna, że wszystko ku sobie ściąga siłą dośrodkową, wszystko zużytkowuje dla swej, a niczyjej innej woli, dla zadowolenia swego *ja*, człowiek ten zdołał przez jakieś wprost nadludzkie chyba trudy — przetopić własną duszę, przetworzyć ją tak gruntownie, że jej rodzony brat nie poznaje, wymieść z niej egoizm, egocentryzm, prywatę, a osadzić wolę ustawicznego, wiecznie płonącego ognia ofiary za Ojczyznę. Wszystkiego się w życiu wyrzekł, zaparł nazwiska, nawet uczuć ojcowskich, wyrzekł się nieubłaganie, bezapelacyjnie. Wtedy dopiero zaczął czynić.

To też w miarę dokonywania się tego jego czynu, rubaszna twarz Robaka prześwietla się jakby aureolą świętości, nabiera blasku, żeby rozbłysnąć ostatecznie poprzez grób nieugaszonem światłem wzoru polskiej pracy narodowej, polskiego pełnienia synostwa wobec Ojczyzny.

I otóż w tem pokazaniu na przykładzie Jacka Soplicy, w pokazaniu, jaka ma być nasza służba narodowa, — w tem jest najwyższa, niczem się nie dająca zastąpić, wartość wychowawcza *Pana Tadeusza*. X. Robak to wplata w spokojne spadki słów szlacheckiej opowieści — wysoki rytm bohaterski, czyni z poematu dzieło szczytne, etycznie wznioślejsze ponad wszystko, co polska twórczość wydała.

Wartość ta wzmaga się przez jeden jeszcze

fakt. Robak, chorąży najwyższej polskiego życia prawdy, bohater, nie wychodzi w poemacie, jak tradycyjni bohaterzy, na wysznurowanej, nieziemskiej wysokości codziennego życia, nie jak w smętek zórz polarnych ubrany Anhelli, ani jak owi królowie z bajek, którzy nawet do snu nie zdejmują korony z czoła. Niema w nim poprostu ani źdźbła kaznodziejskiego patosu. Poczciwym, cichym braciszkiem klasztornym widzimy go przez cały ciąg poematu, rysów bohaterskich nabiera dopiero w scenie spowiedzi.

Bo nowa nauka Mickiewicza o polskiem poświęceniu nie wymaga nadludzi, stalowych rycerzy, olbrzymów duchowych. W tem jej najżywotniejsza wartość, że pojąć i podjąć mogą ją wszyscy, a właśnie najprostsi, najcichsi w narodzie przedewszystkiem. A wskazania jej wypełnia się nie w jakichś „wielkich potrzebach", wyprawach, przedsięwzięciach nastręczających bohaterstwo, ale w pośród szarych, codziennych kłopotów, trosk, w najmarniejszej nawet pracy najmarniejszego wyrobnika. Zwie się ona bowiem: nie wiedzące o sobie — bohaterstwo dnia powszedniego, pojęte jako najprostszy, najbardziej sam przez się zrozumiały obowiązek. Rzecz bowiem w tem, by w każdem poczynaniu, w każdem zamierzeniu motyw ojczyzny występował żywo, jako naj-

wyższy czynnik postanowienia i wykonania. W tem wartość społeczna nauki Mickiewicza, w tem jej gwarancja wcielenia — najwyższa. Nie tworzy ona w narodzie jakiejś kasty zbawicieli, obowiązek powszedniego bohaterstwa rozlewa na wszystkich.

A że naukę taką, nie jako narzut, narośl przypadkową, nieorganiczną, ale jako swój fundament najtrwalszy i jako najbardziej własne, istotne, nieuniknione rusztowanie wewnętrzne — podaje najwyższe dzieła ducha polskiego, w tem jest zapewnienie niezawodne, że nie brana ona z napływu przypadkowości, że taka jest ducha naszego narodowego istota i wola. W tem też radosna pewność, że, dojrzewając śladami Mickiewicza, przejrzą kiedyś dusze polskie, staną na szerokim łanie ofiary, by kłaść czyny swe narodowe jeden przy drugim zwarcie i pewnie, w rozradowaniu, jak żeńcy kładą na ściernisku pokosy zboża dostałego.

ŻOŁNIERSTWO MICKIEWICZA.

Że się tu wizerunek duchowy Mickiewicza położyło obok życiorysów wodzów naczelnych[1]), obok najwspanialszych polskich organizacyj żołnierskich, — to ani przypadek, ani utarty nawyk. Owszem, miejsce to i zestawienie jedynie właściwe, przynależne. Bo prawdziwie nikt chyba drugi w Polsce nie był, jak on, żołnierzem tak do głębi istoty swojej, i tak niezłomnie, — aż do trumnianej deski. A i to drugie jeszcze, że kiedy tamtych — i Dąbrowskiego i Kościuszkę, — czcimy za ich niebywałą wielkoduszność i za zasługi właśnie wojenne, ale ostatecznie ich wojackiej metody, ich strategji ni taktyki, nie przejmiemy, mając ją tak ogromnie przez ciąg czasów zmienioną, — to stosunek wobec Mickiewicza jest nawskróś inny, W zakresie jego żołnier-

[1]) Artykuł ten był pomieszczony w podręczniku żołnierskim, obok życiorysów Kościuszki, Dąbrowskiego i Trauguta. Ton jego i charakter został tu zachowany bez zmiany.

stwa bronie nie zostały zmienione, wróg ten sam, tenże teren i sił stosunek; to też mickiewiczowską, boleśnie trudno przez niego próbowaną metodą — niejedną jeszcze stoczyć i wygrać możesz bitwę. Warto więc wejrzeć głębiej w jego żywot, wejrzeć dziesięciokrotnym nawrotem, jak w niezawodny podręcznik taktyki wielkiego wojownika — o wolność Narodu i wielkość duchową człowieka.

Kiedy piszę tu to słowo: żołnierstwo, to myślę, że ono właśnie jest zdolne najwierzytelniej chyba ująć sam rdzeń istoty duchowej Mickiewicza, że jest jak zwornik, w którym się zbiegły wszystkie żebra i wiązania tej niebosiężnie sklepionej świątyni, jaką jest dusza Mickiewicza. Tak więc już wypadło z Najwyższego Przeznaczenia, że jedną z najwspanialej w Polsce po żołniersku uorganizowanych dusz obdarowan był ten człowiek, któremu odmówione zostało w życiu — choć raz ściąć się wręcz na bagnet ze złym wrogiem narodu.

Znakiem najzewnętrzniejszym, a przecież istotnym żołnierza jest jego mundur; tak się on już pospolicie opatrzył i uzwyczaił, że nie wywołuje głębszego zastanowienia. A on jest przecież wyrazem najkardynalniejszej zasady żołnierstwa. Jest to każdemu widomy znak, że oto stoisz w szeregu walczących po tej stronie, że my to my, a oni to oni — wróg, że między

nami, ubranymi w dwa różne kroje mundurów, linja od rowu do rowu, przestrzeń, na którą się nie wchodzi bezbronnie ni bezkarnie, że dla nas wyrównania niemasz, jak tylko w śmierci. To jest żołnierska właśnie alternatywa w świecie nieodmienna, postawa wobec życia do tyla prosta, że aż chętnie przeoczana.

Jakkolwiek się będzie gatunkowało ludzi, jeden podział da się przeprowadzić zawsze i bezwzględnie. Dwa są jedynie do wyboru stanowiska wobec świata i spraw, któreśmy na nim zastali, postawa przytwierdzenia lub zaprzeczenia, ugody, przystosowania i — buntu, walki. Nic pośredniego być nie może. Albo podpisujesz pakt ze stanem rzeczy, jakiś zastał na świecie, i szukasz najwygodniejszego w nim dla siebie i swoich siedliska, albo cię mierzi niedoskonałość rzeczy ludzkich, ustawiczny kompromis z oporem materji, ze złem i porywasz się do walki, przebudowy. Niema tu nic trzeciego. Stanowisko rzekomo ponadobozowe, estetyczne: „niech inni za łby chodzą, a ja się dziwuję“, — jest stanowiskiem spożywcy i ugodowca. Taki jest układ świata, że w nim człowiekowi chlebem codziennym jest walka.

Nie wielu chyba w Polsce te sprawy tak jasno widziało, jak Mickiewicz. Pierwsze zaraz wstąpienie z życia rodzinnego w społeczne dokonało się u niego w świetle tej świadomości,

że „umysł, unoszący się dawniej do wielkich rzeczy, dziś zepchnięty i ograniczony własnym interesem, czołga się przed zyskiem i własnej tylko słucha miłości“, i że takiemu „dziś“ co rychlej i najstanowczej trzeba się przeciwstawić. Stając między współtworzącymi ruch filomacki, ślubować musiał przecież w sobie nieustępliwie: z niczem, co zastałem marnego koło siebie, się nie godzę, włączam się w szereg żołnierski, staję po tej stronie linji i z przeciwną nigdy nie zawrę ugody. Owa „strona przeciwna“ przedstawiała się zapewne na razie nieco mglisto, sądzona była ryczałtowo; w postawie psychicznej filomatów więcej było junackiego, nietamowanego rozmachu, pędu młodości wyrzucającej „z posad bryłę świata“, niż zestrzelonej, w jeden kierunek zwartej woli; dążenia miały raczej charakter przyjacielsko-etyczny niż spiskowo-patrjotyczny. Ale i to prawda, że w takiem rozmierzeniu haseł jest nigdy już potem w Polsce nie dostąpiony urok. Niewysuwany na pierwszy plan, harmonizował tam patrjotyzm z całokształtem duchowego wzrostu, był właśnie „jak zdrowie“ — jeszcze nie stracone.

I w życiu Mickiewicza jedyny to, jakże krótki, moment, kiedy patrjotyzm jego mógł być jasny, czysty, jak oddech w górskiem powietrzu, prawie niefrasobliwy, jak być musiał patrjotyzm Kochanowskiego, lub ludzi „złotego

wieku"; niezawleczony cieniem dybiącego na każdy krok wroga, ani zasnuty mniszym rygoryzmem podziemnych spisków. Z jakąż tęsknotą nawraca on sam potem do tych czasów „świętych i czystych, jak pierwsze kochanie".

A jeśli czasem i Moskal się zjawił,
Tyle nam tylko pamiątki zostawił,
Że był w błyszczącym i pięknym mundurze,
Bo węża tylko znaliśmy po skórze.

Lecz w skórze była jadowita łapczywość ucisku, a zwróciła się właśnie przeciw zarodzi nowego życia młodzieży litewskiej. W miarę ucisku wzrastał odpór, uświadamianie, ujmowanie w słowa tego, co było we krwi ich wszystkich, jak dzień oczywiste, że celem prac: „przywrócenie Polsce dawnej świetności". Widzimy jak towarzystwo, które z początku zastrzegało się, że „religijne i polityczne materje z prac swoich na zawsze wyłącza", coraz to wstawia dla członków tajemne nakazy, uczy się bolesnej w Polsce sztuki zmowy i spisku.

A kiedy się dopełniło dzieło przemocy nad nimi, kiedy zadeptano owo przeczyste źródło odrodzenia i najlepszych z młodzieży ogłoszono zbrodniarzami, tedy moment ów — 26 sierpnia 1824 r. — zaciężył nad całą resztą życia Mickiewicza; nietylko zewnętrznie, że wyrzucił go — najlepszego z synów — po za granice ziemi ojczystej na bezpowrotną już tułaczkę, ale i we-

wnęcznie, że w duszy jego zestalił raz na zawsze niezłomność żołnierstwa, zmodelował ją i wyrzeźbił w kształt wojownika.

Przypatrzmy się temu kształtowi bliżej.

Przedewszystkiem ma on dwa oblicza, dwojaką broń w rękach — na dwojaką sprawę. Są w duszy Mickiewicza dwie siły, jakby dwa nurty, które zjęte dopiero genjuszem twórczym dały najwyższe w Polsce człowieczeństwo; imię ich: patrjotyzm i etyka. W łożyska tych dwu zadań ujęte zostało niezłomne Mickiewicza bojowanie. Walka o wolną Polskę, o wielkość narodu i walka o szczytność życia, o wielkość duchową, o „człowieka wiecznego“ — oto dwa fronty żołnierstwa.

W filomatyzmie front to był zjednoczony, zakwitały obok siebie oba elementy: żarliwość moralna i owa, o jaką Skarga wołał, pogodna, uczynna „życzliwość ku Rzeczypospolitej“. Obca przemoc zamąciła pogodę; przetworzył się ustrój patrjotyzmu. Obok, a raczej ponad dawnym — powiedzmy czarnoleskim — jego kształtem, wyrasta nowy: patrjotyzm człowieka niewolnego, postawa psychiczna, w której świadomość wroga nie zgasła ani na chwilę, a dawna swobodna, wielkoduszna życzliwość zwiera się w żołnierską wolę i zadanie: wybić się na wolność.

Nie znaczy to, żeby dawny typ patrjotyzmu swobody zaginął, owszem, żyje i szlachetnieje,

ale na jaw wydobywa się tylko w najwyższych momentach pogody i świętości moralnej. On to, jak klejnot nieprzeszacowany, zdobi „Pana Tadeusza“, — ale też sprawia, że istotnie dzieło to spełna pojęte i przyjęte będzie w narodzie dopiero kiedyś,

gdy zemsty lwie przehuczą ryki.....
gdy wróg ostatni wyda krzyk boleści,

słowem, w państwowo niepodległej Polsce. W reszcie twórczości tonem zasadniczym będzie ów drugi patrjotyzm, pamiętny na wroga, powstańczy.

A wróg? Tego szukać nie było trzeba. Dzieje końca 18-go wieku położyły nieprzestępną, trójkierunkową granicę nieprzyjaźni między Polską a sąsiadami. A jednak rzecz to godna zastanowienia: front Mickiewicza uzbrojony był prawie wyłącznie z jednej strony, — przeciw Rosji. Wprawdzie zestawień i wogóle całej przemowy Rymwida do Litawora o „gadzie krzyżackim“ nikt z nas nie zapomni, tak żywy i silny jest jej nurt uczuciowy, znamy wzmianki o Grudziądzu, Acillonie itp. z *Ksiąg*, pamiętamy, że trójprzymiotnikowe jest w „Litanji Pielgrzymskiej“ błaganie o zdjęcie niewoli; wszystko to nie zmieni przecież faktu, że wojenny patrjotyzm Mickiewicza skierowany jest przedewszystkiem przeciw Rosji. To fakt, który

mniejsza jak tłumaczyć, czy go wywieść z najgłębszych pokładów ustroju ducha narodowego, czy z przypadkowego układu stosunków owoczesnych politycznych, czy wreszcie z dobroduszności polskiej wogóle myśli dyplomatycznej, — faktem zostanie zawsze. Co więcej, podnieść to należy jak najdobitniej, że z ludzi polskich 19-go wieku Mickiewicz najwydatniej przyczynił się do uzasadnienia i ugruntowania świadomości polsko-rosyjskiej nieprzyjaźni.

Kiedy powstanie listopadowe upadło, oświadczył na piśmie, że podejmie tęższamą walkę, której nie skończyła szabla powstańcza, i dopełnił tego najwierniej całem życiem. Powstania dziełem jest najdonioślejszem i udanem, że zwaliło wszelką myśl o przyjaznem załatwieniu walki, że zorjentowało Polskę raz na zawsze przeciw Rosji. To dzieło prowadzi dalej Mickiewicz jak nikt drugi. Owocem jego zaraz pierwszych występów publicystycznych na emigracji jest koncepcja „partji polskiej“ w Europie.

Wszelkie dążenie polityczne, w jakimkolwiek ono jest kraju, zmierzać może — tak biegnie myśl Mickiewicza — do jednego z dwu przeciwstawnych biegunów: wolności lub przemocy. Najwyraźniej, najostrzej przeciwstawiły się te zasady w walce polsko-rosyjskiej. I w Europie nic pośredniego niema; kto za wolnością, ten z Polską, — kto za zasadą przemocy państwo-

wej, ten z carem, ten Moskal z ducha, gdziekolwiekby mieszkał. Polska i Rosja to dwa światy, obok siebie istnieć nie mogą, wykluczają się wzajemnie jak dobro i zło, dzień i noc, jednemu z nich nie być; a raczej nie tak: istnienie, zwycięstwo caryzmu jest doczesne, runie, a przyszłość jest wolności.

Nieprzyjaźń położona między narodem a narodem jest w przejrzeniu Mickiewicza tegoż typu, co owa rajska, między Szatanem a Niewiastą.

To też w momencie zawiśnięcia nad otchłanią rozpaczy, kiedy szaleństwo bólu i zwątpienia podsunęło mu myśl przeraźliwą, że samą zasadą bytu jest zło świadome, a nie Bóg, świadome dobro, — wtedy na określenie tego zła absolutnego nie znalazł innego terminu, jak tylko formę ustroju państwowego Rosji — caryzm. Uważał widać ten ustrój za wyłączny twór szatana, dzieło najpełniej oddające jego istotę, więc zło w najczystszej, absolutnej postaci.

Sąd taki o despotyzmie nie był doraźny, wyrwany rozpędem egzaltacji twórczej, ani był czczą figurą poetycką, owszem, wyrażał silne i długotrwałe przeświadczenie poety rozbolałego po upadku powstania. Znajdujemy go bowiem w podobnej formie już we wcześniejszej *Re-*

ducie Ordona w apostrofie do mocarza, co jest „jak Bóg silny, jak szatan złośliwy".

Przepaść tak głęboko rozdartą raz tylko i to przez bardzo krótki moment próbował Mickiewicz zasypać, nie przerzucił jednak przez nią kładki ostatecznie, owszem pogłębiał ją i rozdzierał jeszcze w *Prelekcjach paryskich*, gdzie przeciwstawność polsko-rosyjska ukazana jest w biegu historji, rozciągnięta na wszystkie dziedziny życia, państwo, religję, obyczaj, psychikę całą. Nieprzyjaźń między Polską a Rosją budowały wieki, ale kamień przyłożony do tej budowli ręką Mickiewicza jest z pośród najznaczniejszych.

Tak to zrekognoskował był Mickiewicz obóz nieprzyjacielski, źródła i przyczyny walki.

Rzecz, którą dalej trzeba podkreślić, to jego wojenna taktyka. Walka ma być orężna i zaczepna. „Bóg nie pozwolił mi być uczestnikiem jakimkolwiek w tak wielkiem i płodnem na przyszłość dziele. Żyję tylko nadzieją, że bezczynnie ręki na piersiach w trumnie nie złożę", pisał zaraz po powstaniu listopadowem. A wnet potem: „ja wierzę już tylko w szablę".

Z dużą łatwością moglibyśmy wykreślić tę bitewną linję w twórczości pisarskiej Mickiewicza. Zaczyna się *Wallenrodem*, który jedynie jako podjęcie wojenne należycie ceniony i pojęty być może, przez *Dziadów* część III,

Księgi, — wiedzie do *Trybuny Ludów*. Pogotowie tu zawsze czujne, odporne, skore do uderzeń tam, w stronę północną.

Działalność obywatelska, praca pisarska — to wszystko rzeczy tymczasowe, ostatnią instancją zostanie zawsze szabla. Ta wiara przetrwała do końca życia. Z niej wyrasta początkowa emigracyjna działalność społeczna, ona to w r. 1848 kazała zdać żonę i dzieci na Bożą Opatrzność i iść do Rzymu, była przewodniczką w r. 1855. Ztęsknionego przez życie za szablą znalazła śmierć też na posterunku żołnierskim.

Ale gdyby Mickiewicza służba Ojczyźnie wyczerpywała się na przenikliwej znajomości wroga, oraz na taktyce, choćby ofensywnej, odporu i walki, patrjotyzm jego byłby dopiero zaprzeczny, typowy patrjotyzm niewoli, któremu formy istnienia i czynu dyktuje wróg. Nie jest tak z Mickiewiczem jako żywo. Są w patrjotyzmie tym wartości samoistne, twórcze i te są właśnie najszczytniejsze. Nie mogąc tu przechodzić całej radosnej drogi jego kształtowań, przystaniemy na dwu jej punktach; oba na wyniosłościach bohaterstwa, przedzielone przestrzenią lat dwudziestu, — czasy *Pana Tadeusza* i *Prelekcyj paryskich*.

Pan Tadeusz podał w najwyższej, najświetniejszej formie naukę zawartą już w *Wallenrodzie*, a zwłaszcza w *Dziadów* części III

i *Księgach*, naukę o wyrzeczeniu się siebie dla narodu. Przecudnym jej wyznawcą i wyrazicielem jest ksiądz Robak, ostatni i najwyższy z rodziny bohaterów Mickiewiczowych. Żołnierska ta nauka wsparła się o umiłowanie i wiarę w żołnierstwo powstańcze Emigracji, jest w istocie swej powiązaniem patrjotyzmu z surowym rygoryzmem wojskowości.

Oto tysiące powstańców wyrzuconych zostało poza granicę Ojczyzny; stopniem i zasługą wojskową najwyżsi, przyszli do Francji, sam kwiat narodu, poselstwo do ludów europejskich, — nie mając żadnych celów własnych, osobistych, krom tego, żeby wytrwać i przysposobić się do rychłej wojny o wolność. Pragnieniem wychowawczej troski Mickiewicza jest: przechować i umocnić w Emigracji ten psychiczny typ żołnierski; chce z niej mieć prawie zakon rycerski. Porzuciłeś, żołnierzu, dom, majętność, ojców i dzieci, przekreśliłeś własne umiłowania i pragnienia zawodowe, idąc w szeregi, — wytrwajże teraz w tej przysiędze wyrzeczenia, bo żołnierstwu twemu nie koniec! Pojmij i wypełnij głębię słów: „szczęścia w domu nie znalazł, bo go nie było w Ojczyźnie"! Wbrew całemu światu, gdzie każdy ściga swe osobiste pożytki, — wytrwaj w ofiarnem, zakonnem oddaniu się Ojczyźnie.

Ta to nauka jest duszą X. Robaka. Boleśnie

trudną sztukę wyrzeczenia się siebie dla Ojczyzny posiadł on w stopniu nieprzewyższonym. Po katastrofie życiowej, która wstrząsnęła jego istotą i wydobyła z niej czyste ziarno człowieczeństwa, wyzbywa się wszystkiego: świeckich uciech życiowych, rodowej sławy i nazwiska, radości uczuć rodzinnych, wreszcie skarbu najwyższego: miłości własnego dziecka i nadziei przekazania mu swoich zasług. Wkońcu rzecz prawie ponad nasze pomyślenie; kiedy wypiastowane dzieło całego jego życia, ów:

> Cel wielki, który całe życie me zaprzątał,
> Ostatnie moje ziemskie uczucie na świecie,
> Którem tulił, hodował jak najmilsze dziecię,

nadzieja zainicjowania powstania na Litwie — zwalona została przez mściwość Gerwazego, bohaterstwo X. Robaka i to przyjmuje z poddaniem i z rozjarzonej świętością duszy swej wydobywa przebaczenie. Kiedy zaś mu wypadło imię swoje odkryć przed śmiercią, to poto tylko, by się ukorzyć przed własnym prześladowcą, a nie o „dziełach walecznych“ mówić, nad które sam przekładał „czyny ciche, użyteczne i cierpienia, o których nikt...“. A wszystko to bez patosu, jakby to była rzecz najzwyczajniejsza, codzienna, — ta świętość dnia powszedniego.

Taki jest jeden z nakazów patrjotyzmu czynnego.

Drugi już artystycznie nie jest ucieleśniony,

wyrażony został w mowie cudzej, przed cudzą przeważnie publicznością słuchaczy, — w ostatnim roku *Prelekcyj paryskich*. I dla rozwiniętej wtedy nauki o odpowiedzialności wywieść-by można źródła z dość daleka, a już wcale dowodnie z okresu publicystycznej działalności w *Pielgrzymie*. Ale o to tu nie chodzi.

Jej założeniem jest twierdzenie, że w dziejach, w życiu istności zbiorowych — narodów — obowiązuje również prawo o winie i pokucie; i grzechy zbiorowe ujść nie mogą bezkarnie, trzeba je przyszłym pokoleniom odrobić, jeżeli życie narodu ma się podźwignąć wzwyż. Nietylko za siebie jesteśmy odpowiedzialni, zadania do odrobienia mamy nietylko swoje, — za wszelką małość i ułomność, za upadki przeszłości, wytworzyć musimy w sobie przeciwważnik: godność odkupienia. Ohyda saska, jurgieltnictwo i zdrady, Targowica, to były grzechy pokolenia wieku 18-go; — dziś ciężą one na każdym z nas jako nasza własna hańba, nasz osobisty grzech: odrobić je, — przesadę zła, — ma każdy z nas przesadą dobra. Na to nie wystarczy prosta przydatność narodowa, trzeba bohaterstwa. Nacisk położony tu już nie na wyrzeczenie się siebie, ale na przeistoczenie na jakąś niebywałą miarę.

A z rozkazem tym podaje Mickiewicz, jak wódz doskonały, i siłę wykonania, otwiera ta-

jemnicę zdobycia siły. Skoro już obejmujemy tak miłośnie błędy przeszłości, by je osobiście odkupić, — to ogarnąć musimy i tej przeszłości klejnoty, dopracować się do nich, zdobyć na treść własną wszystko, „cokolwiek w historji było świętego, wielkiego, prawdziwego“, stanąć tak wysoko, żeby się nie powstydzić przed Warneńczykiem, Batorym, Żółkiewskim ni Rejtanem. Oto zadanie na miarę olbrzymów, nakazy dla członków narodu, który powołany jest do wielkości.

A trzeba mieć w tem miejscu na pamięci Mickiewicza naukę o modlitwie, jako tajemnicy wznoszenia duszy do poziomu Istoty wzywanej — aby pojąć, że nakazana praca dorastania w sobie do poziomu wielkich duchów przeszłości, ten żywy do nich stosunek, to nie zwyczajny kult ludzi minionych, ale to jedno z najdonioślejszych, najbardziej wartościowych odkryć w zakresie narodowego wychowania.

W obydwu wydobytych tu ze skarbca nauki Mickiewicza przykazaniach patrjotycznych widać odrazu, że tycząc się stosunku do Ojczyzny, sięgają również bardzo głęboko w pokłady etyczne duszy. Jakoż istotnie. Jakkolwiek bowiem nie w każdym momencie życia z jednakiem naprężeniem działają oba zaznaczone u wstępu elementy wzrostu duchowego Mickiewicza: patrjotyzm oraz pragnienie moralnej do-

skonałości — i linja ich wypadkowa zagina się w różnych okresach to w tę to w ową stronę, — to jednakże w najwyższych chwilach wzniesionej równowagi, w urodnych okresach nauczycielstwa obie owe wartości zwierają się z sobą najściślej i porówni je znajdziemy w każdem jego niepożytem dziele. Przyjrzeć się tedy trzeba i tej drugiej składowej.

Trudy moralne Mickiewicza wyrastają z tej samej żołnierskiej postawy duchowej: niezgody na istniejący stan rzeczy w świecie i z zasady niepaktowania ze złem. Owszem, w tym dopiero zakresie, — jako bezspornie i całkowicie podległym własnej mocy człowieka, — owa zasada odnowienia wszystkiego znalazła pełne urzeczywistnienie. Życie duchowe człowieka nie jest dla Mickiewicza, jak dla olbrzymiej wielkości ludzi, dziedziną osypującego się bezwładu, państwem kaprysu, lenistwa i zachcianek wygody, — to właśnie bezkresny teren do zdobycia i rządnego zagospodarowania, oraz to kraina źródeł istotnej twórczości. Od jej uprawy zależy plenność pracy zewnętrznej.

Wśród całych na świecie armij niewolników ciała i użycia Mickiewicz jest jednym z tych nielicznych pomazańców, którymi rządzi duch, których wszystkie, choćby najdrobniejsze, uczynki prześwietla zdobyta prawość wewnętrzna, że przechodzą po obszarach dziejów nieliczni, pro-

mienni, jak anioł po drożynach Raju. Dlatego to tak trudno jest poznać te pokłady jego duszy, poprostu trudno wykształcić w sobie władzę ich dostrzegania i trudno o nich mówić.

„Ustawicznie dokonywa się jeden wielki cud pośród nas — powiada współczesny filozof niemiecki, R. Eucken — wdziera się nowy zgoła świat w obręb naszego otoczenia, to cud przeistoczenia ludzkiej istoty, cud moralnego odrodzenia. Kto go tu nie dostrzega, nie dostrzeże go nigdzie wogóle". Cud taki dokonał się w Mickiewiczu w jakimś nieogarniętym momencie życia i chwila ta zaciążyła nad nim już na zawsze.

Nieodstępnym towarzyszem jest mu głód świętości, żądza przeanielenia człowieczeństwa. Kolein tej przenajtrudniejszej własnej kalwarji nie przekazał nam Mickiewicz, wiedział że w tych sprawach milczenie jest wiernym sojusznikiem. Tych trochę śladów, jakie się zachowały tu i ówdzie w mimowolnych napomknięciach korespondencji i przemówień, to są jakby wydarte piersi westchnienia i mimowolne jęki boleści utrudzonej duszy; one też są dla nas jedynemi znakami orjentacyjnemi.

Z nich wiemy, że tajemnicą pracy moralnej Mickiewicza była z a s a d a r e a l i z a c j i, zasada, mocą której zabraniał sobie dostępu do prawdy

wyższej, póki spełna nie wykonał, nie ucieleśnił, poprzednio zdobytej; nie wstępował na szczebel wyższy, póki nie był panem niższego. I wiemy dalej, że czynnikiem wzrostu wewnętrznego była mu nieustawność cierpienia, ów „krwawy pot ogrojcowy“, o jakim jest wzmianka w którymś z listów. Ciągła, nie zagojona boleść duszy, przeciwstawna zadowoleniu i upodobaniu w sobie, — strażnicza czujność moralnego zmysłu i bezlitosność osądu samego siebie, zgryzoty, posty duchowe, wreszcie bezpośredni, żywy stosunek ze światem nadprzyrodzonym, z Bogiem, ekstatyczna religijność, — oto pogłosy, jakby stacje tego nadludzko trudnego, a przecież człowieczego pochodu na Tabor, górę Przemienienia.

Ktoby szukał konkretnych danych, napomknień nauki o życiu odrodzonem, — to i te znajdzie; z okruchów wyznań odtworzyć się da całe wiązanie ascetyki Mickiewicza, niezrównana taktyka walk o świętość duchową człowieka.

Był Mickiewicz organizacją nawskroś etyczną. Przeźroczystość moralna prześwietla każdy jego czyn codzienny, każde zdanie nauki; jasne teraz będzie, dlaczego owe najwyższe wskazania patrjotyzmu tak uderzają swą etyczną szczytnością. Co więcej, przyniósł Mickiewicz Polsce zasadnicze w tym względzie prawo, które niechby

wpisane w dusze, jak w tablicę marmurową, przetrwało wieki: że wszelki czyn twórczy, zaś czyn narodowy przedewszystkiem, nierozerwalnie jest powiązany z jakością duchową twórcy, że tem jest owocniejszy i więcej wart, im wynikliwiej wyrasta z wewnętrznej uprawy moralnej czyniącego, że lichy człowiek dobrym Polakiem być nie może. I naodwrót, — zmiętego już hasła *Ody do młodości*“: „mierz siłę na zamiary“ — sens ostateczny jest właśnie taki: urastaj w sobie na miarę niedosięgłych zamiarów, a zadania ponad swe siły nie spotkasz. Hasło to wytrzymało próbę całego życia Mickiewicza, w *Prelekcjach* brzmi równie silnie jak w *Odzie*. Wzywa ono do ustawicznego bohaterstwa, jest surowe z żołnierska, jak żołnierska była nawskróś organizacja duchowa jego twórcy.

I istotnie, jeżeli cechą żołnierstwa jest niezłomna wola przetworzenia świata na wyższy typ, to gdzież w Polsce porozbiorowej wyższy, bardziej nieznużony przetwórca zastanej rzeczywistości? Jeżeli cechą żołnierstwa nieustępliwość i bezugodowość wobec wroga, któż nad niego bardziej zasadniczym, zaciętym wojownikiem, czy to wróg był zewnętrzny, narodowy, czy wewnętrzny: kruchość własnej natury? Jeżeli cechą żołnierstwa jest prawość wewnętrzna, surowa powaga, przystojna lu-

dziom, którym jak siostra serdeczni się nieodstępna Śmierć, któż jak on, dusza krystalicznie czysta, aż do śmierci utroskana o postęp w dziele przeistoczenia człowieczeństwa, — on, najwyższy, naczelny żołnierz Polski wieczystej!

SKAUTING POLSKI WOBEC ZADAŃ WYCHOWANIA NARODOWEGO.

Trudno dziś przesądzać ostateczną wartość skautingu, który, jak każdy system wychowawczy, wylegitymować się musi z obywatelstwa w dziejach zabiegów wychowawczych ostatecznemi dopiero, niezaprzeczalnemi owocami. Młody ten ruch, krzewiący się z żywiołową energją, znamionują jednak dwie wybitne cechy, które bodaj nierozdzielnie towarzyszą wszelkiej żywotności. Za cechy takie uważamy: 1) niebywale szybkie i rzetelne narastanie w treść wewnętrzną, 2) żywiołowo szybki rozrost przestrzenny.

Mając za sobą właściwie dopiero kilka lat istnienia[1]), porwał ruch skautowy do pracy

[1]) Przegląd krytyczny całej, dziś już bardzo bogatej zagranicznej i polskiej literatury skautowej: podręczników i czasopism — podaje Ks. Jan Zawada: *Jak pro-*

młodzież w całej bodaj Europie i daleko poza Europą. Przeszczepiony na obcy grunt narodowy, przeważnie przekształcał się odpowiednio do charakteru narodowego nowego podłoża i wzrastał zależnie od jakości celów ostatecznych, które młodzieży różnych narodów przyświecają. Co więcej, rozrost jego w ojczyźnie, w Anglji, przekroczył granice pierwotnego zamierzenia, wyrósł ponad swoje założenie; jak większość wielkich dzieł, odkryć, zawdzięcza i skauting swój rozwój nie tyle obmyślonemu z góry planowi, ile jakiejś raźnej, jakby przypadkiem napotkanej energji nurtu pod pokładami dusz młodzieńczych, niby źródła, tryskającego pod parciem podziemnych zbiorników.

Polski historyk początków tego ruchu, p. Bouffał, pisze:[1]) „Dzieło Baden Powella wyrosło niebawem ponad pierwotne zamierzenia. Czy w usposobieniu młodzieży angielskiej tkwiły już od dawna instynktowne impulsy, które odgadnął, zrozumiał i sprowadził do wspólnego

---

wadzić pracę skautową. (Wskazówki dla instruktorów, oraz program pracy skautowej). Kraków, 1913. — na str. 59—82. Późniejszą notuje oficjalny organ skautów: „Harcmistrz“ warszawski.

[1]) Br. Bouffałł: *Boy scouts, Indjanizm w wychowaniu.* Warszawa, 1912 (zawiera wiele ciekawych wiadomości o powstaniu i rozwoju ruchu skautowego zagranicą).

mianownika wielki przyjaciel młodzieży, zwany dziś popularnie *the boys general*, wiedziony w danym wypadku dziwną intuicją, czy też zbliżająca się fatalnie chwila ostatecznej rozprawy orężnej z Niemcami o panowanie nad oceanami wywołała w samej Anglji konieczność obmyślenia nowych form dla dawnych aspiracyj i upodobań, — dość, że w krótkim czasie niebywała fala entuzjazmu i zapału do nowego systemu zalała nietylko Wielką Brytanję, lecz i jej kolonje... I zanim sam twórca systemu zdążył zorganizować „główną kwaterę skautów", już przeszło sto tysięcy młodych skautów zjednoczyło się we wspólnej pracy pod znamiennem hasłem: *be prepared!* — bądźcie gotowi!"

Podobnym objawem wyrastania ponad pierwotne zamierzenia inicjatorów znamionuje się rozwój skautingu w Szkocji, Szwecji, Francji, Finlandji i w Niemczech. Podobnie stało się i u nas w Polsce. Kiedy w zimie 1910/11 r. Sokół-Macierz we Lwowie otworzył parotygodniowy kurs dla instruktorów skautowych, nie mógł przewidywać, że daje początek ruchowi, który niebawem ogarnie prawie wszystką gorętszą i bardziej rzutką młodzież szkół średnich, dostanie się do organizacyj rzemieślniczych, przenikać zacznie na wieś. Tak żywiołowo rozszerza się przestrzenny zakres skautingu.

Ale z drugiej strony i sam generał-twórca,

wpadając na pomysł zużytkowania młodzieńczej ochoty do służby polowej przy oblężeniu burskiego Mafekingu, ani przypuszczał, że zrealizowana myśl jego wyrośnie w czasie niedługim na jeden z najżywotniejszych motorów, na dźwignię wewnętrzną jakości moralnej, gdzieś wśród młodzieży polskiej. Jest to jeden z bardzo wyraźnych i znaczących przejawów twórczej odrębności narodowej — to przekształcenie angielskiego pierwowzoru w pryzmacie duszy polskiej, przekształcenie którego wskaźniki dowodnie stwierdzić można, zestawiając choćby np. angielski podręcznik Baden Powella, lub niemiecki *Pfadfinderbuch* Liona z podręcznikiem polskim Małkowskiego, a zwłaszcza z *Harcami młodzieży polskiej* Piaseckiego.

„Przez skauting — pisał Baden Powell — należy rozumieć co innego, niż zwykłą służbę wywiadowczą, jak ona jest obecnie praktykowana w czynnej służbie wojskowej. Skauting, właściwie mówiąc, jest to dalszy ciąg tej pracy nad udoskonaleniem samego siebie, którą od czasów niepamiętnych prowadzi ludzkość, zaczynając od dawnych wikingów i średniowiecznych Krzyżaków lub Hanzeatów, przez epokę odkryć geograficznych aż do naszych czasów. Pionierzy cywilizacji, odkrywcy nowych lądów, podróżnicy i badacze stref nieznanych i wszyscy ci, którzy torują ścieżki dla zwycięskiego po-

stępu ludzkości, stanowią typ ludzi doskonalszych w porównaniu z typem swego otoczenia, i nie widzę powodu, dlaczego nie mielibyśmy spróbować przygotować pewną część naszej młodzieży do wstąpienia w ich ślady, przynajmniej o ile chodzi o rozwój charakteru i męskiej sprawności fizycznej. Skauting dąży wyłącznie tylko do zrobienia z chłopca dzielnego człowieka". (Bouffałł, l. c., str. 34).

Z programowych słów tych, oraz z całej powszedniej działalności skautów angielskich widzimy, że wykładnikiem zamierzenia inicjatora jest bardzo wysoko i szczytnie pojęta dzielność i sprawność fizyczna. Skauting polski sięga głębiej i szerzej. Tęsknotą i dążeniem jego jest nietylko wychować ciało, ale i oprzeć sprawność fizyczną chłopca na opoce niezawodnej sprawności i czystości charakteru, oraz wysoce napiętej woli po temu, żeby się stać pożytecznym swemu narodowi.

„Mamy posiąść — pisano już u nas — sprawność i nieustraszoność przodków-rycerzy, zdolność i samorządność w poświęceniu, jaką mieli męczennicy polscy, ale przy tem wszystkiem musimy się opasać twardą, nieustępliwą obręczą trudnego, sfornego obywatelstwa. Musimy wygluzować z natury polskiej samowolę i jednostkowe sobkostwo, luzacką nieusłuchliwość i nieporadność. Musimy! Bo każdy z nas ma

być budowniczym i żołnierzem odrodzenia ojczyzny“ [1]).

Ma więc skauting polski odrębne swoje oblicze, ma wyraźnie swoją, polską świadomość celu. A przybierając te cechy z nowego podłoża, nie stracił cech macierzystych: rozmachu w żywiołowym rozroście i trwałości ścisłego zrzeszenia myśli i pracy — w sforne, zbiorowe skupienia społeczne. To chyba dosyć, by uznać w tym ruchu doniosły, twórczy czynnik życia współczesnego. A że ogarnia on rzesze młodzieży, jako pokłady społeczne najochotniej podatne pod uprawę i rozrost, że jest czynnikiem wychowania pokoleń, więc wartość jego tem donioślejsza. I założeniami i dorobkiem zasłużył już sobie skauting polski na to, że można do niego przykładać najwyższy polski sprawdzian, można go pytać o świadomość przydatności narodowej, można świadomość tę pogłębiać i potęgować.

* * *

Narzuca się zaraz na wstępie pytanie, gdzie tkwi tajemnica tej bezprzykładnie tęgiej żywotności, rozpędu w rozroście skautingu, opartego nie na przyjemności i wygodzie, lecz na surowej dyscyplinie i spartańskiej prostocie życia? Przy-

[1]) *Skaut*, pismo młodzieży polskiej. Lwów, 1912, nr. 10.

czyn tego zjawiska — jak zresztą w każdym ruchu społecznym — jest sporo.

Za najpierwszą i najistotniejszą przyczynę uważać musimy fakt, że skauting, czyli harcerstwo młodzieży, wyrasta konsekwentnie z instynktowego, nawskróś młodzieńczego pragnienia trudu fizycznego i walki, z chęci stawiania czoła niebezpieczeństwu, narażania nawet życia, byle dokonać czynu wielkiego, sprawnością fizyczną wzbijającego się nad pospolity poziom. Pulsująca energją żywotności młoda natura rwie się niecierpliwie do przygód, w których junacki rozpęd swój mogłaby wyładować, czegoś nim dokonać.

Czasy ostatnie świadczą, jak groźne może być zaniedbanie i niezużytkowanie tej siły psychicznej. Przecież to nie tak dawno, kiedy prasa codzienna i tygodniowa zawodziła bezsilnem biadaniem na widok gorączkowego pościgu młodzieży za literaturą kryminalistyczno-brukową. Tysiącami szły ohydne, brudne zeszyty Sherloków Holmesów *e tutti quanti* między młodzież, wyrywano je sobie z rąk, przekarmiano się nędznemi opowieściami o nadzwyczajnych, awanturniczyk przygodach tego rodzaju „bohaterów“. Nieprześcigniony „bramkarz“ i Sherlok Holmes — oto do niedawna szczyty tęsknot i uwielbień młodzieży! Biadano nad tem — i nic więcej. Mało kto zdawał sobie sprawę z tego,

że przecież w istocie takiego powszechnego pędu do awanturniczości tkwić musiała jakaś potrzeba psychiczna, jakiś głód, domagający się zaspokojenia, jakaś przyczyna, którą należało poznać, aby przeciwdziałać zalewowi zdziczenia moralnego.

Przyczyną tą była właśnie żądza przygód, unoszona wartkim nurtem energji młodzieńczej, pragnienie nadzwyczajności zdarzeń, w których motorem głównym jest sprawna na podziw, pewna siebie wola, odwaga i junacki rozpęd, pokonywający przeciwności. Nie mając pola do wyładowania tego rozpędu, do ucieleśnienia instynktowej tęsknoty do życia silnego, czynnego, zwróciła się młodzież do karmienia choćby wyobraźni swojej opisami takiego życia.

Dziś po tej gorączce ani śladu, dziś rozwarła sią już tama, i nurt sprężającej się energji młodzieńczej prze w życie i harce skautowe. Mnożą się na podziw szybko drużyny i zastępy. Instynkt młodzieży odwrócił się od nizin, wszedł na dobrą drogę, wprzęgnął się w trud.

Najpopularniejszym objawem tego głodu przygód jest młodzieńczy kult żołnierstwa. I to jest objawem powszechnym, tak powszechnym, że nic przełamać go u nas nie zdołało, nawet to naturalne w duszy polskiej *odium* do obcego munduru. Młodość instynktownie otacza żołnierza aureolą czci: oto człowiek, którego naj-

pierwszą powinnością jest szukanie niebezpieczeństwa, walki; człowiek, dla którego hart woli, sprawność fizyczna i pogarda śmierci jest przykazaniem.

Na tym fakcie psychicznym skauting opiera się przedewszystkiem. Narodził się *inter arma*, wydała go wojna, twórcą jego jest generał-bohater; jego konstrukcja wewnętrzna zahacza co chwilę o wychowanie żołnierskie. Surowa karność, punktualność, posłuch dla dobrowolnie wybranego przodownika, pierwotność potrzeb i na własną zaradność zdany trud życia obozowego, większa część ćwiczeń odbywana na wycieczkach, gawędy obozowe przy ognisku nocnem — wszystko to zmierza do jednego celu — do oparcia życia skautowego na kulcie żołnierstwa.

Wychowanie dzisiejsze, przeciążone t. zw. „siedzącą pracą umysłową“, skazujące młodzież na długie przesiadywanie w natłoczonych izbach szkolnych, wymagające i poza szkołą ślęczenia nad książką — potrzebowało gwałtownie przeciwwagi. Staje się nią i stać powinien skauting, ogarniający w sobie prawie wszystkie sporty i przynoszący nadto własne, duże wartości. A już przedewszystkiem u nas, gdzie się wszystko sprzysięgło na spaczenie naszego rozwoju: i zakorzeniona odwieczna samowola, i luzactwo niesforne, i właściwości psychiki, pomnożone

przez jednostronną kulturę wieku ubiegłego; u nas, w narodzie, który bardzo bystro i subtelnie widzi sprawy duchowe, którego oczy zwrócone są jakby na wewnątrz, — u nas skauting, szkoła sprężystości, karności, szkoła spostrzegawczości i zaradności w życiu codziennem, rzeczywistem, jest błogosławionym zwiastunem przemiany, naprawy, zdrowego, rzetelnego odrodzenia.

Ale to jeszcze nie wszystko — przytoczone racje nie wyczerpują wszystkich przyczyn rozrostu skautingu w Polsce. Junactwo i żołnierstwo same sobie celem być nie mogą dla młodzieży polskiej, dla tej młodzieży, która jest może skrajną przedstawicielką szczytnej naszej doli, nakazującej nam wszystko sądzić miarą przydatności narodowej. W młodzieży polskiej żyje ta wola wzniosła i silna. My z mlekiem matek karmimy się troską narodową. W ten rytm układa się życie czujniejszej, głębiej czującej i patrzącej młodzieży. To fakt, dobry czy zły, ale fakt. Wynika zaś z niego nieodparcie szczególna, życie młodzieży nawskróś przenikająca żądza przemiany. Nieświadoma wielce skomplikowanego mechanizmu życia, upraszczając go po swojemu, rwie młodość niecierpliwie naprzód na widok niemrawego postępu narodowego.

— Tyle lat żyjemy w nienormalnych wa-

runkach, przywaleni stekiem zła! Szukając oparcia w ostatniej ostoi ratunku, w uczuciu narodowem, pielęgnowaliśmy i wzmacniali to uczucie przez szereg pokoleń. Polska miłość ojczyzny dosięgała szczytów żarliwości, aż do zatracenia. Tem świecili nam ojcowie, polskie wychowanie skierowało się do tego, by tworzyć gorących Polaków. Błogosławiona to praca, a przecież...

Tyle pokoleń prowadziła ta miłość, dochodząc do takiego rozżarzenia patrjotycznego, że wylewała się jak lawa na cały naród, a przecież nad losami naszemi wciąż jeszcze ciąży i najświętsze nasze uczucia przytłacza wiecznie ta sama „śmieszna polska nędza".

Czemuż tak jest?

Odpowiedź na to stara, osłuchana: nie umiemy pracować dla Polski. Na szczytach rozżarzonego entuzjazmu stale przebywać nie można — zwłaszcza temu, kto ma pierś na miarę krawca. Więc schodziło się z wyniosłości bohaterskich porywów na szary, błotny padół powszedniości. Rozszczepiało się życie polskie na wzloty i spadki duchowe, na narodowe „świątki" i „piątki". Dwa znaliśmy wymiary.

Dusza polska jest chora na rozdwojenie, więc zerwał się, by ją uzdrowić, raźny ruch skautowy. Otóż w tem właśnie, że on się zaczepia o zniecierpliwienie, że młodzieńczą żądzę

przemiany wplata w ogniwa rzetelnego wysiłku, że ją zwraca na pole pracy narodowej, — tkwi bodaj najdonioślejsza i ostateczna przyczyna rozrostu skautingu w Polsce [1]).

* * *

Widać z tego, co tu powiedziano, że system wychowania skautowego obejmuje stronę fizyczną i moralno-narodową. Podstawą dla obu jest wpojenie w skauta przeświadczenia: „Wszystko, co robię, mam zrobić jak najlepiej". Tracą już u młodzieży kredyt „czyny" nadzwyczajne, odświętne, którym towarzyszy bylejakie zbywanie obowiązków codziennych. Najpierwszą cechą skauta jest dążenie do sumienności i wzorowości na każdym kroku. Czy to jest obowiązek włożony, czy podjęty dobrowolnie, ma skaut wkładać weń najlepszą wolę i jak najwięcej usilności, nie wykręcając się półczynem, wykonywując powinności z ochotą, nie z miną męczennika czy skazańca.

Kontretyzuje się ta sprawa na gruncie szkoły i nauki. Od samego początku postawiono skauting jako system współdziałania ze szkołą, uzupełniający ją w wychowaniu pozaszkolnem. W różnych drużynach różnemi zabiegami roz-

[1]) Ten rys polskiego skautingu skłonił p. Z. Wasilewskiego, że książkę swą p. n. *Myśl przebudowy* poświęcił „skautom polskim".

wija się to współpracownictwo, a jego wynikiem jest już dziś stanowcze podniesienie się poziomu umysłowego i pilności skautów. Statystyka postępów szkolnych wykaże to kiedyś w cyfrach, dziś wystarczyć musi zapewnienie wielu nauczycieli, świadectwo galicyjskiego zawodowego pisma nauczycieli: *Muzeum* (zesz. z kwietnia 1913 r.), i świadectwo kolegów. Usunięcie skauta w stan t. zw. „czasowego urlopu“ za opuszczenie się w nauce należy do najcięższych wyroków w regulaminie drużyny. A nietylko naukę szkolną obejmuje zasada czynienia wszystkiego przy najlepszem użyciu sił: skauting zaszczepia ją w duszy jako podwalinę całego życia.

W dwie odnogi rozwija się życie drużyny skautowej: jedna — to wycieczki, połączone z ćwiczeniami, druga — to gawędy obozowe. Pierwsze kształcą przedewszystkiem sprawność fizyczną i dzielność charakteru, drugie wspierają wychowanie moralno-narodowe. Jedna lub dwie wycieczki na tydzień i gawęda obozowa w połączeniu z ustawiczną wzajemną czujnością nad własnem i druhów postępowaniem — oto jak się nazewnątrz przedstawia to życie.

Zadaniem wycieczki jest wyrobienie całego szeregu zdolności skautowych, t. j. spostrzegawczych, przyczem jest zasadą: najczynniejsze użycie zmysłów, instynktu orjentacyjnego

i uwagi. Skaut musi możliwie najdoskonalej widzieć, słyszeć, pamiętać, co się wokoło niego dzieje, uczy się wnioskować ze spostrzeganych szczegółów, poznawać z nich wydarzenia przeszłe, przewidywać przyszłe. Ćwiczenia te są szeroko uwzględniane w podręcznikach skautowych i w praktyce. Trudno tu wchodzić w ogrom szczegółów.

Dalej uczy się skaut zaradności w obcowaniu z przyrodą. Zadaniem jego jest nabycie takiej sprawności, którąby mu pozwoliła własną siłą, zapobiegliwością i zdolnością orjentacyjną obchodzić się przez kilka dni bez pomocy ludzkiej, bez udogodnień kultury, nie zbłąkać się, nie ulec trudnościom, lecz zadanie podjęte wykonać. Zdobywa więc umiejętność urządzenia sobie noclegu, schronienia, ogniska, zdobywa najdokładniejsze poznanie i zżycie się z przyrodą żywą i martwą, umiejętność znalezienia sobie pożywienia, najwyższą wytrzymałość na niepogodę, trudy, niewygody i t. d. Do zdolności skauta-harcerza należy sprawność wywiadowcza, umiejętność tropienia po śladach, po głosie, po zapachu, w myśl zasady: widzieć, odkryć wszystko, nie będąc widzianym. Do tego przyłącza się szereg ćwiczeń, wchodzących w zakres umiejętności wojskowych, więc terenoznawstwo, orjentacja w polu według mapy i bez niej, pionierka, ratownictwo w nagłych

wypadkach, sposoby porozumiewania się sygnałami na odległość i t. d.[1]). Czas wolny i teren stosowny wyzyskuje się na urządzanie gier i zabaw ruchowych. Atrakcyjną bowiem stroną wycieczki jest forma swobodnej zabawy[2]). W takiem połączeniu zabawy i pracy osiąga się cele skautingu.

Całe to wychowanie fizyczne ma w polskim skautingu własną swą głęboką podbudowę. Opiera się na twardym, żołnierskim posłuchu, na dobrowolnem poddaniu się pod ścisłą, zbiorową karność. Ta z istoty organizacji skautowej wynikająca karność ma u nas osobne zabarwienie.

Jest mianowicie zabiegiem, świadomie przeciwstawianym jednej z najprzykrzejszych wad narodowych: samowoli, wrodzonej skłonności do sobiepańskiego luzactwa. Nas to przecież gnębi już od wieków, zżera wydajność wysiłków naszych z pokolenia w pokolenie ta polska samowola. „Bo mi się tak podoba“ — jest przecież ciągle u nas argumentem, wobec którego bezsilne zostaną oczywiste, prześlicznie wypowiedziane racje rozumowe, co więcej: bezsilne nawet rejtanowskie, do stóp się rzucające

[1]) Z. Wyrobek: *Vademecum skauta.* Wyd. II. Kraków, 1913. Bardzo dobre, zwarte ujęcie strony technicznej skautingu.

[2]) Dr. Mojmir: *Zabawy i gry skautowe.* Lwów, 1912.

zaklęcie. Zżera nas to luzactwo społeczne, jak czerw. Odziedziczyliśmy je z krwią po pokoleniach przeszłych, pomnażamy nieszczęsnym dorobkiem własnym. Uprawia pod nie grunt wygoda jednostkowa, nawożą go bujnie złe, z poza granic wsiąkające wpływy. W głębokich pokładach dusz osiada anarchizm, kult skrajnego, nie poddającego się pod obowiązki — indywidualizmu. Decentralizuje się naród najgorszą decentralizacją — rozproszkowaniem dusz nie sprzęgniętych wspólną wolą...

Co to za radość wiedzieć, że w szerokich rzeszach młodzieży właśnie zrodziła się świadomość zła i wola planowego, bezwzględnego leczenia! Skauting polski, karczując stare narodowe nałogi, przeciwstawia luzactwu, rozsypliwości — karność, posłuch żołnierski wobec dobrowolnie uznanego naczelnika. Budzi marniejący w nas instynkt gromadzki, uczy życia zrzeszonego, organicznego, życia z ludźmi i dla ludzi.

Wielka to praca to przekształcanie charakteru narodowego, rozkruszanie starych skamielin zła, żeby wydobyć z pod nich wartkie siły na nowe życie. Na wielkie zamiary mierzy siły swe młody ruch, a rozpęd i wytrwałość świadczą, że im chyba podoła.

Strony teoretyczne ćwiczeń skautowych omawiane są w gawędach obozowych. Piękny ten

pomysł, przeszczepiony do nas z Anglji, uległ u nas, jak zresztą cały skauting, znacznej przemianie. Gawęda taka z chłopcami angielskimi odbywa się w nastroju tajemniczym, wśród mroków nocy, w zaroślach leśnych, przeważnie przy ognisku, i przypomina jakby sceny z powieści fantastycznych, lubo z treści jest to swobodna opowieść, połączona z pytaniami i odpowiedziami. W Polsce przystosowano to do charakteru narodowego i do skłonności chłopców, nawiązano do naszych dziejów, przypominając, jakto dawniej na postojach, „kiedy zdrożeni żołnierze, rozłożywszy się obozem w gęstwinie leśnej, zasiadali w krąg ogniska, porządkowali broń i naprawiali odzież, w rozmowie z towarzyszami krzepili swe dusze, a wtedy i sam wódz włączał się w kolisko, jednoczył się z szeregowcami węzłem braterstwa, wzmacniał i zapalał dusze żołnierskie, odsłaniając przed niemi wzniosłość i świętość sprawy, w której służbę się zaciągnęli. Skaut polski zwyczaj ten od ojców przejąć powinien. To też jego gawędy obozowe, jak i owe dawne gawędy, obok pouczeń i wiadomości fachowych, żołnierskich, muszą zahaczać i o tę wysoką dziedzinę myśli i uczuć, gdzie człowiek cel swój buduje i ustanawia“ [1]).

---

[1]) *Skaut* (lwowski), r. 1912, nr. 10, „Gawęda obozowa“.

Gawędy takie stały się, poza omawianiem ćwiczeń, kuźnicą wychowania. Przez nie dokonywa się ta część pracy, której zadaniem — wychowanie narodowe, będące wytyczną niniejszego szkicu.

* * *

Wychowanie w skautingu opiera się, jak na podwalinie, na owej samorzutnej żądzy służby narodowej u młodzieży. Pęd ten, ujęty w pewien plan, jest tu skierowany do wytężonej i celowej pracy.

Na jej czele stoi kardynalny warunek świadomości narodowej: poznanie jakby przyrodnicze, doświadczalne dzisiejszego stanu narodu.

Jednym z pierwszych obowiązków wyćwiczonego już fizycznie skauta jest odbycie w czasie wakacyj choćby jednej, większej wycieczki. Wakacje roku 1912 i 13 widziały już owoce tego obowiązku. Zaroiły się okolice Galicji od młodzieży, która, w myśl nauki Szczepanowskiego, wie, że należy poznać kraj własny tak samo dokładnie, jak się w turystyce studjuje i poznaje obce kraje [1]).

Otóż w gawędach skautowych uzupełnia się

---

[1]) Prześliczny przykład takiej wzorowo przeprowadzonej wyprawy w jeden kąt Polski podany jest w książce R. Pollaka: *Wycieczka skautów śląskich na Spisz.* Lwów 1918.

turystykę po Polsce planowem poznawaniem stosunków geograficznych, etnograficznych, gospodarczych na obszarze ziem polskich. Tak to przy pomocy lektury i autopsji kształci się w młodzieży rzetelną orjentację w rozkładzie sił i prac własnego narodu. Książki: Jarosza o Śląsku, Kołodziejczyka o Spiszu, Bujaka o Galicji, Römera i Wasilewskiego o Litwie, Fr. Morawskiego o Poznańskiem — to bieżąca lektura skautów. Ale wiedza ta nie jest narzucona jako obowiązek, bierze się ją jako wyjaśnienie i urozmaicenie wędrówki; stąd nabiera ona dla młodych podróżników tego powabu, jaki trudno obudzić nauką szkolną. A zajęcie przedmiotem wzmaga się jeszcze przez to, że każdy zastęp (6—8 chłopców-przyjaciół) obiera sobie za patrona jedną ze znakomitych postaci z przeszłości naszej, której życie i zasługi dokładnie poznać jest obowiązkiem i chlubą dla drużyny. W ten sposób kształtuje się przyszły obywatel, dla którego nic polskiego nie jest obce: kraj, ludzie, ich sprawy, dola, prace i potrzeby.

Ale byłby to dopiero stan bierny polskości, kapitał, który może posłużyć do budowania rzeczy wielkich, ale który też może pozostać bezużytecznym, jak owe biblijne talenty, zakopane w ziemi. Polskość czynną wyrobić, wprowadzić zastępy na trudną ścieżkę ustawi-

cznej, najowocniejszej przydatności narodowi — to jest zadanie wychowawcze skautingu. Nie da się ono zamknąć ani spełnić w pogadankach, ono sięga w dziedzinę uczucia i woli, ma wzbogacić duszę, nietylko umysł. Jest to trud, którego z zewnątrz dokonać niepodobna. To też w rozwijaniu i modelowaniu woli czynnego patrjotyzmu skauting nie traktuje sprawy po doktrynersku. Podaje on „nutę pieśni", jak powiada Mickiewicz, nie zaś jej słowa.

Rytm tej nuty zawiera się w tak zw. „prawie skautowem", obejmującem 10 punktów. Otóż jednem z naczelnych zadań wychowania skautowego jest: wdrożyć w młode dusze takie poszanowanie dla tego „prawa", jakie mieli dla swoich prawideł honoru rycerze średniowieczni, jakie mają dla sztandaru żołnierze dzisiejsi. Systematycznie kształcona wola pełnienia tego czcigodnego prawa jest jak rzeźki prąd: dobrze skierowany, może w swoim przebiegu dokonać prac wielkich. Jakaż jest tedy amplituda i szybkość tego rytmu?

Oto chce skauting nauczyć rzeczy bardzo prostej. Chce wprawić swego wychowanka do przemienienia każdego, najpowszedniejszego zajęcia, każdego poruszenia myśli i woli, w trud narodowi przydatny. Chce nauczyć, że w takiem zastosowaniu nakazem najwyższym są słowa, zastosowane z Pisma: „Czy jecie, czy

pijecie, czy cokolwiek innego czynicie, wszystko czyńcie w imię i dla ojczyzny".

Jakże sobie skauting w tem dziele poczyna? Jak uczy łączyć pospolitość ze świętością? Jak niszczy rozdźwięk między żarliwością uczucia a mozołem codziennym, jak nadaje każdej chwili plenne poczucie przydatności narodowej?

Pracę tę podjął skauting w tym ustępie swego prawa, w którym mowa o skautowych „dobrych uczynkach". Owo proste określenie powinności: „Skaut nie przepuści dnia jednego, w którymby nie dokonał czegoś dobrego, szuka sposobności dla dobrego uczynku" — oto najdoskonalsza myśl wychowawcza.

Bywa, że człowiek dobry czyni dobrze, gdy mu się do tego sposobność nadarza, gdy go przypadek na nią naprowadził. Taki uczynek tylko przez pół pochodzi z woli człowieka, jest rzeczą trafu. Otóż skaut ma przemienić ten stosunek woli do czynu. Zła unika bezwzględnie, a co do swego dobrego uczynku postanawia z góry, że go w dniu dzisiejszym spełni. Jest w tem podobny średniowiecznemu rycerzowi, który idąc w świat, rzucał spokój, dom, zajęcia powszednie, aby szukać, ktoby jego pomocy potrzebował.

Ale dla skauta polskiego tak ogólnie pojęty czyn nie wystarcza. Dla niego „dobry uczynek" wyraźniej, głębiej się określa, bo wplata się

nierozerwalnie w ustawiczny, natężony trud narodowy. Tego uczy inny przepis prawa skautowego, nakazujący szukać tego, czego od nas wymaga dobro ojczyzny, i to pełnić.

Czego odemnie ojczyzna wymaga, na jaką drogę pracy owocnej, przez „potrzeby“ wiekowe wypróbowanej, mnie wzywa? Przeszłość Polski, jednolita wola najwyższych w narodzie — określiła tę drogę niechybnie. Myśl w twórców Konstytucji ostateczna [1]), myśl i trudy Słowackiego, Szczepanowskiego i legjonu innych — w jedno się skupiła, ścieśniła, jak promień w ognisku soczewki, jednym głębokim rwie nurtem. Najwyższym, w marmurze kutym jej wyrazem są słowa Mickiewicza o rozszerzaniu granic ojczyzny przez rozszerzanie serc własnych, człowieczych.

To nie owa błędna formułka, którą dosadnie przedstawił Mickiewicz: „Niech lepiej Polska leży w niewoli, niż gdyby zbudzić się miała według arystokracji, albo: niech lepiej leży, niż gdyby zbudzić się miała według demokracji“... To nie doktryna, lecz wsłuchiwanie się w głos ziemi polskiej, w rytm jej serca, w przekazaną nam wolę pokoleń.

Mówi skautowi rytm serca matki-ziemi: wy-

---

[1]) Dla przykładu por. chociażby Ign. Chrzanowskiego: *Historja literatury niepodległej Polski,* (1908) str. 548.

mieć z siebie zło, małość, plugawość, a nadewszystko najstraszniejsze — samolubstwo, żądzę użycia, beztrud, zadowolnienie z dosytu... Wszystko się zdobywa tylko przez trud — a jakże do trudu będzie ochoczy ten, co się wychował w kulcie sytości, w nieochocie do trudu i poświęceń?

Codziennym dobrym uczynkiem polskiego skauta jest: nie opuścić żadnego dnia ani chwili, żeby się nie powściągnąć cuglami woli, żeby nie przełamać ujemnych żądz i popędów, mogących rozpostrzeć nad nami swą tyrańską władzę, żeby się wysiłkiem dobrej woli nie przyczynić do wykucia z siebie posągu niezłomnego człowieka, obywatela, szermierza.

I ten drugi nakaz: z dnia na dzień, z godziny na godzinę kuć w sobie wolę służby, wolę szacowania potrzeb narodu ponad własne potrzeby, widoki, zyski, przyjemności. Posiąść niezawodnie tę siłę, która mi w chwili wyboru każe przenieść — z lekkiem sercem, najoczywistszą koleją rzeczy — pożytek narodowy ponad pożytek własny.

Więcej jeszcze: nie dopuścić do istnienia takiego rozdźwięku, tak przekuć swą duszę, żeby przydatność narodowa była dla niej osobistym, najwyższym pożytkiem.

Taki jest zakres „dobrych uczynków“ pol-

skiego skauta, taki jego codzienny trud usprawniania siebie dla przydatności narodowej.

Trudno tu zebrać wszystkie przesłanki, na których opiera się przeświadczenie, że ta skautowa „nuta pieśni“ prowadzi drogą nieomylną. Szkicowe nakreślenie ich p o d s t a w y wyjaśni je nam w sposób najkrótszy.

Najwyższem dążeniem wychowania narodowego musi być wykształcenie w powszechności narodu instynktu państwowego. Na czem tedy polega istota tego instynktu?

Życie państwowe, jako wyższa forma życia jednostkowego, musi mieć własne potrzeby, własną energję i własne państwowe środki — tak jak je ma dla siebie poszczególny człowiek. Gdy państwo jest silne, samorządne, otrzymuje te środki od wszystkich obywateli jako powinności (rekrutacja, podatki, praca wybitniejszych jednostek w kierownictwie sprawami państwa i t. d.); posiada siłę po temu, by potrzebne mu środki pobrać nawet od opornych. Ale zadaniem wychowania państwowego jest wyrobienie w charakterze obywateli poczucia obowiązku, poczucia, któreby im bez egzekucji nakazywało wykonywanie tych powinności, nawet za cenę własnych przyjemności i zysków. Takie poczucie nazywamy i n s t y n k t e m p a ń s t w o w y m. Istnieje ono w ludziach tak samo, jak np. instynkt porządku, nakazujący człowiekowi utrzymanie koło siebie

ładu i czystości, choćby to wymagało pewnego nakładu pracy. Dopiero na gruncie instynktu państwowego rozwijać się może zdrowe i doskonałe życie państwowe.

W dawnej Polsce był taki instynkt, aczkolwiek nie tak silny, jakby należało. Dziś, przy zmienionych zasadniczych warunkach bytu, pod wpływem demoralizujących, działających odśrodkowo czynników, jak również wskutek przesunięcia się punktu ciężkości obywatelstwa polskiego ze szlachty na niewyrobiony pod tym względem lud — dziś instynkt ten się zatracił. Na jego miejscu rozsiadł się w szlachetniejszych duszach polskich wybujały indywidualizm, w pospolitszych — poziome sobkostwo, odnoszenie wszystkiego do siebie, zapatrywanie się na wszystko ze stanowiska własnej korzyści.

A przecież gdy wszystkie narody dążą do rozwinięcia w obywatelach instynktu państwowego, tem bardziej u nas rozbudzenie i wzmożenie tego instynktu jest potrzebą najistotniejszą; najpierwszem przeto zadaniem wychowania jest budzić i kształcić ten instynkt, wydobywać go z pod pokładów gnuśności, beztroskliwości, sobkostwa, urabiać młodzież na miarę świadomych, karnych, ofiarnych obywateli kraju.

Do tej przemiany, do uszlachetnienia dusz młodzieży, świadomie dąży skauting. Do poziomu

tejto przydatności podnosi każdy „dobry uczynek“ tych, co go pełnią. Poprzez opanowanie siebie duchowe i fizyczne, przez sprawność w wyrzeczeniu się upodobań niższego rzędu na rzecz wyższych powinności dąży się do istotnego obywatelstwa.

Z tego zasadniczego założenia wychodzą dalsze zabiegi wychowania skautowego. Skaut jest prawy w słowie i uczynku, jest czysty, wyobraźnię swą i siły poświęcać musi tej wielkiej sprawie, której jest sługą, której poziomością nie wolno zbrudzić. Skaut nie pije trunków i nie pali tytoniu: wstrzemięźliwość bowiem jest najpewniejszym środkiem opanowania zachcianek w imię przydatności narodowej. Wyrzeczenie się pewnych nałogów nietylko dlatego, że są zdrowiu i dobrobytowi szkodliwe, lecz, że są plagą, niszczącą naród, wyzbycie się ich z tą myślą, aby całą energję skierować do służby ogółowi — jest doniosłą szkołą obywatelstwa. Wstrzemięźliwość jest jedną z największych zalet żołnierza. Albowiem żołnierz w najszlachetniejszem znaczeniu tego wyrazu — to człowiek, który wolę ofiary rozciągnął nie na kilka nałogów, lecz na całe życie, który sprawę wielką i ukochaną przeniósł nad wszelkie względy osobiste.

Takie są podwaliny, wartości i dążenia polskiego skautingu. Jaka będzie jego przyszłość —

trudno dziś przesądzać. Zależy to od sprężystości i rozwagi kierownictwa skautowego, od jakości instruktorów drużyn, od samej wreszcie młodzieży. Cokolwiek nastąpi, jest on dzisiaj jednym z najważniejszych objawów naszego życia społecznego. Dotychczas rozwój ten odbywa się pomyślnie [1]).

[1]) Od czasu napisania tych uwag przeminęło ciężkich lat kilka. Czas ten starczył, żeby z naszego ruchu skautowego uczynić najżywszy nurt porywający za sobą całe młode pokolenie ku nowemu, szczytnemu życiu. Ogarnął on całą Polskę i wychodztwo, skupił pod swym znakiem dziesiątki tysięcy młodzieży wszystkich stanów, stał się w życiu Polski współczesnej dziejowem zjawiskiem. Jest jakby wcieleniem w życie dalekich marzeń filomatów wileńskich. Wyobraża sobą poprostu nadchodzącą żywiołowość odrodzenia narodowego.

WSTRZEMIĘŹLIWOŚĆ A WYCHOWANIE NARODOWE.

Cechą stałą wielkich prawd i spraw wielkich jest, że są zadziwiająco proste i oczywiste. Przez to może właśnie oczy ludzkie, wyćwiczone w subtelnem zaciekaniu w głębie, czy poprostu przywalone ich ogromem — uporczywie widzieć ich nie chcą. I zachodzi osobliwe wydarzenie: stoi pośrodku nas olbrzymia świątynia czynu w prawdzie, tylko w nią wejść, a tu tłumy naokół, targane lękiem, żalą się: „nie wiemy, nie wiemy“, albo zgoła kupczą żywnością i złotem — u wrót świątyni. A tylko oczy wznieść i krok uczynić, żeby wejść do wnętrza, wiedzieć i czynić swoją powinność.

Przerażająco oczywista, aż surowa w prostocie jest rzecz nasza wspólna, pospolita, wstęp do polskiej świątyni widoczny na przestrzał, tajemnica naszych nadchodzących czasów — na dłoni. I bodaj dlatego właśnie na

powszechną niewiedzę polską biada lękliwie rozchybotane luzactwo polskie, dlatego właśnie dwornym prześmiechem i leniwą niedbałością, a nierzadko napastliwem huzia! bije w tych, którzy we wrota już wchodzą. Polski ruch odrodzenia przez wstrzemięźliwość boleśnie dobrze o tem wie.

* * *

A sprawa jest oczywista.

Dotychczasowy typ życia zbiorowego wyrósł na podścielisku najniezawodniejszem, oparł się na instynktach. Instynkt obrony i instynkt zdobywania, oto najgłębsza tajemnica więźby państwowej. Tem państwa powstały i tem trwają. Zbiorowo, zjednoczonemi siłami tem łatwiej się utrzymuje, nawet pomnaża, stan posiadania jednostkowego. Życie zbiorowe oparte jest jak na komórce — na egoizmie jednostek. Potem dopiero przychodzi i tężeje w sobie czynnik dalszy: machina państwowa, ta nabiera samoistnego zycia — reguluje instynkty mas. Sprawnością rządu i bezwładem inercji rzesz istnieje to, co powstało jako odruch samozachowania.

Niemniej przeto motorem życia zbiorowego państwowego jest jednostkowy czy rodzinny egoizm. W jego intensywności leży siła, ale

i przekleństwo państw. Rychło, a rozwarcholić się mogą komórki przeciw organizmowi. Bali się tego socjologowie-utopiści i, od Platona począwszy, przemyśliwali o środkach zaradzenia złu, o zniesieniu instytucji rodziny, zniesieniu systemu posiadania i t. d.

W ostatnich dopiero czasach pomyślano o naprawie przez zmienienie dusz.

Po rozbiciu organizmu państwowego Polski — cóż nas może trzymać w spójni? Zbiorowa nadzieja utrzymania przez polski rząd stanu jednostkowego posiadania w bezpieczeństwie, nadzieja powiększenia go przez podboje — odrazu się przeniosła do trzech nowych stolic. Instynkt obawy i nadziei odrazu się zwrócił przeciwko dawnej więźbie narodowej. Jak stał się np. Wiedeń siedzibą sprawiedliwości najwyższej i najwyższej łaski dla polskiego chłopa w Galicji — wiemy nazbyt dobrze.

Nasze więc zadanie jasne. Zbudujemy własne, samorządne państwo nie na wyzyskiwaniu istniejących najniższych instynktów, ale właśnie na ich przemianie. Odzyskamy swój własny, polski rząd — nie widokami wzmożonych zysków, a zmniejszonych podatków — ale spotęgowaną aż do szczytu zdolnością bezwzględnego zaofiarowania dobra jednostkowego — dobru zbiorowemu. Sprawa to oczywista jak słońce. Powstaniemy nie zmianą

jakiegoś tam systemu, ale zmianą duszy zbiorowej. Na nowych podstawach, na niesłychanej dotąd sile, zbudować musimy życie polskie państwowe. Obudziła się już w Polsce ta siła, nazywa się świadomością narodową, odezwał się duch narodu. Ze zbudzonej i wzmożonej świadomości narodowej wytrysły nieprzeliczone dzisiejsze prostych ludzi bohaterstwa, na niej rozkwita kwiat polskiego życia pod butem nieludzkiej przemocy prześladowców. Ona to trzyma w tęgiej energji narodowej pielgrzymów nowoczesnych, emigrację zarobkową Ameryki i Westfalji.

Mamy więc nową siłę dośrodkową, mamy grunt, na którym wzniesiemy swój własny gmach. Ale ten grunt trzeba uprawiać, oczyszczać z chwastów i rozszerzać. Oto najwyższe zadanie.

Dokonamy go — budząc w sobie i zbiorowości narodu instynkt poświęcenia się za naród. Silna jest dotąd żądza ochronienia i pomnożenia stanu posiadania jednostkowego; my ją przełamać, przezwyciężyć w Polsce musimy, przekuć na wolę oddania wszystkiego, co najdroższe nasze, osobiste — dla wolnego, doskonałego państwa, wzoru narodu-państwa polskiego.

Teraz rzecz jest oczywista. Wszystko, co wzmaga w narodzie instynkt

ofiarności, co przełamuje odwieczny ludzki oblazły egoizm — wszystko to najczynniej, najrzetelniej przybliża nas do naszego ostatecznego zwycięstwa. I tu jest niepożyta, nieoceniona zasługa polskiego ruchu wstrzemięźliwości, że w tem nowem polskiem wychowaniu narodowem stanął jako świadomy, konsekwentny szermierz. W tem jego najwyższa wartość, że uczy wyzbywać się przyjemności własnych — dla celów wyższych, że tępi egoizm przez stałą żarliwą kulturę poświęcenia, że wyrabia sprawność, instynkt ofiary.

Nie dlatego Polak wyrzeka się nawet kropelki alkoholu, że przez nią pieniądze traci lub zdrowie nadszarga, ale że przez ciągłe przezwyciężanie w sobie pokusy do dogodzenia swojej żądzy przyjemności — wyrabia swą sprawność żołnierską na ostateczną narodową potrzebę. Powstać możemy jedynie przez poddanie jednostkowego samolubstwa instynktowi ofiary. Polski abstynent to wie i pod tem hasłem buduje siebie, drugich i przyszłość.

Z pośród dotychczasowych zabiegów przeciwdziałania niewoli — praca, podjęta pod znakiem wstrzemięźliwości i odrodzenia mo-

ralnego, jest najżywotniejsza, najbardziej niezawodna.

A że tych jej wartości przez dziesięć lat zbiorowość narodu nie dostrzegła, że ich nie podjęła — to jest jednym jeszcze, ogromnie przygnębiającym przejawem starej, „śmiesznej polskiej nędzy“.

Z ROZMYŚLAŃ OBOZOWYCH.

I. O śpiewie i radości w wychowaniu.

Zgarnęła wojna w jedno, skłębiła w przepastnem kotłowisku nie tylko wielkie pasje: wielkie cierpienia i nienawiści, — zmieszała również w sobie, jak nowa wieża Babel, stany, narody, rasy, języki. Zorganizowała też i prześlicznie ułatwiła — masową, poniewolną turystykę. Cudzoziemiec, co swoją najmarniejszą osadę gotów był uważać za serce i klejnot świata, uczy się mozolnie wymowy dzikich nazw: Białowieży, Świtezi, Kostjuchnówki i tylu innych; a naodwrót chłop polski, co się chował w swej sadybie „niby lesie zając“, i jeżeli co widział ze świata, to chyba tylko pańszczyźniany działek pola „saskiego“, gospodarstwo duńskie, młyn peszteński, czy amerykańską gisernię, dziś pomijając już, że swoją ojczystą ziemię przebrodził parokrotnie wzdłuż i wszerz, — za

pan brat obcuje z Bawarczykiem, Węgrem, Czechem, Włochem, Chorwatem, niby po swojem ziemniaczysku chodzi sobie i ryje po ziemi rumuńskiej, serbskiej, po kamienistym Krasie i skałach Tyrolu, niejeden po belgijskiej i francuskiej, a i tacy się znajdą między nami bywalcy, co własnemi wybadali rękami, jakie to tam podglebie jest nad Dardanelami, w Syrji i dalszych jeszcze krajach.

Kto wróci, przyniesie z tej włóczęgi po lądach i ludach sporą wiązkę doświadczeń, rozmyślań i zestawień-porównań, z daleką, jedyną, własną ojcowizną. Wyrośnie z tego materjału kiedyś może niejedna myśl naprawy, przebudowy w zakresie własnych stosunków.

Z pośród podobnych zauważeń i pomyśleń chciałem tu poruszyć jedno, które — sądzę — z bliska tyczyć może nauczyciela polskiego.

Przypatrując i przysłuchując się tym przeróżnym nacjom, jakie reprezentowane są chociażby w mojej baterji, trudno nie zauważyć cechy zdawałoby się — bagatelnej, a przecież w istocie bardzo znamiennej; mnie przynajmniej zawsze uderzało, że szeregowcy polscy gromadnie nie śpiewają, śpiewać nie umieją. Na postojach, a przedewszystkiem w długich pochodach, kiedy to pospólna piosenka staje się czynnikiem wytrwałości, wprost podnosi w zgodny takt stopy strudzone, zawsze wtedy

w oddziale moim, zawierającym połowę Polaków, a po 1/4 Czechów i Niemców — zawsze rozlegała się śpiewka czeska, rzadziej niemiecka, nigdy polska. Nie żeby Polacy szli ponuro i w mrukliwości, owszem śpiewali... razem z Czechami, ich nutę i słowa. Że przyczyną objawu nie był przypadkowy skład oddziału, ale że wyrażała się w tem jakaś charakterystyczna cecha narodowa, sprawdzałem niejednokrotnie wśród swoich i obcych podkomendnych. Nie wiem, jak jest w formacjach językowo jednolicie polskich, o mieszanych daję świadectwo wierzytelne. Tutaj szeregowiec polski — najpierw: nie ma co śpiewać, zasób jego śpiewek jest przeraźliwie szczupły, powtóre: śpiewać gromadnie, pieśń swą narzucić — trochę się wstydzi, — zresztą nie umie. Dotyczy to nawet nie tylko śpiewów świeckich.

Naprzykład wypadek taki: koło Bożego Narodzenia 1914 roku trafiło się, że po paromiesięcznych poniewierkach po lasach i polach francuskich stanęliśmy w Metzu na wypoczynek. Dziwnym trafem natknęliśmy się wnet na tamtejszego ks. Jezuitę, bodaj Ślązaka rodem, który od lat 20 w Lotaryngji niemieckiej pracując, polskiej mowy nie słyszał, ani używał, ale dotyla ją pamiętał, że mógł słuchać polskiej spowiedzi. Z załogi naszej stanęło do konfesjonału chyba wszystko, co było z Polski. Tu w polu

nieco inaczej się bierze te sprawy, niż to „wczoraj“, przed wojną, było dla niejednego może zwyczajem. Jezuita „słuchał“ przez całe popołudnie, a nazajutrz rano urządził nam w niemiecko-francuskim przedmiejskim kościółku — polską mszę; znalazło się nawet dwu naszych ministrantów. Msza była cicha, ale tuż przed końcem ksiądz powiedział od ołtarza, łamaną mocno i żmudną, ale — polską przemowę, a po mszy zaintonował najpospolitszą naszą pieśń kościelną: „Serdeczna Matko“. W tym to momencie zaszła rzecz niespodziewana; z blisko setki uczestników — kilkanaście głosów podjęło nutę, ale nie doprowadzili jeszcze do końca zwrotki, gdy śpiew rozlazł się w rozstrój, zgłuchł i upadł. Toż samo się stało z zwrotką drugą. Aby ratować honor, podjął ktoś z obecnych drugą pieśń — z takimże samym wynikiem. Trzeba było dać spokój śpiewowi; polskiej melodji nie miało usłyszeć sklepienie lotaryńskiej świątyńki. Trudnoby mi tu było wyrazić ten wstyd, upokorzenie, niesmak, z jakim wychodziłem z polskiego — na dalekiej ziemi cudzej — nabożeństwa.

Faktów na ten temat możnaby jeszcze ze wspomnień opowiedzieć więcej, a wszystkie (dla mnie przynajmniej) składają się na świadectwo, że zjawisko naszego upośledzenia w kierunku śpiewności nie jest sporadyczne.

Trudno je jednak uważać za cechę plemienną, macierzystą, jest bowiem niewątpliwie przygodną, wynikłą — jak wszystkie podobnego typu braki społeczne — z niewłaściwego, czy niedbałego wychowania. A to już są sprawy do odrobienia.

Przyczyną podniesionych wypadków jest oczywiście to, że w teraźniejszej szkole polskiej — ludowej i średniej — nie docenia się roli piosnki, śpiewu, w ogólnym typie wychowania, stąd mało się go uczy, lub uczy nie całkiem właściwie. Trzy te punkty przejdziemy kolejno dokładniej.

Mówiąc o roli śpiewu w całokształcie wychowania polskiego, wyjść trzeba od arcytrafnej i głębokiej obserwacji O. Jacka Woronieckiego, że wychowanie polskie cierpi na manierę patosu[1]), nie ma zmysłu dla humoru, czynnika radości w ukształcaniu duszy dziecka. Taki nasz wychowawca podaje prawdę jakąś, moralną czy socjologiczną — tylko w hieratycznem namaszczeniu, z patosem kaznodziei; wśród uczniów utrzymaćby pragnął ustawiczne napięcie wzniosłości. Nie zdaje sobie widać sprawy, że taka wychowawcza metoda świadczy w pierwszym rzędzie o jego własnem wewnętrznem nie-

---

[1]) Artykuł: *Społeczeństwo a wychowanie* w czasop. „Rok polski“, Kraków 1916, nr. 8, str. 28 i in.

dojrzeniu, nieustatkowaniu, następnie zaś — małą daje nadzieję owocności. Wytrawna, w ciężkich próbach doświadczana prawość wewnętrzna — jest pogodna, dobrotliwie radosna, wyrozumiała, a przecie nieustępliwa, zaś za metodę działania („promieniowania“) na zewnątrz ma nie patos i monotonję powagi, ale jasny uśmiech i tę niezłomną, uroczną pewność, że w nauce, czy zabawie, w świątyni, czy zgiełku ulicy — utrzyma i innym narzuci swój ton, swoją niezachwiewalną prawdę i drogę. Taki wychowawca niezawodny rozumie, że surowe psychiczne przejęcie, egzaltacja przeciągła, takimże jest żywym czynnikiem i przejawem życia — jak i wiosenna, bujna niefrasobliwość; używa jednej i drugiej, w oddziaływaniu wychowawczem posłuży się władnie i świadomie: radością zarówno, jak i powagą życia.

Powtarzam: dowodem jest niewytrawności naszego wychowania moralnego to kose spojrzenie na uciechę, radość, na śpiew młodzieży. Jeżeli już nie kose, to chłodnie obojętne.

Śpiewu w szkole polskiej jest stąd stanowczo za mało. Trochę nabożnych pieśni, trochę przy zabawach ruchowych w szkole ludowej wiejskiej, w średniej zaś jedna czy dwie godziny tygodniowo, do tego najpierw nadobowiązkowe, a następnie tylko dla wysortowanych chórzystów o zapędach artystycznych, a z własnego

młodzieży popędu — tych kilkanaście pieśni patrjotycznych, oto chyba wszystko. Na przeróżnych zakonspirowanych własnych zebraniach — młodzież „spiskuje“, lub rozwiązuje „problemy“, nie śpiewa zaś nigdy. To też pod względem śpiewackim są np. wycieczki, majówki gimnazjastów prawie zawsze upośledzone. Ubogi jest wyraz ich czystej, wartkiej radości z młodego życia, szczupły zasób przyswojonych pieśni. Czasem wynikają stąd momenty humorystyczne, np. gdy gromadka młodzieży garnie się za miasto na zabawę w takt emigranckiego marsza zemsty: „A kiedy wybije godzina powstania...“ Inne melodje już byli wyczerpali.

Jakżeż inaczej jest w tym względzie gdzieindziej, choćby w Niemczech naprzykład. Niemiecka młodzież śpiewa — co prawda, przy piwie głównie — ale niewątpliwie więcej, ma co śpiewać i śpiewać umie. Piosnek niefrasobliwych uczy się z postanowienia jeszcze na uniwersytecie. Gdyby się dało ująć w cyfry rozpowszechnienie sędziwej piosnki studenckiej *Gaudeamus igitur* u nas i u nich, byłby to doskonały argument za moją tezą. Albo taki, mniej znany fakt, że każdy „bursz“, chcąc przejść na wyższy stopień związku, poddać się musi egzaminowi ze śpiewania. Egzaminator wbija „na chybi trafi“ zapałkę między kartki grubego, obowiązującego śpiewnika, a kandydat

musi zaprodukować piosnkę wylosowaną. Wyćwiczoną w ten sposób popędliwość śpiewacką zachowuje Niemiec w świeżości do późnych lat.

Zamilczeć nie można, że w ciągu ostatnich paru lat dokonywa się u nas w tym względzie świadomy zwrot ku przemianie. Szermierzem naprawy jest skauting-junactwo. Zjawisko naturalne: — z głodem ruchu, przestrzeni, słońca, zbudził się też — w okrzyku, śpiewie się wyładowujący — głód upojenia się radością życia. Junacy śpiewają też istotnie dużo, gromadnie i ochoczo.

Ale do nadmienienia i tu jest rzecz jedna, nie najpośledniejszego znaczenia.

W skautowych rzeszach do głosu doszła jedynie pieśń patrjotyczna XIX w. Taka zaś wyłączność powstańczych śpiewów, prawie nabożnie uświęcona jedyność ich władzy nad młodą polską piersią — nie wydaje się wartością bez zastrzeżeń. Pieśń powstańcza u nas, w narodzie sytym nieszczęść, a jeszcze w nich rozkochanym, ma w sobie prawie zawsze — jeżeli nie bezpośrednio, to przez asocjację historyczną — coś z jęku, jakąś uroczną dostojność i namaszczenie boleści. Na jej dźwięk dusza wrażliwa przejść musi z najbezstroskliwszego nastroju w powagę, w surowe przejęcie, poddaje się szumowi wielkich wezwań.

Umiejętnie i w miarę zastosowana w wy-

chowaniu narodowem, może być czynnikiem niezaprzeczonej wagi. Ale — ale dla obopólnego dobra — nie należy dopuścić do jej wyłączności. Budzące się w młodych duszach siły wzrostu, rozpędy tęsknot i sprężenia woli, wyładować się winny i muszą w ponośnym okrzyku, pieśni nie skrępowanej, radosnej jak pieśń skowronka nad wiosennie pachnącą skibą, stworzyć muszą nierzadko burzącym się treściom duszy — własny wyraz. Granic, łożysk tym pieśniom budować nie trzeba. I cóż, że są swobodne, raźne, niefrasobliwe, jak pęd potoku? Maniera patosu, wymaganie chronicznego namaszczenia, odczute być mogą jako zapora, ucisk, mogą na szwank podać ostateczną, prawdziwą powagę wychowania. To jedno.

Powtóre, — zbyt częste nastrajanie dusz młodych do wyżyn wielkich wezwań prowadzi w prostej linji do marnowania narodowej energji. Napięcie wszystkich odnośnych strun uczuciowych, wyekscytowanie duszy do najwyższego poziomu zbiorowej egzaltacji — a z tego w rezultacie... nic. Obudzone siły wystarczyłyby do podjęcia i wykonania jakiegoś gromadzkiego czynu, a zmarnowano je na nastrój. Ten to przejaw — bezwzględnie zgubny, a grasujący nagminnie wśród polskich obchodów rocznicowych, nazwano niegdyś w *Tece Stańczyka* brutalnie ale trafnie: onanizacją patrjotyczną.

A wreszcie, do licha, i same pieśni warte są, żeby ich nie pospolitować. W byłej Galicji przecie za lada okazją, czy to zjazd strażacki, czy toast na biesiadnem przyjęciu, — rznie muzyka „Marsza Dąbrowskiego“, w niedzielę co z drugiego szynku skrzeczy gramofon, na ulicy katarynka wrzeszczy „Warszawiankę“, czy „Boże, coś Polskę“. Oh, uszanować wreszcie te rzeczy, nie szargać!

Przygniatającą wyłączność śpiewów narodowych sprzeciwważyć tedy trzeba wśród młodzieży.

W jaki sposób? U nas pieśni świeckich popularnych tak mało! Współcześni kompozytorzy polscy nie zniżają się do *profanum vulgus*, do piosenek, coby w lud przejść mogły. W wyniosłej dostojności pozwalają, że nieuprawiane przez nich ugory zarasta chwast: kuplet operetek i kabaretów. Więc jakże?

Kiedy myślę o tej sprawie, uporczywie mi się przypominają filomaci.

Ci rozumieli rolę, znaczenie piosenki w ukształcaniu młodości, posiadali też wspaniale wiedzę jej umiaru i doboru. Ich majówki i zabawy to wzór dotąd do naśladowania w tym względzie; piosnka miała tam pierwsze miejsce. I właśnie czaruje ta prześliczna jej młodzieńcza niefrasobliwość! Wysznurowani doktrynerzy morału dziś jeszcze nie mogą zrozumieć, jak mógł dla

tych rygorystów moralności i służby narodowej, dla abstynentów i zaprzysiężeńców czystości, ich śpiewak naczelny i jeden z kierowników napisać swawolne „Hej, użyjmy żywota“; i gorszą się, że piosnka mogła się przyjąć.

Powtóre — już filomaci pokazali źródła, skąd się uzupełniać winien skarbiec pieśni pospólnych w narodzie, źródła niewyzyskiwane należycie do dzisiaj; — rehabitowali pieśń ludową. Niektórzy z nich zbierali je wśród ludu polskiego, litewskiego, wiemy, że na zebraniach śpiewano i białoruskie pieśni. W takiej to atmosferze wzrastały ballady, przygotowywał się przewrót w literaturze i umysłowości polskiej.

Ta to pieśń ludowa poniewiera się naszemi czasy niebacznie. Niektóre szczęśliwsze jej utwory nobilitowano, wprowadzono na wyższe pokoje sztuki, ale reszta, — tłum jej szary, ten z zagonów, pastwisk i wesel, tuła się za progiem, samopas, jak chce: czasem rośnie, częściej marnieje, zanika.

A przecież niejedna z nich ma za sobą nie byle jakie dostojeństwo wieku; niektórych nuta cieszyła uszy naszych dziadów przed setkami lat. Taką np. piosenkę Danusi z *Krzyżaków* Sienkiewicza: „Gdybym ci ja miała skrzydełka jak gąska“ — zapisał nie tak dawno Kolberg z ust ludu małopolskiego.

Najbliższa z mogących, szkoła ludowa nie

chce jej, czy nie może (podobnie np. jak dialektu, gwary danej okolicy), przygarnąć. Gdzieindziej ujęła się za nią młodzież starsza. Niemieccy *Wandervögel,* czy inne osobne zrzeszenia, świadomie szukają, uczą się i rozpowszechniają melodje i słowa pieśni ludowych. U nas, jeżeli się i znajdzie wytrwalszy zbieracz, to zaraz z pretensją, żeby conajmniej drukować je w publikacjach Akademji, gdzie sobie spoczywać będą zmumizowane na stronicach grubych tomów. Takich, coby zbierali w pamięć, coby chcieli żywe utrzymać i rozpowszechnić — szukaćby ze świecą.

Otóż toby była rzecz do zrobienia i zrobienia warta; podjąć się jej zaś najochotniej powinna szkoła, t. j. nauczycielstwo i młodzież. Ożywić entuzjazm młodzieży do piosenki ludowej!

Tyle jednostek ze wsi wydźwiga się dziś poza opłotki parafji i wrasta w inteligencję! Niechby im od pierwszych klas wpajano, że śpiewka ludowa to nie jest coś nieprzyzwoitego, coś, czegoby się trzeba wstydzić, corychlej oduczyć, jak np. wymawiania *á* pochylonego, lub noszenia koszuli wypuszczonej na spodnie.

Po takiej rehabilitacji w szkole ludowej, łatwiejby było uświadomić tę młodzież w szkole średniej, obudzić w niej ów stary, romantyczny zapał, by zbierała i znosiła na swe zebrania,

zabawy, wycieczki — melodje ludu polskiego, by niemi syciła młodą radość istnienia i tęsknotę twórczości.

A wznieciwszy w ten sposób popyt i poszanowanie dla pieśni ludowych, oddziałałoby się twórczo na rozwój i energję istnienia tej pieśni u źródła, wśród samego ludu, dałoby się odsłonić i wzmóc jego ochoczość do gromadzkiej śpiewaczej radości, dla wyrażenia jej podać mu umiejętność, której brak tak go znamiennie wyróżnia wśród innych narodowości.

Nad Soczą, w lutym 1917.

II. Wychowawcze momenty wojny.

Starym bukom lasów lotaryńskich.

Nigdy chyba jeszcze nie zadumała się myśl polska tak głęboko, jak dziś, nad prostem słowem Wernyhory z *Wesela*:

„Jutro?! Jutro wielką tajemnicą!“

Bo też nigdy za zasłoną tego jutra nie kryło się dla nas tyle najwyższych nadziei — tuż obok rozpaczy najwyższych. Myślę, że osobliwiej napięta nie była psychika polska nawet przed stuleciem, w „nadzieją brzemiennym“ wielkim roku napoleońskim; bo silniejszy był wówczas i jednolitszy urok złudy, wyższa —

do dziś już niejednokrotnym cierpkim zawodem wytrawiana — ekstaza zbiorowej naszej łatwowierności.

Więc chyba nigdy jeszcze...

Nigdy dotąd narodowa troska nie targała się tak boleśnie między przeciwległemi biegunami: — nadziei i grozy... między *optima — pessima.*

Trzeba tu było podnieść tę oczywistość, gdyż o nią zaczepia się wątek mych zamyśleń. Nie ulegnie bowiem zaprzeczeniu, że wskutek dziwnej jakiejś w charakterze narodowym, niezatamowanej naszej impulsywności — jednostronnie zaabsorbowana troska społeczna wyczerpuje się między temi ostatecznościami. Rozdygotani wewnętrznie między najświatlejszą nadzieją a najbardziej ponurą trwogą o nasze „Jutro“ — jesteśmy jak ci potępieńcy z klechdy ludowej, których trwanie streszcza się w ustawicznem przerzucaniu się z pola żaru na pole mrozu, — obadwa nie do zniesienia.

Podobni też przytem ekstatykom przestrzeni, co, zapatrzeni w dale, nie dostrzegają wyrw i kolców pod stopami. Bo i z nas każdy gorączkowo pyta, co nam przyniesie koniec wojny: wolę czy niewolę, — nie troszcząc się o to, jedynieć uchwytne i życiotwórcze zagadnienie: co nam niesie przebieg wojny, jaki tej dokonywującej się epopei sens wychowawczy.

Jest wojna dobrą, uczciwszą, niż jakakolwiek inna, nauczycielką — *magistra vitae*. Powiedziana jest w Polsce mądra, chłopska prawda: kto nie umie umierać — jakżeż onby żyć umiał! Uczy wojna umierać, uczy więc pojętnie i żyć. Naukę tę warto rychło pojąć; opłaci się rzetelnie.

Dziś jeszcze ogarnąć nie możemy, jak wiele dziedzin życia, i jak stanowczo, przekształci się wskutek obecnej wojny; ile impulsów zawdzięczać jej będzie wiedza: technika, medycyna, jak poprzetwarzają się ustroje i węzły społeczne, jak wzrośnie za jej podnietą etyka, wychowanie, sztuka etc., słowem: jakie to na rozoranych granatami zagonach nowe zakwitać będzie życie [1]).

[1]) Zastrzec się tu trzeba koniecznie przed jednem nieporozumieniem. Wydobywając z potwornego kataklizmu dni dzisiejszych momenty odrodcze, etycznie dodatnie, nie chciałbym zostawić wrażenia, że rehabilituję samo zjawisko, że dzikie skłębienie imperjalizmów w wojnie uważam — ponieważ może pobudzić życie duchowe jednostek — za fakt moralnie zasadniczo dodatni. Byłby to obrzydliwy okaz moralistycznego egoizmu. Garść tych myśli nie wynikła z wewnętrznego przytwierdzenia wojny. Ale z drugiej strony niema co przymykać oczu, że wojna jest faktem, złym, czy dobrym — obojętna, ale faktem, który istnieje i który — pocóż tu rzucać klimkiem — niejednokrotnie się jeszcze w dziejach ludzkości powtórzy. Czemuż go więc po doktrynersku negować, a nie brać za nieunikniony na razie, rzeczywisty czynnik życia?

Choć pewnie nie wszystkim z nas dana będzie łaska współpracy w niedalekiem tem odrodzeniu, przecie potrzeby niema jednak sejmikować na tematy eschatologiczne i zwlekać z rozpoczęciem. Sforne i tęgie społeczeństwo niemieckie — gdy już inny przykład niedostępny — bezzwłocznie i tej się jęło pracy; szeroko rozlega się tam hasło: *umlernen!*

Trzebaby i nam co rychlej.

O licznych tamtych gałęziach poczynającego się procesu przetworzeń powojennych trudno tu choćby myśleć — we włóczędze i na odludziu prawie. Tem uporczywiej czepia się myśl jednej z nich, wiosennej jeszcze latorośli; droższej, bo tykającej człowieczego serca — twego serca, żołnierzu! Nad młodą runią dokonywujących się odrodzeń duchowych chciałoby się przystawać wielokrotnie, zamyślać się w sobie głęboko i szeptem radosnym mówić o niej ludziom. Niech też będzie wybaczone, że mowa pójdzie okręgiem, jak u żniwiarza, bo się półkoliście sierpem zanosi, zanim wydźwignie ponad zagon garść użątku.

* * *

Już dziś napewno twierdzić można, że wielka wojna 1914—18 wyda swoje własne osobne pokolenie; na dusze swych wychowanków nałoży na resztę życia niezatarte piętno, podobne

owemu, jakie „wierze“ swojej, żołnierzom swych wypraw, nałożył Napoleon. Wystarczy przypomnieć rolę Napoleonidów w patrjotyzmie polskim przedpowstaniowym i w listopadowem powstaniu, żeby zobaczyć, co chcę tu podkreślić. Dla kontroli niniejszego wywodu przez analogję — trzeba równolegle przywieść na pamięć epokę popowstaniową i rolę belwederczyków w niej. Dopóki nowem doświadczeniem nie będziemy — oby nie po szkodzie — mądrzy, sięgać należy po doświadczenia stare. Dokądże indziej po nie się zwrócić poza listopadowem powstaniem — ostatnią naszą regularną wojną?

Otóż i powstanie 1831 r. wychowało niewątpliwie swoich ludzi, przekształciło i podniosło nastrój dusz własnych żołnierzy, wydobyło z nich nowe jakieś, potężne czynniki. Dzieje walk i wypadki pierwszych miesięcy po upadku mogą wiele powiedzieć o gromadzkiem, szarem żołnierskiem bohaterstwie wytrwania i o niezłomnej mocy zaprzysiężeń na dolę tułaczą. Że w skupieniu emigracyjnem niedawnych żołnierzy była widoczna jakaś dziwnie wielka przemiana psychiczna, świadczy dostatecznie jeden Mickiewicz, który przecież na owej rzeszy uchodźczej oprzeć chciał węgły niebywałej dotąd w świecie budowli: — narodu-zakonu wolności. Musiałaż tedy być godna! A późniejsze dzieje pielgrzymstwa co krok przynosić będą

nazwiska ludzi młodych, służbie narodowej oddanych z żołnierską bezwzględnością, ludzi, legitymujących się jedynym tytułem do posłuchu: „b. por. wojsk pol.“ lub podobnie, odgrywających zaś później rolę wybitną w emigracji.

Wycisnęło powstanie na pokoleniu ówczesnem niewątpliwie piętno odrodzenia indywidualnego i społecznego. Jakimże sposobem? I jakie jest znamię tego odrodzenia, w czem jego tajemnica? Oto jest jedna strona dziś znowu aktualnego zagadnienia.

Rozważmyż ją co rychlej. Wojna inicjatorką odrodzenia? Wychowawczynią? Zadziwi się niejeden. Wojna — córka nienawiści, co sama podżega mściwość, odrętwia dusze na cierpienie i krzywdy, budzi instynkt grabieżnictwa i w. i. — i etyczne odrodzenie? Wygląda to na paradoks, a przecie jest prawdą.

Trudnoż tu zestawić główne walory wychowawcze wojny, jak: pogłębione braterstwo broni, radosna poprzez trudy krzepkość fizyczna, trudna sprawność we władaniu sobą, napinaniu władz duszy i ciała w kierunku jednego odmierzonego zadania, umiejętność władzy nad innymi, otrzepnięcie się z czczego sentymentalizmu, oskorupiającego prawdziwą uczuciowość i i. Zostawimy to wszystko na boku; przyszłość i w tym względzie oszacuje kiedyś zasługę.

Tem wyraźniej podkreślić można będzie moment inny, wychowawczo — sądzę — naczelny, najistotniejszy dla obchodzącej nas tu przemiany w psychice żołnierskiej. Z pomiędzy doznań wojennych żołnierza jedno zapisuje się we wspomnieniu najsilniej, usunąć się z niego nie da żadną siłą; to t. zw. chrzest ogniowy, ten, z niczem się nie dający porównać przewrót, jaki się znagła dokonywa w człowieku, kiedy mu po raz pierwszy z blizka w oczy zajrzy — śmierć.

Dopadniesz, człowiecze, pieńka jakiegoś, jakiejś kretowiny, poza kawał najdroższej skiby wtulasz głowę w matkę-ziemię (oh, nigdy jeszcze tak szaleńczo, jak teraz, nie ukochaną!), byle nie widzieć, byle nie słyszeć piekielnego jazgotu pocisków nad sobą, nie słyszeć jęków i rzężeń na prawo i lewo... Budzą się w tobie, podnoszą nastraszone ślepia wszystkie instynkty życia, każde włókienko wewnętrznego ustroju napięte w jeden krzyk: żyć!

Moment to krótki na jedno „Zdrowaś“; kto w nim zginął, temu przymarza na twarzy, zastyga w oczach przeraźliwy skurcz nieludzkiego strachu. Twarzy takiej raz widzianej — zapomnieć nie zdołasz. Ale to chwila tylko. Jeszcze mgnienie, a rodzi się w tobie nowy człowiek, wybucha nowa, jasna moc. Wybłyska myśl-nakaz: wstać, przebojem uderzyć! Między bły-

skiem świadomej woli a wykonaniem — niema rozdziału. Dosłyszałeś w głębi siebie głos — i znagła mniesz pańską, spokojną wolą obmierzłe wszystkie trwogi, przydeptujesz stopą rozszalały pra-instynkt trwania. Baczność! głowa w górę, ponad zbawczą osłonę i biegiem — naprzeciwko śmierci!

Nowy człowiek się narodził; przezwyciężył śmierć, zgniótł w sobie strach przed nią. W tym to momencie rozpala się w duszy żołnierskiej iskra wyższego człowieczeństwa. Zmarł na ten moment osobnik stary, zbudowany na podwalinie wygodnego instynktu samozachowawczego, powstał człowiek, który ma pamięć chwili, kiedy niestraszna mu była śmierć.

Z iskrą tą można wrócić w pospolite obozowe życie, w codzienny żołnierski kierat — i nie zgasić jej. Błogosławiony, w którym rozpali się w światło nieustające. — Idzie się potem w ogień nie raz, nie dwa; wezwyczaić się w to nawet można, a tamtej chwili się nie zapomni. To był wychowawczy moment wojny najwyższy, niezastąpiony.

Jest wśród *Pensées* Pascala myśl taka: Człowiek jest istotą znikomą i słabą. Jak trzcina i jak źdźbło polne; lada surowy powiew wiatru może ją złamać. A przecież jest od reszty przyrody tak nieskończenie wyższy, wyższy od dybiącego nań kosmosu.

Choćby go cały świat miażdżył, człowiek będzie zawsze dostojniejszy, *plus noble*, nad to, co go zabija. A to: p o n i e w a ż w i e, ż e u m r z e, *parce qu'il sait qu'il meurt.* Zaś mimo całej przewagi, jaką ma nad nim świat, *l' univers n'en sait rien,* świat tej świadomości nie ma.

Głębi tej myśli nie mógłbym nigdy tak znagła i spełna ogarnąć, jak w bitwie.

Kiedy rozszaleje nad tobą orgja śmierci i wszystko wokół porwie w straszliwe wirowisko przerażenia, — wtedy ta myśl, że umrzesz i to wewnętrzne przyzwolenie na śmierć, jeśli się do niego dojdzie, jeśli się zwycięsko przekroczy okrutną przełęcz żywiołowego instynktu samozachowawczego, — daje uczucie przewagi nad grozą człowiekowi najstraszniejszą, a z uczucia tego rodzi się taka cichość, taka spokojna, niemal nieczłowiecza wielkość wewnętrzna, właśnie jakieś dostojeństwo święte, jakby oto żywa się stała w duszy twej prawda Chrystusowa: Królestwo Boże w w a s jest.

Ma się przez ten moment namacalne niemal odczucie, jakim przecudnym dziwem jest człowiek, do jakich wyżyn wzniosłości wstęp mógłby mu być otwarty.

Takich olśniewająco rewelacyjnych doznań się nie zapomina, zostają w duszy jak najczcigodniejsza zaródź na życie nowe.

Tak to wychowuje wojna; z pod przypad-

kowych narośli dobywa — choćby na jeden ten moment tylko — czysty, dźwięczny rdzeń bohaterskiego człowieczeństwa.

Oczywiście, nie trzeba mnie posądzać o ślepe doktrynerstwo, ni o przesadę. Zagarnia wojna miljony, a odradza setki tysięcy tylko. Cudów w tych sprawach niema. W kim była zarodź świętego płomienia — rozpłonie; kto duchowo obumarły — zdrętwieje, zapiecze się w swej zwierzęcości jeszcze bardziej. „Dobrego karczma nie zepsuje, złego kościół nie naprawi“ — powiadano sobie u nas na wsi.

To też tresura militarna zwyczajnie nie liczy na samorzutne narodziny nowego człowieczeństwa w tych chwilach; nieuchwytny ten czynnik zastąpić chce ona wdrożeniem ślepego, odruchowego posłuchu, który również podrywa z ziemi i rzuca w atak. On też jest tam zasadą. Więc można wrócić z setki bitw, choć się w nich dzielnie walczyło — dzikim rozpętańcem.

Ale w kim jest zasiew życia duchowego, w tym rozkwita on rychło w chłodnym cieniu śmierci, chłop to, robotnik, czy pan. Już na oko stwierdzić można, że dojrzewają nasi młodzi ludzie w szeregach na podziw prędko, i smutnie poważnieją. Wejrzawszy w taką duszę, widzi się odrazu jej dziwnie szybki wzrost.

Niejeden taki pęd zetnie rychło ostrze śmierci, ale zawszeć tych podwójnie żywych wyjdzie

kiedyś z mas żołnierskich legjon spory. Tych, co posiedli tajemnicę zwycięstwa, co znają prawdziwą wagę czynników życia, tych tu — cielesnych i owych tam — duchowych. W których niejako punkt ciężkości przeniesiony będzie odtąd na zewnątrz, dla których konkretną treścią osobistych doznań wypełni się takie słowo — liczman dla innych — jak powinność narodowa. Poznają się i związą między sobą duchowem pokrewieństwem — bracia - wiara - żołnierze.

Z takiej rodziny byli owi z W. Emigracji zaprzedańcy wolności, kwiat pokolenia listopadowego — jak żywy krzak róży wytargany chamską ręką z zagonu narodu i wyrzucony za mur. Z tej byli też Napoleonidzi polscy. Wystawi zastęp taki i wojna 1914—1918; zobaczycie go kiedyś między sobą.

Jakież go czeka przyjęcie?

Jesteśmy oto u progu drugiego zagadnienia.

* * *

Wychowankowie powstania oderwani zostali od bloku narodu, wyrzuceni poza jego nawias; siły swe zdarli na ziemi cudzej, z ich duchowych rozpaleń nie wiele mogło przeniknąć w rzeszę narodu, tę rzeszę, co została przy zagonie, w rzemiośle, w powszedniej trosce pracy na życie. Więc przez to przestrzenne oddalenie znosiła się prawie bezboleśnie różnica poziomów,

jaka była niewątpliwie między „emigracją“ a „krajem“. A przecież i tak były rozżalenia wzajemne, skargi, niechęci — zrodzone właśnie z owej jakościowej niewspółmierności obozów.

I teraz wyjdzie pokolenie wojenne o przetworzonej strukturze duchowej, a Bóg może mu pozwoli zostać w granicach ojczyzny, nie poza jej murem. Czyż więc urojeniem jest, że ta tworząca się siłą rzeczy różnica poziomów jakościowych może być teraz bezpośrednio bolesna? Może się stać źródłem złych konfliktów, zarzewiem rozgoryczeń: — „gdzież wyście zostali, a gdzie my? i czemu to tak?“ — Czy nie wypadnie znowu najszczytniejszym siłom polskim stargać się na rozbijaniu niemrawej obojętności bryły narodu, na zasypywaniu nowego przedziału kastowości?

Sprawa to do przewidzenia łatwa i chyba godna, żeby się nią szczerze zakłopotać, kiedy jeszcze zarada możliwa.

Zaradzić, rozwiązać musi się ją oczywiście na wyż, nie na niż; nie przez stłumienie szczytniejszego życia, zrównanie go ze średnim poziomem, ale przez przeistoczenie calizny narodu, wydźwignięcie się ku nowemu życiu, wasze wydźwignięcie, czytająca i nieczytająca publiczności!

Jak? W sposób ogromnie prosty i ogromnie trudny przez to. Poprostu e t y c z n y m r ó w n o-

ważnikiem zrównać, uwspółczcigodnić się z tamtymi, odrodzonymi w obliczu śmierci.

Etyczny równoważnik jeden narzuciły złe losy prawie połowie narodu polskiego przemocą. To nędza. Cierpienie, które przebija skorupę ludzkiego serca i dobywa z niego siły przedziwnej szczytności. Na żebractwo zeszła połowa Polski, ta tułacza, co je — o ile je — gorzki chleb litości, w poniewierce, zelżeniu, częstokroć i pogardzie u zabezpieczonych, solidnych tubylców. — I ci, co zostali na kawale ziemi, po norach, na deszczu i mrozie, by oglądać w gruzach pracę swoją i swoich ojców, zgorzeliny domostw, hańbę dzieci, by zapuchłemi oczyma też w twarz śmierci patrzeć, jak nadchodzi cichcem, leniwo, poza głodem, poza zarazą.

Dziesięćkroć potworniejsze to sprawy, niż wy tam w mieście pojąć jesteście zdolni.

I dziesięćkroć gorzej im, niż nam w szeregach, żołnierzom. O odpadki naszych kuchni polowych przychodzą żebrać jak o łaskę; że aż wstyd raptem zadławi wobec tych oczu zestrachanych. Dziesięćkroć też czcigodniejsze ich bolesne uniżenie od wyniosłego męstwa żołnierskiego. Odrodzą się, wybielą dusze prostacze, którym dane będzie przetrzymać straszliwy ten dopust Boży. Przed nikim oczu spuszczać nie będą. „Przez cierpienia i łzy uchodźców i bezdomnych polskich“ — modlić się kiedyś będą

pokolenia w jakiejś nowej litanji narodu polskiego.

Ale jest w Polsce i druga kasta. Są, co chowali się w domach, w zaciszach, parukoronowem odczepnem uspokoili swe narodowe sumienie; są, co wypełniają kawiarnie i handelki, których tłum zawsze w kinach i na promenadach, wystrojony, gwarny, rozbawiony, którym ani w myśli jakieś należne powadze czasów podniesienie surowości moralnego życia. A między nimi są, niestety, i tacy, którzy w zbójeckiem stępieniu moralnem pasorzytują na chwilowej bezsilności prawa, z nędzy społeczeństwa wysysają swój bezczelny zysk.

Takie to są dwie kasty, i przepaść między niemi rozpęka się coraz głębsza. Trudno będzie tę różnicę doli zapomnieć i wybaczyć. Jakżeż to będzie kiedyś można w Polsce spojrzeć sobie wzajemnie w oczy i w dusze?

Potrzebna więc jest w masie narodu rychła przemiana wewnętrzna tego typu, jak owa ukazana w nagości swego dokonywania się przez wojnę, streszczająca się w nagłem rozpaleniu w sobie życia wewnętrznego, oraz w przełamaniu instynktów wygodnego trwania przez świadomą wolę zaprzysięgłej służby. Dalej: w tak bezwzględnem oddaniu się tej służbie społecznej w całości, bez zastrzeżeń, jak się oddaje żołnierz chorągwi — na śmierć i życie.

Co znoszą i czego dokonywują ludzie tu, na froncie, to z bezwzględną pewnością przechodzi o wiele przeciętną normę wytrzymałości i produktywności człowieka. Chociaż nie mówię zgoła o osobnikach i czynach wyjątkowych, nadzwyczajnych, ale o pospolitej, codziennej służbie. Wytężeń tych i prac zapomnieć chyba żaden — kto żyw wyjdzie — nie zdoła, dlatego przedewszystkiem, że prowadził je przecie nie dla swoich widoków, nie dla zysku, ale z wyższego wezwania.

Otóż, żeby utrzymać równowagę doznań i sprawności duchowej między świadomą częścią wojującą a pozostałą resztą społeczeństwa czasu tej wielkiej wojny, powinno się w tej reszcie nieuniknienie koniecznie dokonać przeobrażenie.

Analogiczny do owego żołnierskiego w obliczu śmierci — wstrząs i rozbłysk duszy nie da się w masach wykrzesać z zewnątrz; cud nagłego wykwitu życia wewnętrznego prawie się usuwa w tym wypadku z pod zewnętrznej wychowawczej ingerencji.

Marzy się wprawdzie chwilami, że taki żywiołowy wybuch odrodzenia przyjśćby powinien dziś właśnie, pożąda się go każdym fibrem serca w tym tak trudno się rodzącym świcie wolności.

Wypełzнęła na Polskę ogromna nawała wy-

hodowanych w dusznej nocy niewoli i w ohydzie wojny — płazów ludzkich, zatruwających wyziewem swego rozpasanego egoizmu, łapczywości i sprzedajności, rzeźwą atmosferę poranka. Marzy się więc jakiś święty odruch obrażonej uczciwości, jakiś nagły wybuch prawości obywatelskiej, któryby strząsnął z powierzchni zbiorowego życia całą ową obrzydliwość zepsucia, wydobył na wierzch szczerą urodzajną nowiznę charakterów.

Wywołaćby go mógł jakiś z nagła zjawiony genjusz moralny, którego moc duchowa rozwinęłaby się nad narodem, jak wicher gorący, rozpaliła masy aż do żarliwości egzaltacji religijnej. Na razie to oczywiście marzenie.

Zato powinność druga możliwa jest współcześnie do przeprowadzenia. Równoważnik — ponad powszednią ludzką normę wytężonej pracy nie dla siebie, służby pełnionej z wysiłkiem i oddaniem, które aż o najwewnętrzniejszą iściznę duszy zahacza, — ten jest i możliwy, i dzisiaj, w przełomowej godzinie narodu, wniebogłośnie potrzebny. Potrzeba tylko jasnego uświadomienia sobie konieczności takiego właśnie typu służby społecznej i potrzeba dobrej woli do wytrwania w trudzie. Jedno i drugie da się wywołać drogą uświadomienia społeczno-etycznego i drogą wychowania.

A toby był oczekiwanego dziś odrodzenia

duszy zbiorowej — zakład drugi. Taka dopiero służba, wyrosła z władnego zmięcia najpierwotniejszych instynktów samoutrzymania, wygodnego dotrwania do końca — przemienia jakościowo duszę, przetwarza jej najistotniejszą konstrukcję, jak ów chrzest ogniowy żołnierski. Ona też dopiero byłaby zadatkiem przyszłej jednolitości zbiorowej duszy polskiej.

Trudna — zapewne, bezprzykładnie trudna powinność, ale bo też i bezprzykładna naszła nas potrzeba. Niebywała, najstraszniejsza z wojen stanież się najwyższą nauczycielką dla narodu naszego? Będzież nam epoką, czy kresem?

Jakże sądzicie, najdrożsi?

NOTATKA BIBLJOGRAFICZNA.

Artykuły powyższe drukowane były, niektóre w odmiennym częściowo kształcie, po czasopismach; mianowicie:

O kulturę wsi polskiej — w „Kurjerze lwowskim“ nr. 37, 39, 41 z dnia 24 stycznia i n. 1912 r.

Stanisław Witkiewicz — w warszawskim miesięczniku „Sfinks“, zeszyt z lipca 1911 r.

Nauczanie historji literatury — w lubelskiej „Szkole polskiej“, zeszyt 5, 1916 r.

Jeszcze o nauczaniu historji literatury — w tejże „Szkole polskiej“ zeszyt 10, z 1916 r.

**Filomaci wileńscy* — w pozn. „Gazecie narod.“ nr. 66 i n., z marca 1920.

Wartości wychowawcze „Pana Tadeusza“ — w warszawskim miesięczniku „Prąd“, zeszyt 6, z 1911 r.

**Żołnierstwo Mickiewicza* — w książce „Skarbczyk Legjonisty“ Przewodnik polowy żołnierza polskiego, Piotrków 1916 r.

Skauting polski — w warszawskim miesięczniku „Przegląd narodowy“, 1913 r., i w wileńskiej „Pobudce“ 1914 r., tudzież w osobnych odbitkach z obu miesięczników.

Wstrzemięźliwość a wychowanie narodowe — w „Kurjerze lwowskim“, nr. z 4 lipca 1913 r.

**O śpiewie i radości* — w lubelskiej „Szkole polskiej“, zeszyt 18, z 1917 r.

Wychowawcze momenty wojny — w krakowskim „Głosie Narodu“, nr. 127, 129 z dnia 11 i 12 marca 1915 r.

Artykuły oznaczone gwiazdką weszły dopiero do drugiego wydania niniejszego zbiorku.

SPIS RZECZY:

	Str
Słowo wstępne Ign. Chrzanowskiego	V
Przedmowa	1
O kulturę wsi polskiej	12
Stanisław Witkiewicz, jako wychowawca narodu	32
Nauczanie historji literatury polskiej w wychowaniu narodowem	76
Jeszcze o nauczaniu historji literatury polskiej XIX wieku	96
Filomaci wileńscy	114
Wartości wychowawcze „Pana Tadeusza“	142
Żołnierstwo Mickiewicza	165
Skauting polski wobec zadań wychowania narodowego	185
Wstrzemięźliwość a wychowanie narodowe	212
Z rozmyślań obozowych:	
I. O śpiewie i radości w wychowaniu	218
II. Wychowawcze momenty wojny	230
Notatka bibljograficzna	247

U.C. BERKELEY LIBRARIES
C096413329